

JAK ZWIĘDZIĆ NA DRODZE I NADZIĆ
O KONTAKCIE NAJWIĘKSZEJ MIŁOŚCI

Przebudzenie

KATE
KERRIGAN

-Książnica-

Kerrigan Kate

Przebudzenie

Przełożyła z angielskiego Alina Siewior-Kuś

Eileen nie może się obejść bez karteczek, na których zapisuje listy spraw do załatwienia. Pewnego dnia jej córka Grace znajduje przez przypadek jeden z takich spisów. Młoda kobieta przeżywa szok: jej matka umiera, a na domiar złego nie potrafi jej o tym powiedzieć wprost. Czy jest z nimi naprawdę aż tak źle?



PROLOG

Moja mama Eileen pisała notatki. Notowała rzeczy do zrobienia: wystawić śmieci, nakarmić kota. Sporządzała listy zakupów, ludzi, do których miała zadzwonić, audycji telewizyjnych, które chciała obejrzeć, rzeczy, które musiała znaleźć. Często na pierwszym miejscu jej codziennych list „Do zrobienia” figurował zapis: „Znaleźć listę przedmiotów, które muszę znaleźć”. Rozmawiając przez telefon, Eileen notowała najważniejsze punkty, a później, kiedy mi o tej rozmowie opowiadała, zerknęła do notatek. Zawsze gdy wychodziła z domu, zostawiała mi karteczkę z informacją, dokąd się wybiera i o której wróci, na wypadek gdybym do niej wpadła i nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Położyłam książki na kuchennym stole i rozejrzałam się za karteczką. Na półce przy telefonie leżał notatnik w kształcie domu. Na górze kartki widniał nagłówek: „Twoje dzisiejsze obowiązki”, a na lewym marginesie znajdowały się liczby od jeden do dziesięciu, każda umieszczona na stopniu drabiny należącej do pluszowego misia. Sam miś stał na dachu z młotkiem w łapce. To był dokładnie ten rodzaj kompletnie pozbawionego gustu gadżetu, który moja mama pod wpływem impulsu kupiła,

a po powrocie do domu zaraz tego żałowała. Wiedziałam, że ta notka to jedna ze zwykłych notatek mamy, nie zaadresowana do mnie bezpośrednio, ale i tak ją przeczytałam. Uznałam, że znajdę w niej kilka interesujących szczegółów, o których zamierzała mi powiedzieć.

- 1. Wysłać rachunek tel.*
- 2. Zadzwoń do Shirley — oddać fioletową, bluzkę*
- 3. Płytki podłogowe w łazience! Zadzwoń do Dennisa*
- 4. Powiedz G. o świecach zapachowych, pięćdziesiąt za funta*
- 5. Bankomat*
- ś. Tesco: chleb, mleko, jajka, sos, jabłka, masło*
- 7. Kosze na śmieci! Kosze na śmieci! Kosze na śmieci!*
- 8. Powiedz G., że mam now. jajn. Przyp. śmierć.*
- 9. Kosze na śmieci!*
- 10. Apteka: krem nawilżający, dezodorant, recepta*

Chodziło o punkt ósmy. Pomimo skrótów natychmiast wiedziałam, co oznacza. Nie spodziewałam się tego. Nigdy nie myślałam o nowotworze jajników w związku z mamą, nie przypomiinałam sobie, żeby w rozmowach, które ostatnio prowadziłyśmy, cokolwiek mogło na to wskazywać, a jednak przed oczami miałam jednoznacznie brzmiące zdanie: „Powiedz Grace, że mam nowotwór jajników, przypuszczalnie śmiertelny”.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W moim gabinecie Amanda Nicolson wyplakiwała sobie oczy. Była to mocno zbudowana, rozsądna czternastolatka, ostatnia uczennica w prywatnej szkole dla dziewcząt St. Annes, gdzie byłam nauczycielką i zastępczynią dyrektorki, po której spodziewałabym się, że zajdzie w ciążę. Sądząc z jej stanu, wyobrażałam sobie, że to samo uczucie dzielają jej rodzice, jeśli (o ile) im powiedziała.

— Przepraszam, przepraszam...

Uczennice zawsze przepraszają, kiedy się zdenerwują. To był najbardziej rozdzierający serce aspekt bycia szkolną doradczynią, którą to funkcję pełniłam ochotniczo. Pozostali nauczyciele wzdrygali się na myśl o wysłuchiwanie o problemach dziewcząt, ale mnie sprawiało to przyjemność. Nie miałam własnych dzieci i może dlatego ten obowiązek mnie nie przerażał. Niewykluczone, że postąpiłam naiwnie, przyjmując stanowisko doradczyni i powiernicy czterystu nastolatków z burzą hormonów, ale wierzyłam, że ktoś musi ich wysłuchiwać. Pamiętałam, co czułam, kiedy sama byłam nastolatką: zamęt w myślach, cierpienie, samotność, namiętność, podniecenie; wydawało mi się wtedy, jaka to szkoda, że tylu dorosłych,

a zwłaszcza nauczycieli, okazuje tak mało empatii wobec młodych.

Przedstawiłam Amandzie wszystkie możliwości, ale była taka zestresowana, że niewiele do niej docierało. Ojcem dziecka był siedemnastoletni włoski uczeń, który latem u nich mieszkał — zrobili „to” tylko raz.

— Tata mnie zabije, on mnie za... za... — I znowu się załamala.

Wiedziałam, że doktor Nicolson nie zabije Amandy, choć będzie rozczarowany i zatroskany. Zamówi wizytę w prywatnej klinice, a jego spokojna, zadbana żona zawiezie tam ich najdroższą córeczkę na zabieg. Amanda przez tydzień zostanie w domu, rozpieszczana przez gosposię, a potem pošłą ją do szkoły i powiedzą, żeby o wszystkim zapomniała. Edukacji Amandy nie przerwie dziecko, w życiu szacownych członków klasy średniej, które prowadzą jej rodzice, nie ma miejsca na niespodziewanego wnuka. To po prostu nie wchodzi w grę. Amanda jest za młoda, żeby podjąć decyzję, więc rodzice zrobią to za nią. Wybiorą też dla niej uniwersytet, karierę oraz męża, jeśli to będzie możliwe. Przyszłość Amandy jest zbyt ważna, by pozostawić ją przypadkowi. To nie ciąża sama w sobie jest tragedią, ale jej „nagłość”, utrata kontroli.

W końcu pochylałam się i objęłam dziewczynę. Podwinęła pulchne nogi na sofie i położyła mi głowę na kolanach jak małe dziecko. Gładziłam ją, poklepywałam i zastanawiałam się, czy jej idealna matka zachowa się tak samo, usłyszawszy nowinę. Moim zadaniem było zapewnienie chwilowej ulgi i pociechy, choć modliłam się w duchu, żeby wszystko skończyło się dobrze. Po rozmowie byłam rozstrojona.

Jakaś część cierpienia Amandy towarzyszyła mi w samochodzie, kiedy jechałam do matki z książkami ku-

charskimi, które na jej prośbę sprowadziłam przez Internet.

Mimo że właśnie po mamie odziedziczyłam umiarkowane lewicowe poglądy polityczne oraz liberalny stosunek do świata, odnosiłam wrażenie, że w życiu codziennym Eileen jest osobą, która stanowi największe wyzwanie dla mojego systemu przekonań, pojęcia o tym, jakie postępowanie jest słuszne, a jakie nie. Gdybym miała siebie scharakteryzować, z ociąganiem użyłabym etykiety „liberał w stylu New Age”, choć oczywiście my, liberałowie, z samej istoty sprzeciwiamy się szufladkowaniu ludzi. (Wyjątkiem są „faszyści”, „rasiści”, „konserwatyści”, „religijni prawicowcy” oraz w gruncie rzeczy wszyscy, którzy nie dorównują nam „otwartością umysłu” i „tolerancją”.) A jednak mama potrafiła skłonić mnie do zachowań całkowicie przeciwnych liberalizmowi. Można je opisać jako skrytość, irytacja i krytycyzm. W sporej części wynikały z tego, kim była: po prostu była moją matką. Kochałam ją bardziej niż kogokolwiek innego, a jednak zawsze stanowiła obiekt mojego beztroskiego osądu. Wyraźnie się od siebie różniłyśmy i jedyne, co irytowało mnie bardziej niż różnice, to podobieństwa między nami. Potrafiłam pocieszać cudzą nastoletnią córkę w ciąży, ale rzadko bywałam równie miła wobec własnej matki. Matka od dnia porodu do śmierci obdarza dziecko miłością nieskończoną, bezwarunkową, na żądanie. Tak zachowują się matki. Im więcej ci dają, tym głębszą wykopują dziurę, a ty się spodziewasz, że ją zapełnią. Zła wiadomość dla was obu: ta dziura nie ma dna. A jeszcze gorsze jest to, że ta świadomość niczego nie ułatwia. Nigdy nie mogłam mieć pewności, czy poczucie, że nie jest dla mnie dość dobra, wynikało z moich czy z jej

słabości. W głębi serca wiedziałam, że jest wspaniałą matką, a mimo to zawsze żywiłam do niej drobną urazę. Ze swej strony mama nigdy nie pozbyła się worka pełnego wyrzutów sumienia. Generalnie udawało mi się ją ignorować, ale zawsze wiedziałam, że samą swą obecnością przypomina mi, że nie uważam jej wysiłków za wystarczające i że nigdy nie będę na tyle dojrzała, by sądzić inaczej.

Pośród cech mojej mamy, które zawsze łamały mi serce, a równocześnie piekielnie denerwowały, był jej brak pewności siebie. Eileen nigdy nie wyrosła z pragnienia bycia szczuplejszą, modniejszą, inną, niż jest, nie stała się też jedną z tych eleganckich starszych pań, które ubierają się w pastelowe kaszmiry, atrakcyjnie podkreślające posrebrzone siwizną włosy. Nie była zadowolona z powściągliwych fryzur, które robiły jej fryzjerki.

— Wyglądam jak sześćdziesięcioletnia kierowniczka sklepu na przedmieściu.

— Jesteś sześćdziesięcioletnią kierowniczką sklepu na przedmieściu — odpowiadałam.

— Nic mnie to nie obchodzi — warczała. — Chcę wyglądać „niesamowicie” i interesująco. Chcę wyglądać jak Judi Dench!

Mama zawsze eksperymentowała, próbowała znaleźć własny „wygląd”. Przechodziła najróżniejsze fazy i etapy. W latach siedemdziesiątych były to afrykańskie kaftany drukowane w krzykliwe wzory, potem kaszmirowe kombinezony robocze w kolorach landrynek i obuwie sportowe na platformach, które dodawały sześć centymetrów do jej mierzącej metr pięćdziesiąt postaci. Górowałam nad nią i często wyczuwałam jej złość, że sama nie próbuje wykorzystać wzrostu do uzyskania bardziej oszałamiającego wyglądu. Tak jak mama nie wyrosła z pragnienia

bycia „modną”, tak ja nie wyrosłam z irytacji na jej brak pewności siebie.

— Bądź sobą, mamo — mówiłam, kiedy pytała, co sądzę o nowej fryzurze albo torebce.

Kiedyś mi powiedziała:

— Ale ja nie wiem, kim jestem, Grace. Zakładałam, że jest niepoważna. To zabrzmiało jak

zdanie z czasopisma, a ja zawsze gotowa byłam myśleć o niej jak najgorzej. Pomimo że bardzo ją kochałam, a może raczej z tego powodu, czułam przymus ciągłego wytykania jej popełnianych błędów. Chciałam, żeby stanowiła wyjątek od wszelkich znanych mi reguł ludzkiego zachowania. Publicznie mówiłam, że jest wspaniałą matką, ale dziecko we mnie zawsze wierzyło, że żyje w niej lepsza, bardziej oświecona matka. Coś we mnie sądziło, że wystarczy, żebym kiwnęła głową, a ta wszystkowiedząca kobieta wyłoni się z pełnego skaz, bezbronnego, nieszczęśliwego chaosu, którym w najmroczniejszych chwilach wydawała mi się jej osoba. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że to chyba prawda: ona nie wie, kim jest. Była niepewna, błędziła. Mówiła, że jest zadowolona, że osiągnęła w życiu wszystko, czego pragnęła, ale jej nie wierzyłam, a to sprawiało, że sama czułam się niepewnie. Mama była moim lustrem. Chciałam, żeby była tak dobra, jak to tylko możliwe, bo to poprawiłoby też moje odbicie. Mama ze mną nie konkurowała, chociaż czasami myślałam, że powstrzymuje ją od tego tylko ten brak pewności siebie.

Wiedziałam, że mama mnie kocha, ale zawsze, już we wczesnym dzieciństwie, wydawało mi się, że czegoś brakuje. Miłość matki do jedyne go dziecka, pierworodnego dziecka, powinna być absolutna. Wiedziałam, że Eileen mnie kocha, ale jej miłość nigdy nie wydawała mi się całkowita.

Eileen poprosiła o zamówienie książek wiele tygodni wcześniej. Zadzwoiła o północy po wypiciu kilku butelek wina z Shirley, która była Żydówką, najlepszą przyjaciółką mamy i rozwódką, bo pół roku temu mąż ją zostawił i uciekł z sekretarką. Dziwiłam się, że mężczyźni w naszych nowoczesnych czasach wciąż mają sekretarki gotowe z nimi uciekać, ale z drugiej strony Shirley była chodzącym banałem. Ujmując rzecz delikatnie, była „dysfunkcyjna”. Odrzucona przez córkę i syna, którzy zerwali z nią kontakty, paliła jak smok i najczęściej na długo przed lunchem otwierała butelkę chablis. Niewątpliwie po to, by oderwać myśli od własnych smutków, obsadziła siebie w roli stróża mojej matki i instruowała ją w tematach tak zróżnicowanych, jak diety, fryzury, materiały w tygrysie paski i lamparcie cętki oraz relacje matki z córką. Wyglądało na to, że ostatnio do tej listy dodała gotowanie. Mama po prostu nie mogła poczekać z telefonem do rana:

— Shirley mówi, że przepis na kurczaka po tajsku jest rewelacyjny i że koniecznie muszę go jak najszybciej wypróbować. Więc proszę, żebyś zamówiła te książki natychmiast. **I** bardzo ci dziękuję!

Przybrała ten asertywny ton ze względu na obecność Shirley. Denerwowało mnie, że moja sześćdziesięcioletnia matka tak łatwo daje się powodować tej groteskowej kobiecie; irytująca także była świadomość, że zapomniała, iż chciała te książki, i oskarżyła mnie o powiększenie już i tak sporego stosu nieużywanych „gratów” w kuchni.

Eileen sprawiała wrażenie, że ciągle się biczuje, na tyle mocno, że jest na siebie zła, choć za słabo, żeby spowodowało to zmianę. Żałowała, że zjadła obfitą kolację, ale zaraz po niej zamawiała deser i tego też żałowała.

Żałowała kupna wełnianego płaszcza, który jej nie pasował, ale był bardzo drogi, więc i tak będzie go nosić, potem kupowała inny i żałowała, że marnuje pieniądze. Pomarańczowe zasłony z wyprzedaży były koszarne, nie miała pojęcia, co ją opętało, żeby je wybrać, ale teraz wisiały na oknach i codziennie musiała na nie patrzeć, zadając sobie pytanie: „Dlaczego, dlaczego je kupiłam?”.

— Zdejmę je, mamó, wymienię ten płaszcz, wyrzucę do śmieci ten koszarowy notatnik za pięćdziesiąt pensów — proponowałam.

— Nie! — protestowała, jakby potrzebowała wszystkich tych drobnych powodów do żalu. Nietrafione zakupy, napisane do połowy listy, niewykorzystany karnet do siłowni: wszystkie razem tworzyły rodzaj koca ratunkowego, obciążenia, które ją powstrzymywało od nazbyt szybkiego ruchu. Bez nich mogłaby sprawić sobie komputer i sama zamawiać książki przez Internet albo schudnąć o dziesięć kilo, co zawsze było jej ambicją. Świadczył o tym ten notatnik. Kiedy go wzięłam, pożałowałam, zresztą nie po raz pierwszy w życiu, że należę do osób współzależnych, które zagląдают w serca innych i widzą ich ból.

Zmiażdżona rewelacją z pierwszej strony, odwróciłam kartkę. To był gest automatyczny, tak jak obrzucenie przekleństwami kostki chodnikowej, kiedy człowiek potyka się o własne stopy. Nie spodziewałam się, że coś znajdę, choć może po części liczyłam, że na następnej stronie będzie widniał napis: „Tylko żartowałam! Prima aprilis!”.

Ale tak nie było. Zobaczyłam notatkę sporządzoną skrótami, które mama stosowała, notując treść rozmowy telefonicznej.

19 lutego

dr Feltz — Szpital Royal Free

biopsja — stadium IV, TMMM, rzadka odmiana sarkomy (sarkomy?)

spektroskopia NMR — guz 10 cm, przypuszczalne przerzuty — może wątroba?

Operacja — termin za dwa tygodnie

Woreczek na przybory — nowy rodzaj w M&S oraz
POSZUKAĆ FIOLETOWYCH PANTOFLI! Grace?

Podskoczyłam na widok swojego imienia. Rozumiałam treść notatki. Miałam podstawową wiedzę o nowotworach, wiedziałam na przykład, co to jest sarkoma i że stadium IV niemal na pewno jest nieuleczalne. Zarejestrowałam informacje, ale były tak okropne, że umysł odmawiał ich przyjęcia. Otworzył drzwi i spojrzał na gości, a potem znowu je zamknął. Tak więc przerażająca prawda o nowotworze matki pozostała w formie ręcznie spisanej listy na kartce śmiesznego notatnika, który zostawiła na widoku. Uznałam, że jeśli mama zamierzała rozerwać się fioletowymi pantoflami, to ja mam prawo na chwilę porzucić cierpienie na rzecz zasłużonego gniewu.

Nie wierzę, że istnieją przypadki.

Byłam w kuchni matki, tracąc zmysły nie dlatego, że miała czwarte stadium raka jajników, nie dlatego, że oznaczało to, iż umrze raczej wcześniej niż później, ale dlatego, że nie powiedziała mi o tym we „właściwy” sposób. W ciągu trzech sekund (albo dziesięciu minut), które minęły, gdy stałam z notatnikiem w dłoni, zdałam sobie sprawę, że rozpadłam się na dwie części. Pierwsza zatoczyła się na kominek i oparta o zimne kamienie znieruchomiała w stanie szoku. Druga, płynna i emocjonalna,

opuściła ciało i podskakiwała z gorączkową, histeryczną furją.

Chciała, żebym dowiedziała się w taki sposób, nie miałam co do tego wątpliwości. Zabrakło jej odwagi, żeby powiedzieć mi prosto w oczy, więc ta głupia, nierozsądna kobieta potraktowała to lekceważąco, usiłując nadać sprawie charakter rzeczy możliwej do opanowania. No bo p u n k t ó s m y? Punkt ósmy na liście rzeczy do zrobienia: powiedzieć córce, że umieram? Upchnięty pomiędzy dwa przypomnienia o wystawieniu pojemników ze śmieciami? Czy to jakaś metafora, podświadomy sposób na przyznanie: „Jestem marną matką”? Rozmowę ze mną umieściła pod zakupami, pod informacją, że sklep za funta ma specjalną ofertę na świece zapachowe! To, że tak się dowiedziałam, było całkowicie złe. Po części czułam zdumienie: dlaczego nie powiedziała mi wcześniej, nie zabrała ze sobą do szpitala, na rozmowę z lekarzem — cokolwiek? Dlaczego mnie nie zaangażowała, nie polegała na mnie? Histeryczka we mnie unosiła ręce do góry w geście znaczącym, że to strasznie typowe dla mamy. Nie miałam rodzeństwa, z którym mogłabym o tym porozmawiać, nie było nikogo, kto przekazałby mi delikatnie tę wiadomość, nie miałam ojca, z którym dzieliłabym ból utraty. Byłam tylko ja — sama. Głupia kobieta powinna już na tyle zmadrzeć, żeby znaleźć lepszą drogę komunikacji ze mną niż zostawienie na kuchennym stole notatnika ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami zapisanymi na drugiej stronie.

Moja wewnętrzna histeryczka krzyczała tak głośno i nieprzerwanie, że nie usłyszałam wchodzącej mamy.

— Wezmę to — powiedziała, wyrywając mi notatnik z dłoni. Minęła mnie i podeszła do zlewu, żeby napełnić czajnik. — Mam ładną szynkę i świeży chleb, więc jeśli

poczekasz pięć minut, na lunch zjemy kanapki. A zanim zaczniesz, od razu mówię, że nie mam sosu pesto!

To moja wina czy wszystkie matki tak się zachowują? Upychają tyle rozmaitych informacji w jedno krótkie zdanie, że dzieci potrzebują dwudziestu lat terapii, żeby je zrozumieć?

Przelotnie zdziwiło mnie, ile wysiłku kosztuje oderwanie ciała od kominka, o który wciąż się opierałam, i stawienie czoła plecom mojej matki zajętej lunchem.

— Czytałam listę — powiedziałam tylko. Pomięłam zapiski z rozmowy telefonicznej. Rzeczą zbyt okrutną byłoby przytaczanie teraz wszystkich szczegółów technicznych.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której miałam nadzieję, że powie mi wszystko z powagą, tak jak trzeba.

— Nie cierpię tego notatnika. Nie pojmuję, co mnie napadło, żeby go kupić, skoro mam szuflady pełne ślicznych notatników, których nigdy nie używam.

Po tych słowach otworzyła pojemnik na śmieci i wrzuciła do niego pluszowego misia z jego dziesięciostopnio-wą drabiną.

Mama ma zwyczaj żałowania drobiazgów, w wielkich sprawach natomiast okazuje zdecydowany upór. Na przykład bardzo żałowała, że namówiła mnie do rezygnacji z lekcji baletu, ale „miała swoje powody”, kiedy nie chciała mi powiedzieć, dlaczego ojciec nas zostawił. W tym przypadku wyglądało to tak: „Co mnie napadło, żeby kupić ten ohydny notatnik? Chciałam powiedzieć ci o chorobie w swoim czasie”.

Pewnie za jakieś pół roku.

Tak czy owak notatnik leżał teraz w koszu na śmieci. Problem rozwiązany, co? Zaatakowałam. Nie miałam wyboru.

Mój gambit na otwarciu byłby zupełnie inny, gdybym się opanowała. Mogłoby brzmieć tak: „Nie musisz sama tego znosić, mamo. Jestem przy tobie”. Mogłabym też stworzyć wygodny dystans, mówiąc jej po imieniu: „Eileen, wiem o raku”.

Zamiast tego powiedziałam:

— Jak... jak mogłaś umieścić powiedzenie mi o raku pod bluzką Shirley? Jak?

Potem mogło już być tylko gorzej.

— Shirley pożyczyła mi bluzkę ponad miesiąc temu, to było ważne.

— A powiedzenie mi o raku nie było ważne?

— Oczywiście, że było, dlatego znalazło się na liście.

— Ale nie tak ważne jak bluzka Shirley, bankomat czy telefon do Dennisa w sprawie kafelków w łazience?

— To nie tak. Przecież to tylko lista, porządek nic nie znaczy.

— Wręcz przeciwnie, kurwa. Wszystko coś znaczy! Wierzyłam w to. Że wszystko coś znaczy, choć nie
powinnam była mówić „kurwa”. Mama zacisnęła usta i przybrała zdecydowaną minę.

— Jak śmiesz tak mówić o Shirley. To moja przyjaciółka!

Fatalnie prawie pod każdym względem. Nie mówiąc o tym, że Shirley razem ze swoją fioletową bluzką była raczej złym wpływem niż przyjaciółką.

— Nie chcę rozmawiać z tobą o Shirley. Nie próbuj zmieniać tematu, wspominając o niej.

— To ty pierwsza o niej wspomniałaś.

— Tylko w kontekście innej sprawy.

— Nigdy nie lubiłaś Shirley. Nie wiem dlaczego, ona zawsze powtarza, jaka jesteś miła.

— Znowu to robisz! Próbujesz sprowadzić mnie na rozmowę o Shirley!

— To ty masz z nią problem, ty ciągle powtarzasz: Shirley, Shirley, Shirley...

— Ty masz raka!

— Przestań na mnie krzyczeć!

Rzeczywiście na nią krzyczałam. Górowałam o całe trzydzieści centymetrów nad moją małą, kruchą matką, która miała raka, i wrzeszczałam na nią. Wstyd mi było, że zachowuję się jak tyran, ale wciąż nie chciałam przestać. Chciałam tylko potrząsnąć nią solidnie, żeby wrócił jej rozsądek albo wypadł z niej rak. Sama nie wiedziałam, o co mi chodzi.

Warga Eileen zadrżała i przez zasłonę wściekłości zauważyłam, że dłoń, w której trzyma nóż do masła, zaczyna się trząść. Spojrzała na blat, wyjęła chleb z opakowania i wróciła do robienia kanapek. Jej ruchy zwolniły, determinacja zniknęła, ale nie chciałam tego widzieć. Oferowała mi przestrzeń, zapraszała, żebym usiadła i spokojnie zjadła z nią lunch. Rozwiewała mój gniew, zajmując się kanapkami, i w jej zagraconej kuchni unosiło się oczekiwanie na naszą rozmowę.

Ponieważ to Eileen oferowała przestrzeń, a nie ja, nie mogłam się na to zgodzić. Nie pozwalała mi moja duma, a może jeszcze nie byłam gotowa na to, żeby jej wysłuchać. Chociaż odwróciłam się i wyszłam z kuchni, wiedziałam, że nie mam racji. Że ranię ją i siebie. Ale to była jedna z przykrych rzeczy, jakich się nauczyłam podczas terapii. Wiedzieć, co należy zrobić, to jedno, zupełnie czym innym jest zrobienie tego.

ROZDZIAŁ DRUGI

Irlandia, rok 1954

To śmieszne, ale kiedy oglądasz się za siebie, często przekonujesz się, że naprawdę ważne są drobiazgi. Jako dziecko wierzyłam w magię, a potem, kiedy miałam jedenaście lat, czerwone spodnie wszystko zmieniły i sprawiły, że zaczęłam widzieć świat takim, jaki jest.

Urodziłam się w 1943 roku w szeregowcu w Balla-more, miasteczku na zachodnim wybrzeżu Irlandii. Piętnaście mil na zachód wznosiła się góra o płaskim szczycie, pięć mil na wschód było morze z następnym przystankiem w Ameryce. Na jednym końcu naszej drogi znajdowała się katedra, wysoka, szara i majestatyczna, a na drugim w bujnych zielonych ogrodach usytuowany był pałac biskupi. Mama mówiła, że mieszkamy w najbezpieczniejszym miejscu na świecie, bo nieważne, w którą stronę spojrzymy — w dół czy w górę naszej ulicy, za czy przed dom — wszędzie jesteśmy otoczeni największymi dokonaniem Boga. Góra i morze, kościół i duchowieństwo: to one stanowiły zewnętrzne i wewnętrzne granice mojego ówczesnego życia.

Moja rodzina nosiła nazwisko Gardner, ojciec był starszym urzędnikiem w ratuszu, co uważano za bardzo dobrą pracę, choć nie tak dobrą, byśmy mogli z góry pa-

trzeć na innych. Urzędników państwowych szanowano, nie traktując ich jak snobistycznej klasy średniej; byli uprzywilejowani raczej dzięki wykształceniu niż pieniądзом, rzecz godna zazdrości. Lekarze i prawnicy nie patrzyli na nas z góry, biedacy nam nie byli zawistni. A w tamtych czasach w wiejskich rejonach Irlandii było wielu biedaków. Chodziłam do szkoły z dziećmi, które musiały dzielić się butami i w szkole były głodne. Biedacy mieszkali na górnym końcu miasteczka i czasami, kiedy z siostrą w drodze z kina mijałyśmy ich domy, rzucali w nas kamykami i krzyczeli:

— Wielkie damy!

Kiedy powiedziałyśmy o tym mamie, odparła, że powinnyśmy dziękować Bogu, że nie jesteśmy na ich miejscu, i tak robiłyśmy. Dorastałam ze świadomością, że mam szczęście, należąc do takiej jak moja rodzina.

Mieszkaliśmy przy ulicy o nazwie Nowa Linia, bo znajdowały się tam domy zbudowane przez radę miejską dziesięć lat wcześniej. Ze względu na swoją pracę ojciec dostał jeden z nich za groszowy czynsz. Mieliśmy na piętrze łazienkę z bieżącą wodą, dwie sypialnie i garderobę, a na parterze była jadalnia, gdzie stał piec z piekarnikiem i toczyło się życie, salon do przyjmowania ważnych gości w rodzaju księży oraz mała spiżarka, w której mama przyrządzała jedzenie, zmywała naczynia i prała. Rodzina mamy, która mieszkała na wsi, uważała nasz dom za luksusowy. Raz prostacki mąż jednej z jej kuzynek powiedział:

— Dostaniesz odcisków na dupie od tego siedzenia przez cały dzień.

Krewni myśleli, że mama ma łatwe życie z wodą w domu i „ustrojstwem” do gotowania zamiast otwartego paleniska. Ale mama nie siedziała przez cały dzień.

Miałam młodszego brata i siostrę, pomiędzy gotowaniem i sprząaniem mama ciągle narzekała, że „okradamy ją z każdego grama energii”. Pomagałam jej w miarę możliwości. Do moich obowiązków należało oczyszczanie co rano pieca z popiołu i zanoszenie dzbana z wodą do łazienki, żeby ojciec mógł się ogolić, ale najbardziej ze wszystkiego lubiałam, kiedy wysyłano mnie do miasta po odbiór „wiadomości”.

W każdą sobotę rano mama dawała mi dwa szylingi i szłam do sklepu pani Durcan, żeby kupić gazety dla ojca, komiksy dla nas i tygodnik „Woman” dla mamy. Durcanowie mieli piekarnię, więc w połowie sklepu wystawione były papierosy i gazety, w drugiej natomiast stała lada uginająca się od smakowitych ciast. Zapach był oszałamiający i wkrótce nabrałam zwyczaju podkradania mamie reszty i wydawania jej na wyśmienitego pączka. Kiedy zrobiłam to pierwszy raz, Maily Durcan, która miała surową twarz i szorstkie maniery, zapytała:

— Czy twoja matka wie, że kupujesz pączki, Eileen Gardner?

Jak większość dzieci byłam nieśmiała w kontaktach z dorosłymi i w odpowiedzi tylko się zarumieniłam, ale Maily i tak wzięła od mnie pieniądze. Nie lubiły się z moją matką („Nic tej kobiecie nie mów, jak będzie cię pytać!”, tak co tydzień wołała za mną mama), choć jako jedenastolatka wiedziałam już, że Maily Durcan nie powie o niczym z obawy, że straci dwa pensy utargu. Czasami czułam wyrzuty sumienia, bo zdawałam sobie sprawę, że mama posyła mnie do pani Durcan tylko dlatego, że to był jedyny sklep handlujący angielską prasą. Mama codziennie piekła chleb sodowy, ale kiedy przychodzili goście i chciała zrobić na nich wrażenie chlebem na zakwasie, kupowała krojony bochenek w sklepie

Careya, chociaż chleb od Durcana był lepszy. Mój cotygodniowy pączek to jedyny zakup robiony w piekarni Durcanów i wiedziałam, że mama byłaby na mnie zła, gdyby odkryła, że dzięki mnie Maily dodatkowo zarabia.

Należało też wziąć pod uwagę problem grzechu. Unikałam grzeszenia, kiedy tylko mogłam, ale dla katolickiego dziecka dorastającego w tamtych czasach w Irlandii grzeszenie było strasznie skomplikowaną sprawą. Formalnie rzecz biorąc, wydawanie pieniędzy mamy bez jej zgody kwalifikowało się jako kradzież, ale dopóki nie kradło się czegoś wielkiego jak portfel, krowa albo osioł, popełniało się grzech lekki, karany kilkoma dodatkowymi latami w czyśccu. Czyściec był poczekalnią raju, ale bardzo nieprzyjemną, pełną ognia i rogatych diabłów, i pod tym względem niczym nie różnił się od piekła. Jedyną przewagą czyścca nad piekłem była świadomość, że nie zostaniesz tam na całą wieczność, więc mogłeś się pocieszać, że w końcu, kiedy odpokutujesz wszystkie ziemskie grzechy, trafisz do nieba. Sprytni katolicy zaczynali ten proces już za życia, odmawiając modlitwy zwane odpustami. Na jedenaste urodziny dostałam modlitewnik z odpustami i żarliwie się modliłam. Wiedziałam, że jeden odpust odmówiony trzy razy z rzędu zagwarantuje mi skrócenie pobytu w czyśccu o dwa tygodnie. To nie było wiele, wzięwszy pod uwagę, jak długa jest wieczność, ale wyliczyłam, że jeden pączek to mniej więcej dwa miesiące czyścca, i uznałam, że nawet wszechmocny, karzący Bóg nie mógłby znaleźć uzasadnienia dla dłuższej kary. Odmawiając więc cztery zestawy odpustów (w jednym każdą modlitwę odmawiało się dwanaście razy), wychodziłam na czysto. To wydawało się drobną ceną za mój smakowity nielegalny pączek.

I właśnie podczas ukradkowego jedzenia pączka po raz pierwszy zobaczyłam zdjęcie kobiety w czerwonych spodniach. Dzień był pogodny, a ja siedziałam sobie w ruinach klasztoru za katedrą. To spokojne, niektórzy powiadali, że nawiedzone, miejsce jako jedno z kilku w naszym miasteczku zapewniało prywatność. Lubiłam je, bo znajdowało się blisko domu Boga, katedry, a równocześnie nie było Jego domem. Przez całe dzieciństwo czułam głęboką miłość i przywiązanie do Najświętszej Pani, a między mną a Panem Bogiem panowało porozumienie. Ja nie popełniałam wielkich grzechów jak morderstwo czy seks, On natomiast pobłażliwie traktował moje drobne występki w rodzaju kupna pączków. Lubiłam często powtarzać: „Niezbadane są wyroki Boskie” i razem z najlepszą przyjaciółką Breege upiększałam codzienne zbiegi okoliczności, zamieniając je w „znaki od Boga”. Jeśli zobaczyłyśmy trzy łabędzie płynące po rzece, wiedziałyśmy, że w sobotę będzie słońce. Jeśli na balustradzie otaczającej pomnik Najświętszej Pani siedziała wrona, odmawiałyśmy zdrowaśki do momentu, gdy odfruwiała, a liczba modlitw była liczbą dzieci, które urodzimy. Breege wskazywała znaki, ale to ja odkrywałam ich duchowe znaczenie. Często zastanawiałyśmy się, skąd wiem wszystkie te niezwykle rzeczy. Odpowiadałam, że nie mam pojęcia, po prostu je czuję. Jakby Bóg był w mojej głowie, mówiąc mi rzeczy w rodzaju: „Jeśli postawisz stopę na pęknięciach w chodniku, będziesz smażyć się w piekle przez całą wieczność”, „Jeśli w przyszłym tygodniu odpadną płatki z tej róży, ktoś w mieście umrze”. Kiedy mama czytała nekrologi w gazecie i mówiła, że zmarł jakiś jej znajomy (a to zdarzało się co tydzień, bo znała wszystkich), umacniałam się w przekonaniu o swoich proroczych zdolnościach. Chociaż w żaden

sposób nie mogłyśmy stwierdzić, czy teoria o pęknięciach w chodniku jest prawdziwa, żadna z nas wołała nie ryzykować. Breege mówiła, że skoro Bóg do mnie przemawia, znaczy to, że naprawdę jestem wyjątkowa i pewnie zostanę zakonnica.

Sadowiłam się, żeby zjeść pączka, gdy podmuch wiatru otworzył czasopismo „Woman”, pierwsze ze stosu gazet, które niosłam, na stronie przedstawiającej księdza Peytona, sławnego „księdza różańcowego”, oraz najpiękniejszą kobietę, jaką w życiu widziałam. Stali w wielkim parku, w tle widać było setki ludzi, ale ja nie mogłam oderwać oczu od kobiety. Miała blond włosy zebrane w kok i enigmatyczny uśmiech, jakby wiedziała coś, czego nikt poza nią nie wie. Przyszło mi do głowy, że gdyby Najświętsza Panienka żyła teraz, wyglądałaby jak ona. Nie wątpiłam, że Bóg przesyła mi wiadomość. Podpis pod zdjęciem głosił, że jest to Grace Kelly; na zdjęciu ubrana była w kremowy sweterek i czerwone spodnie, które miały męski krój. Kobiety w spodniach widywałam tylko w czasopiśmie, mama ani żadna inna mieszkanka naszego miasteczka tak się nie ubierały, ale ogarnęło mnie pragnienie, żeby mieć spodnie dokładnie takie jak na zdjęciu, czerwone. Postanowiłam, że natychmiast wrócę do domu i poproszę mamę, żeby mi je uszyła.

Pięć tygodni, trzy dni i siedem godzin później — tyle czasu zajęło mi przekonanie mamy, żeby zamówiła wzór w Anglii, kupiła czerwoną bawełnę u Foylesa i uszyła — zaciskałam palce na drzwiach szafy, odsuwając o kilka sekund cudowny moment, kiedy zobaczę siebie w całej okazałości w wielkim lustrze. Miałam na sobie ulubioną bluzkę w niezapominajki, którą ciocia przysłała mi z Ameryki, ale — ojej! W koronkowych sukienkach na pierwszą komunię i bierzmowanie czułam się wyjąt-

kowo w święty sposób, jak mała oblubienica Chrystusa, ale to było coś zupełnie innego. Położyłam dłoń na talii i pokręciłam biodrami. Wyrzuciłam w górę jedną, potem drugą nogę. Wcześniej martwiłam się, że będę wyglądała jak chłopiec, ale zupełnie niepotrzebnie. Pamiętam, jak zastanawiałam się nad tym, co czuję, i uznałam, że najlepszym określeniem jest słowo „wolna”. To dobre samopoczucie musiało coś oznaczać, pomyślałam więc, że to pewnie następny znak od Boga.

ROZDZIAŁ TRZECI

Skrećając w przecznicę po dramatycznym wyjściu, usiłowałam złagodzić swoją wściekłość obrazem Eileen siedzącej z głową w dłoniach i żałującej, żałującej, głęboko żałującej, że jedyne dziecko w tak bezmyślny sposób dowiedziało się o jej chorobie. Zanim jednak ten obraz zdążył się w pełni ukształtować, uświadomiłam sobie, że jestem na dobrej drodze do poniesienia klęski. Śmiertelny nowotwór dawał mamie przewagę w kwestii poczucia winy. Muszę wrócić i wszystko naprawić. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam sobie, że nasza kłótnia nie ma znaczenia. Powinnam przeprosić, bo w ostatecznym rozrachunku nie jest ważny sposób, w jaki się dowiedziałam, ale to, że mama jest śmiertelnie chora i w tej sytuacji musimy być razem.

Nie było mnie pięć minut, spodziewałam się więc, że zastanę mamę tam, gdzie ją zostawiłam, czyli w kuchni jedzącą lunch albo ze smutkiem sprzątającą naczynia. Wyobrażałam sobie, jak stoi przy zlewie, odwrócona do mnie plecami, i wyraźnie nieruchomieje na dźwięk moich kroków. Podejdę, obejmę ją i powiem: „Och, mamó”. A potem żadne słowa nie będą potrzebne, przytulimy się, rozpłaczemy, zrobimy to wszystko, co w podobnych chwilach robią matki i córki.

Ale kiedy otworzyłam drzwi wejściowe, od razu się zorientowałam, że mama jest na piętrze. Podążyłam za radosną chrześcijańską muzyką płynącą z radia w sypialni, gdzie mama tylko w staniku siedziała przed toaletką i suszyła włosy. Śpiewała razem z radiem piosenkę, której nie znałam. Nawyk słuchania stacji nadającej chrześcijańską muzykę zawsze mnie irytował. Raz zapytałam ją, czy ma zamiar „na nowo się odrodzić”, a ona odpowiedziała, że to po prostu łatwy sposób na zapewnienie obecności Boga bez konieczności chodzenia na mszę. Pomysł wydał mi się nie tylko idiotyczny, ale kompletnie pozbawiony jakiegokolwiek duchowej integralności.

— Rany boskie, nie słyszałam, jak weszłaś — powiedziała, podskakując lekko na widok mojego odbicia w lustrze. Nawijała pasma włosów na okrągłą szczotkę, po czym je odrzucała; pokryte plamami ciało na jej ramionach trzęsło się przy każdym ruchu. Nie wyglądała na rozgniewaną czy przygnębiającą, więc moje plany przeprosin straciły na intensywności.

Podeszłam do niej i położyłam dłonie na jej gołych ramionach. Skórę miała miękką i suchą, rozgrzaną od suszarki.

— Mamo — zaczęłam. Nawet ja słyszałam, że głos mam nabrzmiął od śmiertelnej powagi.

— Och, przemarzałaś. — Zerwała się z krzesła i szybko podeszła do łóżka. — Poczekaj, tylko się ubiorę.

Rozmowa, którą ułożyłam sobie w myślach, najważniejszą rozmową mojego życia, została w tym momencie przzerwana drobną, acz niezwykle irytującą myślą. Bluzka była fioletowa.

— To bluzka Shirley?

Mama była wyraźnie zachwycona. Zarówno bluzką, jak zmianą tematu.

— Tak. Zaraz po twoim wyjściu zadzwoniła i zaprosiła mnie na lunch.

— Myślałam, że masz jej oddać tę bluzkę.

Teraz irytowałam się na siebie. Mama ma raka, bluzka Shirley jest bez znaczenia, a jednak zapląt u je się w szczegóły jej bezsensownych układów z przyjaciółką.

To była kolejna z cech matki, które starzejąc się, nieświadomie i strasznie denerwująco przejmowałam. Jakby cały zapas energii zużywanej na bunt przeciwko upodobnieniu się do niej uległ wyczerpaniu, kiedy skończyłam czterdzieści lat. Pewnego dnia złapałam się na tym, że kupuję termofor, jakbym została genetycznie zaprogramowana. Zawsze wierzyłam, że samotna czterdziestotrzyletnia kobieta korzystająca z termofora wysyła negatywne sygnały o swojej seksualności, ale pomimo tego przekonania nie mogłam się oprzeć pokusie miłego zapachu rozgrzanej gumy. To samo odnosiło się do watowanych wkładek do obuwia, ciepłych kołnierzy, podkolanówek, rozkładania ścierki do naczyń na suszarce bez żadnego logicznego powodu i sporządzania list. Po tym, jak mama przez wiele lat zmuszała mnie, żebym na lotnisko odwoziła ją dwie godziny przed odprawą, stwierdziłam, że nie jestem w stanie nigdzie się spóźnić, zwykle przychodzę na pół godziny przed umówionym czasem. Wszędzie zabierałam ze sobą książkę i mówiłam sobie, że w ten sposób tworzę dodatkową przestrzeń na lektury, w rzeczywistości jednak zmieniałam się w mamę. Powoli, niekiedy niedostrzegalnie, na przykład przez sposób, w jaki rozciągałam usta i unosiłam brodę przed obiektywem. W przeszłości potrafiłam całkowicie się od niej odróżnić, ale malejące zainteresowanie modą i lekkie zwiotczenie rysów też miały swój udział w tym, że teraz byłam wyższą i młodszą wersją mamy. Mogłabym sobie poradzić

z aspektem fizycznym, natomiast świrowałam na myśl, że drogą jakiejś przerażającej duchowej osmozy przejmuję cechy jej charakteru. Pozwolenie, by moją uwagę od kwestii życia i śmierci odwrócił równie błahy drobiazg jak pożyczona bluzka, było mi kompletnie obce.

— Och, ta bluzka. — Mama nabrała powietrza, otworzyła szeroko oczy i palcami przeczesła włosy, co zwiastowało, że zaraz opowie „anegdotę”.

Opanowałam się i pojęłam, że nie jestem gotowa na następną rozmowę o Shirley, więc uniosłam dłoń równie dramatycznym gestem.

— Mamo, nie chcę...

Ale pociąg już odjechał ze stacji.

— Shirley zadzwoniła i powiedziała, że biorąc wszystko pod uwagę, mogę zatrzymać bluzkę tak długo, jak zechcę. Popatrz, markowa. — Podetknęła mi metkę pod oczy. — No więc sobie pomyślałam, że najlepiej jej podziękuję, jak od razu ją włożę. Idziemy do Debenhamsa, bo właśnie skończyli remont kawiarni. Ściany z terakoty i malowidło ściennie z elfami, głowę dają, że rewelacyjne. Może pójdziesz z nami? Shirley na pewno się ucieszy.

Powiedziała Shirley o raku. To dlatego ta upiorna baba dała jej bluzkę — wiedziała, że Eileen umrze w ciągu pół roku. Moje życie z matką, czyli całe moje życie, w tym momencie zostało podsumowane. Ona nie była w stanie mi powiedzieć, ja desperacko pragnęłam być z nią blisko. Moja matka umiera na raka i nie potrafi czy ściślej rzecz biorąc, nie czuje potrzeby porozmawiania ze mną o tym. Może jednak rozmawiać z Shirley, co więcej, zwrotem „biorąc wszystko pod uwagę”, ta okropna kobieta mojej matce mówi: „Możesz nosić moją bluzkę do dnia śmierci” albo „Dam ci tę bluzkę, żeby umilić ci ostatnie pół roku życia”.

Sednem nie były intencje Shirley, ale raczej to, że jej pusty, pozbawiony gustu, źle obliczony w czasie gest zdołał sprawić, że mama w ciągu niecałych dziesięciu minut zapomniała o ponurym nastroju. Tym samym po raz drugi w scenie pierwszej przypuszczalnie ostatniego aktu życia mojej matki główną rolę odegrała Shirley, jej straszna najlepsza (od niecałego miesiąca) przyjaciółka. Tymczasem ja, jej córka, jeszcze oficjalnie nie dowiedziałam się o chorobie.

Czy naprawdę jesteśmy w stanie pogodzić się po kłótni z rodziną? Kochankowie mogą pójść do łóżka, bywa, że porządna awantura zwiększa intymność. Przyjaciele albo ze sobą zrywają, albo zbliżają się do siebie. A członkowie rodziny najczęściej upierają się przy swoim. Jakże często trzeba problem przełknąć albo do końca życia z tą osobą się nie spotykać. Powodem kłótni nierzadko jest jakiś idiotyzm w rodzaju skrytykowania nowych mebli ogrodowych czy prawa własności do porcelanowego pieska po świętej pamięci babci. Naturalnie każda rodzinna kłótnia ma swoje źródła w urazach z dzieciństwa, a mój problem z Shirley wynikał z tego, że nigdy nie czułam takiej bliskości z mamą, jak bym chciała, i byłam zazdrosna. Po latach terapii i uzdrawiających weekendów spędzonych na medytacji powinnam była to wszystko wiedzieć, a jednak wciąż, wciąż uważałam, że winna jest mama. Dlaczego rozmawia z Shirley, a ze mną nie? Jak może przedkładać kiczowatą bluzkę nad emocjonalne dobro córki? Pewnie miała powody, dla których Shirley pierwszej powiedziała o raku, ale to były marne powody, a ona była marną matką. Nagle znowu zachowywałam się jak dziecko, cały ten scenariusz był od początku do końca zły.

Potem rozsądek mi wrócił, przynosząc obraz tego, co się wydarzy, jeśli w tej konkretnej chwili jeszcze raz po-

wiem „Shirley”. Mama wybiegnie z pokoju, ja wsiedę do samochodu i jak przedtem skręcę w przecznicę, później wrócę i powtórzmy tę samą kłótnię. To może trwać całymi dniami, tygodniami, miesiącami. Mama umrze, zanim uda nam się rozwiązać kwestię powiedzenia mi lub nie o raku. Ważne było, żeby ta sprawa przestała krążyć mi w myślach, zanim nabierze większego impetu. Ważne było, żeby teraz ją skłonić do powiedzenia.

— Mamo, usiądź.

— Naprawdę nie mam czasu, Grace. Powiedziałam Shirley, że...

— Proszę, mamo. — Utkwiłam w niej wzrok i błagalnym tonem dodałam: — To ważne.

Spojrzała na mnie z uporem, potem usiadła. Bluzkę miała rozpiętą, dłonie splecione między kolanami jak dziecko, które zaraz usłyszy solidną burę. Przyciągnęłam taboret sprzed toaletki, usiadłam naprzeciwko niej i ująwszy obie jej dłonie, położyłam je sobie na kolanach.

— Powiedz mi, co się dzieje, mamo.

Unikała mojego wzroku i na sekundę z jej twarzy zniknęła brawura. Zobaczyłam prawdziwy strach, chociaż nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy jest to strach przed śmiercią czy po prostu strach przed powiedzeniem mi o tym. Pewnie po trochu jedno i drugie.

Zaraz jednak na jej twarzy pojawił się szeroki i zbyt wesoły uśmiech. Uścisnęła mi dłonie protekcyjnie i energicznie powiedziała:

— Wszystko w porządku, Grace. Nie masz powodu do niepokoju. Nic mi nie będzie, naprawdę.

Odsunęła moje ręce i wstała, zapinając bluzkę. Dołożyłam starań, by mój głos zabrzmiał spokojnie.

— Daj spokój, mamo, czytałam notatkę. Wiem, że masz rzadką odmianę sarkomy, że nowotwór jest

w czwartym stadium. Wyznaczyli już datę operacji? Musisz mi powiedzieć, mamó. Musimy to uporządkować, nie wiem, poczynić plany.

Na tym etapie Eileen była już w progu.

— Nie mam na to czasu, Grace. Poszłam za nią po schodach.

— Mamó, bardzo proszę, wcześniej czy później będziesz musiała ze mną porozmawiać. Muszę wiedzieć, co się dzieje. — Mówiłam jak lamentująca nastolatka. W momentach kryzysowych dziecko zawsze się ujawnia.

Tak samo jak rozgniewany rodzic. Mama otworzyła drzwi wyjściowe, ale zmieniła zdanie. Zamknęła je, żeby sąsiedzi nie usłyszeli krzyków. Mama rzadko robiła mi awantury. Z wczesnego dzieciństwa pamiętam, jak czasami krzyczała na mnie z powodu spraw, o których wiedziałam, że są ważne, takich jak znikanie jej z oczu w sklepie albo bawienie się kocimi odchodami, ale nawet wtedy te krzyki wydawały się puste. Nigdy nie wierzyłam, że mówi serio. Tym razem uwierzyłam.

— Nic ci nie muszę mówić, Grace. To jest moje życie, a ja powyżej uszu mam twojego wtrącania się. Będę żyła i umrę tak, jak mi się spodoba, słyszysz? Pilnuj swojego cholernego nosa!

Zatrzasnęła drzwi i wyszła na lunch ze swoją przyjaciółką Shirley.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W wieku jedenastu lat byłam dumna z mojej kolekcji religijnych bibelotów i ozdób. To były typowe rzeczy: opaska Rodziny Różańcowej, mundurek Legionu Maryi, w tym beret i ogromny cudowny medal na szerokiej błękitnej wstążce. Ciotka mojego ojca była zakonnica w Londynie i regularnie przysyłała mi zapas medali i guzików, które wyciągałam i liczyłam jak bankier. Miałam dwadzieścia pięć medali z Matką Boską, w tym pięć kolorowych i siedem niebieskich, dwa ze świętym Marcinem de Porres, jeden ze świętym Antonim, dwa ze świętym Franciszkiem, jeden ze świętym Jakubem, jedenaście ze świętym Patrykiem i jeden ze świętym Krzysztofem z prawdziwego srebra, który należał wcześniej do mamy, a ja dostałam go na dziesiąte urodziny i przechowywałam w specjalnym pudełku. Nie liczyłam medali z Przenajświętszym Sercem, ponieważ zrobione były z materiału i papieru, natomiast jeśli chodzi o różańce, miałam aż cztery. Dwa szklane, różowy i zielony, z pierwszej komunii, biały plastikowy na co dzień i jeden pobłogosławiony przez papieża, który przysłała mi ciotka. Ten najmniej lubiłam, bo był zrobiony ze zwykłych granatowych paciorków. Znajdował się w prostej sakiewce

ze sztucznej skóry, na której widniała pieczęć „Pamiątka z Watykanu”, więc wiedziałam, że jest wyjątkowo święty, ale irytowało mnie, że przedmioty nie mogą być święte i ładne zarazem. Jedynym wyjątkiem od tej reguły i przedmiotem, którego najbardziej na świecie pragnęłam, była peleryna Dzieci Maryi.

Już należałam do Legionu, tak samo jak moje rodzeństwo. Nasza matka, Carmel, była sekretarką miejscowego oddziału, odwiedzaliśmy starych ludzi i generalnie spełnialiśmy dobre uczynki na rzecz Kościoła i miasteczka. Ale Dzieci Maryi to była zupełnie inna organizacja. Należać mogły do niej tylko kobiety i dziewczęta od szesnastego roku życia, a jej celem było oddawanie czci Matce Boskiej. Każda członkini dostawała medal ze swoim imieniem, świadectwo, modlitewnik i „mundur” składający się z prostej białej sukni i peleryny. Peleryna była błękitna jak niebo i długa, z miękkim kapturem, a uszyć można ją było z każdego materiału, byle w odpowiednim odcieniu błękitu. Moja mama należała do Dzieci Maryi i pelerynę miała z wełny, ale obiecała mi, że swoją będę mogła uszyć z ciężkiego jedwabiu. Dzieci Maryi nosiły ten strój w czasie ważnych uroczystości religijnych i musiały o niego dbać, bo po śmierci w nim kładziono je do trumny. Miały też gromnicę do zapalenia przy trumnie, którą jeśli to możliwe, należało trzymać w chwili śmierci. Byłam w Aniołach Maryi, młodszej wersji Dzieci. Dzięki temu starsi mogli mieć na ciebie oko, kiedy dorastałaś, i upewnić się, że jesteś dostatecznie dobra i święta, żeby zostać Dzieckiem. Błękitna peleryna była najlepszym środkiem odstrasającym od popełnienia grzechu, jaki mogłam sobie wyobrazić, chociaż jako jedenastolatka musiałam czekać jeszcze pięć lat — całe życie — zanim ją dostanę.

Czasami się martwiłam, że umrę, zanim wstąpię do Dzieci i dostanę pelerynę. Nie miałam pojęcia, co się dzieje ze zwykłymi Aniołami po śmierci, a kiedy zapytałam mamę, odparła:

— Przestań mówić o śmierci, Eileen, to niezdrowe.

Nabrałam zwyczaju noszenia przy sobie świecy z pierwszej komunii wszędzie tam, gdzie myślałam, że mogę umrzeć. Na przykład wkładałam ją do kieszeni płaszcza w dzień targowy, na wypadek gdyby stratował mnie koń ciągnący furmankę albo krowa. Niekiedy odgrywałam tę scenę w wyobraźni. Leżę na środku Bridge Street, zmiażdżona kopytami jakiegoś zabłąkanego zwierzęcia. Ludzie oczyszczają przestrzeń dokoła, przy mnie klęczy matka i lamentuje: „Eileen! Eileen, moja jedyna córko!”. (To nie była prawda, miałam przecież siostrę, ale w chwilach takich jak ta matki mają skłonność do zapominania o wszystkim.) Ostatkiem sił sięgam do kieszeni płaszcza, ludzie wstrzymują oddech, a ja wyjmuję świecę i przyciskam do piersi. Z twarzą zalaną łzami ojciec zapala świecę: „Moja córeczka Eileen, moje jedyne dziecko!”. (Brat także chwilowo pójdzie w niepamięć.) „Odezwij się do mnie, powiedz coś!”. Unoszę wzrok, widzę krąg przerażonych, wstrząśniętych twarzy i od razu wiem, co mam zrobić: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego...”. Dobrzy ludzie z Ballamore wyciągają z torebek i kieszeni różańce, żeby odmówić kolejne dziesiątki różańca za duszę tej wyjątkowo odważnej i pobożnej dziewczynki. W pełnej wersji, do której się uciekałam, kiedy byłam przygnębiona albo zmartwiona, otaczał mnie promień białego światła i każdy, kto kiedykolwiek mnie zdenerwował, widział, jak wznoszę się ku chmurom, połyskliwa błękitna peleryna cudem pojawia

się na moich ramionach, a ja z twarzą pełną niewinnej egzaltacji czekam, aż spocznę na kolanach Marii, Matki Boskiej.

Na razie jednak musiałam zadowalać się ukradkowym przymierzaniem peleryny, kiedy mamy nie było w domu. Podczas przygotowań do wizyty księdza Peytona nie było jej w domu często.

Papież ogłosił rok 1954 rokiem maryjnym, ale mieszkańcom Ballamore i okolicy rok ten zapisał się w pamięci dzięki przyjazdowi księdza Patricka Peytona, Różańcowego Krzyżowca. Ksiądz Peyton nazywany był Współczesnym Apostołem Rodzinnej Modlitwy i przy pomocy hollywoodzkich gwiazd takich jak Gregory Peck i Bing Crosby prowadził krucjatę mającą na celu wprowadzenie różańca do dziesięciu milionów domów w całej Ameryce. Urodził się w Attymass, małej wiosce w hrabstwie Mayo, i powrót miejscowego bohatera wywołał w mieście wielkie poruszenie.

Moi rodzice należeli do zagorzałych wyznawców księdza Peytona i podobnie jak większość naszych sąsiadów byliśmy członkami jego obejmującej cały świat organizacji o nazwie Rodzina Różańcowa, co zasadniczo oznaczało, że co wieczór po kolacji całą rodziną klękaliśmy i odmawialiśmy dziesiątkę różańca.

Kiedy rozeszła się wiadomość o jego przyjeździe w czerwcu, liczba członków Legionu Maryi poszybowała w górę. To dla każdego była szansa na przejście w galowym stroju przed człowiekiem, który ścisnął dłonie Bingowi Crosby'emu i Grace Kelly. Na wiele tygodni wcześniej mama gorączkowo pracowała. We wszystkich okolicznych sklepach zabrakło strojów, więc berety i medale trzeba było przywieźć z Dublina; pomnik stojący naprzeciwko pałacu biskupiego należało odmalować,

przygotować miejsca siedzące w parku, ławki, punkty z żywnością i herbatą, ustalić hierarchię organizacji religijnych i szkół, zapewnić noclegi przyjezdnemu duchowieństwu i transport dla starych i chorych, i tak dalej, i tak dalej, amen. Mama była taka zajęta, że nawet nie zauważyła, że czerwone spodnie noszę całymi dniami, a nie tylko na „odpowiednie okazje”, jak mi przykazała.

Zaraz po powrocie ze szkoły biegłam na górę do swojego pokoju i wkładałam je. W nich szłam do miasta po wiadomości, w nich siedziałam na murku nad rzeką i rozmawiałam z moją przyjaciółką Breege, poszłam w nich nawet na niedzielną mszę. Breege na początku odnosiła się do mojego nowego stroju z rezerwą. Wcześniej dziewczyny w spodniach widywała wyłącznie w filmach. Jej matka powiedziała, że nie uchodzi, żeby młoda dziewczyna biegała po mieście w takim wyzywającym stroju, i będzie musiała porozmawiać o tym z moją mamą. Błagałam Breege, żeby odwiodła ją od tego zamiaru.

— Ale przecież spodnie to grzech, no nie, Eileen?

— Wcale nie. Bo mama by ich dla mnie nie uszyła, a mama to najświętsza kobieta w Ballamore!

— Ale spodnie noszą tylko kobiety z Hollywood, a moja mama mówi, że to grzesznice.

— Nie ta kobieta, Breege. Nie ta.

Nie rozstawałam się z fotografią Grace Kelly i uznałam, że to odpowiedni moment na ogłoszenie teorii o sławnej aktorce będącej inkarnacją Najświętszej Panienki. Początkowo Breege nie kryła sceptycyzmu, ale ją przekonałam.

— Sama zobacz, jak ksiądz Peyton na nią patrzy. — Wskazałam przyjacielską twarz przystojnego irlandzkiego kapłana. — On ją po prostu uwielbia, Breege, ado-

ruje, a jest duchownym, im nie wolno adorować żadnych kobiet z wyjątkiem Matki Boskiej.

Kiedy to mówiłam, Bóg przekazał mi wiadomość pod postacią pewnego pomysłu.

Przez kilka następnych dni pomysł coraz bardziej się rozrastał, aż wreszcie spać mi nie dawała mieszanina strachu i podniecenia. Ani przez moment nie wątpiłam, że to nie jest przelotny kaprys — aczkolwiek istniał tylko jeden sposób na uzyskanie absolutnej pewności.

Trzy dni przed przyjazdem księdza Peytona mama wsadziła moje młodsze rodzeństwo do taksówki i wysłała do rodziny ojca w Ballyhaunis. Ojciec był w pracy, mama wyszła do miasta, więc miałam cały dom dla siebie.

Zaciągnęłam zasłony w sypialni rodziców, włożyłam czerwone spodnie i spod łóżka wyjęłam taboret, żeby sięgnąć do haka w szafie mamy, na którym wisiała peleryna. Ostrożnie, żeby nie zrzucić innych ubrań, zsunęłam z niej stare prześcieradło i zarzuciłam ją na ramiona. Była o wiele za długa, wymagała podwinięcia, ale zanim zaczęłam bawić się agrafkami czy paskami, musiałam mieć całkowitą pewność, że to nie jest tylko głupi pomysł, który załagł mi się w głowie, ale rzeczywiście wiadomość od Boga.

Stałam przed lustrem na drzwiach szafy i przyglądałam się sobie. Czerwone spodnie i błękitna peleryna wyglądały awanturniczo i romantycznie, jak strój Marian w „Robin Hoodzie”. Zamknęłam oczy i czekałam na wiadomość. Przekaz rozpoczął się, kiedy światło pod moimi powiekami nabrało czerwonej barwy, bo przez maleńką lukę w ciężkich wełnianych zasłonach przedarł się promień słońca. Ogarnięta podnieceniem bałam się unieść powieki, a kiedy to zrobiłam, ledwo mogłam uwierzyć w czary, których byłam świadkiem. Na moich kolanach

tańczył biały ogień, skacząc po spodniach i pelerynie jak wróżka. Po kilku sekundach światło zgasło, a mnie coś przyciągnęło do okna. Podeszłam, choć istniało poważne ryzyko, że ktoś zobaczy mnie w pelerynie. Zwykle nie byłam taka odważna, więc to bez dwóch zdań był kolejny cud. Rosnąca za oknem sypialni japońska wiśnia zaszeleściła, a za nią zobaczyłam ostateczną odpowiedź: tęczę. Poprzez tęczę Bóg mówił mi, że mam rację. Zawsze kiedy wątpiłam we własną intuicję, szukałam na niebie tęczy, a jeśli ją znalazłam, wiedziałam, że krocę drogą wyznaczoną przez Boga.

Bóg chciał, żebym w takim stroju poszła na spotkanie z księdzem Peytonem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mama wychowała mnie na katoliczkę, ale moja wiara nigdy nie była głęboka. Kiedy miałam trzynaście lat i zaczęłam zadawać pytania, religia rozpadła mi się na kawałki. To był także czas wielkiej ciekawości dotyczącej ojca. Odszedł, kiedy miałam cztery lata, i pozostały mi po nim skąpe wspomnienia: zwinięta w kłębek leżą senna na jego kolanach, suszy mi włosy ręcznikiem przed elektrycznym kominkiem. W kominku były plastikowe węgle, po których skakało światło, tworząc wrażenie migoczącego ognia. To, że lepiej pamiętam elektryczny kominek z lat siedemdziesiątych niż ojca, przypuszczalnie dowodzi, jak rzadko bywał w domu. Mama powiedziała tylko, że był alkoholikiem. Umarł, kiedy skończyłam dziesięć lat, a do tego czasu zupełnie stracili kontakt. Był pisarzem, rzecz moim zdaniem cudowna, i o jego śmierci mama przeczytała w gazecie. Zmartwiło mnie, że umarł, zanim się z nim spotkałam, choć bardziej niepokoiła mnie idea samej śmierci. To było moje pierwsze doświadczenie naszej śmiertelności i pewnie doprowadzałam mamę do obłędu pytaniami. Jaki naprawdę był tata? Dlaczego dałaś mu odejść? Czy Bóg istnieje? A jeśli tak, dlaczego pozwala, żeby zdarzały się złe rzeczy? Dlaczego lu-

dzie umierają? W tej przełomowej fazie, kiedy z dziecka przekształcamy się w młodego dorosłego, nieodmiennie zadajemy tego rodzaju pytania. Mama nie była w stanie udzielić mi satysfakcjonujących odpowiedzi na żadne z nich, ani osobiste, ani etyczne, dlatego dość wcześnie przestałam szanować jej „ślepią wiarę”. Już sam ten zwrot pachniał ignorancją. Po dwudziestce odkryłam samopomoc, techniki uzdrawiania emocjonalnego i jogę, które stworzyły fundamenty systemu wierzeń o wiele bardziej dla mnie znaczącego niż papuzie odmawianie modlitw w Kościele katolickim.

Kościół katolicki pełnił ważną rolę w moim dzieciństwie, ponieważ miałam czternaście lat, kiedy mama przestała pracować jako gospodyni na plebanii. Ksiądz Price był naszym dobrym przyjacielem, miał młode serce i wyprzedzał swoje czasy. Rzadko chodził w sutannie, a mama mówiła do niego po imieniu. Często myślę, że skrycie się w nim kochała, bo kiedy jego następcą przywiózł swoją gospodynię, mniej się martwiła utratą pracy niż wyjazdem Franka na misję. Wydaje mi się, że przez jakiś czas pozostawali w kontakcie, ale po jego wyjeździe wiara mamy coraz bardziej słabła. Starła się chodzić na niedzielne msze, choć łatwo było skusić ją czymś innym, często tak nieistotnym jak program telewizyjny czy przyrządzone przeze mnie późne śniadanie.

Uważałam, że jej wiara jest chwiejna i pozbawiona oddania, korzeniami tkwiąca raczej w nawykach niż szczerym przekonaniu. Nigdy nie krytykowała mnie za odejście z Kościoła, ale też nigdy nie uznała mojej podróży w uzdrawianie i medytacje za formę duchowości. Kochałam mamę i zawsze liczyłam, że pewnego dnia uda mi się skłonić ją do poszerzenia duchowych horyzontów.

W połowie lat dziewięćdziesiątych myślałam, że to możliwe. Latem 1992 roku ujawniono, że Eamon Casey, charyzmatyczny i uwielbiany biskup Galway, ma dziecko. Matka chłopca, Annie Murphy, opowiedziała mediom o swym związku z biskupem, o tym, jak źle traktował ją i syna, ale nawet ona nie przypuszczała, jaką powódź podobnych wyznań to spowoduje. Przez następne lata skandal gonił skandal. Młodsze pokolenie dostało doskonały pretekst do odrzucenia skostniałego Kościoła, z którym i tak w żaden sposób nie mogło się identyfikować. Starsi, dla których było za późno na odwrót, poparli teorię o spisku mediów przeciwko duchowieństwu. Ale to kobiety z pokolenia powojennego wyżu demograficznego traciły wiarę. Wiele odeszło z Kościoła. Oto instytucja, która kontrolowała je w dzieciństwie i ograniczała jako kobiety, nakazując, by zostawały z maltretującymi je mężami, i odmawiając im prawa do antykoncepcji. A teraz, gdy osiągnęły wiek średni w bezpiecznym przekonaniu, że postępowały dobrze, przez całe życie wypełniając Boskie przykazania, Kościół katolicki okazał się organizacją pełną ludzi słabych, często złych. Skandale z wykorzystywaniem dzieci, pralnie magdalenek, gdzie dziewczęta przez całą nieplanowaną ciążę harowały jak niewolnice, a po porodzie oddawały dzieci do adopcji, głoszący wartości rodzinne bogaci biskupi, którzy sami mieli dzieci, ale nie przyznawali się do ojcostwa. Kobiety takie jak moja matka, lojalne, przestrzegające zasad katolicki, czuły się zranione i zdradzone, więc masowo odchodziły z Kościoła.

Byłam zaangażowana w ten proces, ponieważ prowadziłam kobiecą grupę czytelniczą w ośrodku irlandzkim blisko szkoły, w której uczyłam. Grupa nosiła nazwę „Uzdrowiaj się i czytaj” i odznaczała się quasi-samo-

pomocowym charakterem, jako że zajęcia polegały na głośnym odczytywaniu rozdziałów modnych w tamtym okresie książek, takich jak „Biegająca z wilkami” czy „Kobiety, które kochają za bardzo”, oraz dyskusji, zwykle dotyczącej kwestii osobistych: mężów alkoholików, zbuntowanych dzieci, oziębłych rodziców, a po przerwaniu milczenia przez Annie Murphy także gniewu na Kościół katolicki. Po kilku tygodniach znałyśmy się bardzo dobrze, chociaż jako prowadząca zobowiązana byłam do zachowywania pewnego dystansu i rzadko spotykałam się z nimi poza zajęciami. Mary, Bernadette, Finoula, Niamh i Cathleen były dla mnie objawieniem, tak bardzo przypominały mi mamę. Wszystkie po pięćdziesiątce, absolwentki szkół prowadzonych przez zakonnice, lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte spędziły w domach na przedmieściach, zbierając okruchy po sucharkach z obitych nylonem kanap, gotując obiady dla zmęczonych mężów, karmiąc dzieci i zabierając córki na lekcje tańca irlandzkiego do zimnych przykościelnych sal. Podczas gdy one wykręcały tetrowe pieluchy, dziękując Bogu, że w tym miesiącu udało im się zaoszczędzić na zakup wyżymaczki, Joan Baez z tranzystora w kuchni śpiewała o rewolucji. Erica Jong, Germaine Greer, Gloria Steinem, wolność myśli, wolna miłość — wydawało się, że wszyscy są wolni, tylko nie one. Przełknęły to jakoś, ponieważ drogę ich życia wytyczyła władza wyższa od polityków czy artystów. W połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy Kościół tak dotkliwie je zawiódł, zaczęły się zastanawiać nad wszystkim, co je ominęło. Mogły odejść od mężów, sypiać z kobietami, założyć zespół, zająć się sztuką. Patrzyłam, jak ta niezwykła grupa wykorzystuje swój gniew do zrobienia czegoś pozytywnego. Z czasem odkryły jogę, malarstwo i „Możesz uzdrowić swoje życie”

Louise Hay. Dwie zostawiły mężów, wszystkie odeszły z Kościoła.

W tamtym okresie czułam, że dzięki tym kobietom mam wgląd w warunki, które ukształtowały moją mamę. Chociaż kilka razy próbowałam z nią porozmawiać, zmieniała temat i odmawiała dyskusji o tym, co dzieje się w jej Kościele.

Wyczuwałam, że zmaga się z wątpliwościami dotyczącymi wiary, i bolało mnie, że nie chce o tym mówić, zwłaszcza że pracowałam z kobietami znajdującymi się w takiej samej jak ona sytuacji. Podobnie jak wiele razy w przeszłości sytuacja, która powinna nas zbliżyć, tylko nas od siebie oddaliła. Nie ufała mi na tyle, żeby ze mną sprawę przedyskutować, chociaż podejrzewałam też, że jej zdaniem nie ma o czym dyskutować. Wbrew moim nadziejom należała do ludzi, którzy czepiali się religii z ostrożności i zwyczaju, najważniejszych cech wykorzystywanych od stuleci przez Kościół, by kobiety utrzymywać w ryzach.

Nie miałam od niej wiadomości od chwili, gdy zostawiła mnie na schodach niezdolną wykrztusić słowa. Nazajutrz nie potrafiłam poradzić sobie z uczuciem rozpaczliwego strachu, odwołałam więc wszystkie spotkania i poprosiłam Sita, by mnie przyjęła.

Sita była moją przyjaciółką i terapeutką. To wykluczające się terminy, ale nasza relacja pacjentka-terapeutka została złagodzona stosunkami towarzyskimi. Polecił mi ją mój były mąż Jack, który sam także był terapeutą. Po trzech miesiącach sesji zaczęłyśmy wpadać na siebie na różne imprezy „New Age”, na których bywali wspólni przyjaciele: warsztaty weekendowe jogi, uroczystość nadania imienia dziecku, więc ze względu na swoje związki z Jackiem Sita uznała, że postąpiłaby niepro-

fesjonalnie, gdyby nadal mnie leczyła. Ja natomiast już wcześniej doszłam do wniosku, że jest najbardziej inspirującą osobą, jaką w życiu spotkałam, i w żadnym razie nie chciałam rezygnować z jej przyjaźni. Była ode mnie dziesięć lat starsza; jako dyplomowana lekarka prowadziła znany gabinet medycyny ajurwedyjskiej, potem uzyskała uprawnienia psychoterapeuty. Do Anglii przyjechała z Kalkuty w dzieciństwie i była żarliwą buddystką. Uwielbiałam ją pod względem zawodowym i osobistym. Jej umiejętnościom i przenikliwości terapeutycznej towarzyszyła ciepła, charyzmatyczna osobowość i silny charakter. Sita wynosiła godną zazdrości „wszechwiedzę” przeciętnego psychoterapeuty na zupełnie inny poziom i to było najważniejsze. W kontaktach z większością ludzi byłam pewna siebie, niektórzy uważali mnie za władczą. Sita potrafiła komunikować się z moim wnętrzem i była jedyną osobą, przy której nie obawiałam się ujawniania swoich najsłabszych punktów. Na pewno była jedyną osobą, której ufałam na tyle, by polegać na niej w kwestiach tak bardzo osobistych, że łączyły się z duchowymi.

Sita trzymała się nieco na uboczu prawdziwego świata. Mieszkała w wielkim domu, z którego okien rozciągał się widok na morze, i spędzała w nim większość czasu, medytując, czytając i przyjmując pacjentów. Nigdy nie słyszałam, by na kogokolwiek narzekała albo mówiła podniesionym głosem, zawsze była spokojna i serdeczna.

Z upływem lat Sita stała się moją mentorką; gdybym się nie bała etykiety świra, powiedziałabym, że jest moim guru. Przychodziłam do niej, kiedy miałam taką potrzebę, rozmawiałam z nią godzinę, potem przekazywałam datek na dobroczynność. Sita była jedyną osobą na świecie, przy której czułam się całkowicie bezpieczna.

Tamtego dnia byłam wdzięczna losowi, że mogę się jej zwierzyć.

Pojechałam do niej wczesnym popołudniem. Dzień był pochmurny, szare niebo zlewało się z horyzontem. Nie mogłam liczyć, że piękne widoki rozproszą moje przygnębienie. Przez telefon wyjaśniłam pokrótce problem i Sita czekała na mnie z czajnikiem zielonej herbaty i uzdrawiającym uściskiem, chociaż obie wiedziałyśmy, że ani jedno, ani drugie nie daje zbyt wielkiej pociechy. Jak zwykle porozmawiałyśmy o wszystkim przez dziesięć minut, potem zaprowadziła mnie do gabinetu. Na niskim meksykańskim stoliku stały misa z jaśminem i terapeutyczna świeca zapachowa. Nie zapytałam, jaki to aromat, ale przypominał mi lawendę. Sita usiadła naprzeciwko i przysunęła swoje krzesło bliżej, tak że nasze kolana niemal się stykały. Uniosła otwarte dłonie i gestem poleciła, żebym zrobiła to samo, potem złożyła je w modlitewną czarę i przycisnęła do ust na znak, że słucha. Zamknęła oczy, by lepiej mnie słyszeć. Ogarnął mnie smutek, że z tą kobietą łączy mnie głęboka zażyłość i rozumiem język jej ciała, a nie potrafię porozumieć się z własną matką. Słowa popłynęły chaotycznym strumieniem: lista, bluzka, Shirley. Śmierć, strach, żal, konsternacja, gniew — płacz, głos na granicy krzyku. Głównie to drugie. Bałam się, że jak raz zacznę krzyczeć, nie będę w stanie przestać, bo gniew okaże się zbyt wielki; martwiłam się, że mogę nawet zburzyć spokój Sity. Zmusiłam się więc do zamilknięcia i Sita łagodnie zapytała, czy na pewno „skończyłam”. Potaknęłam, ale to było kłamstwo. Mogłabym siedzieć u niej całą noc, przeklinając matkę i posyłając ją do diabła, więc kiedy Sita udzielała mi rad, słyszałam ją, ale nie przyjmowałam jej słów do wiadomości. Na twarzy miałam wyraz skupienia, za to na ciele mrówki stresu i paniki.

Wychodząc, podziękowałam Sicie za serdeczny spokój, który rzekomo czułam. Kiedy jednak jej dom zniknął mi z oczu, zatrzymałam samochód i zaczęłam w torebce szukać czegoś do pisania. Płakać mi się chciało na myśl o własnej niezdolności do zapamiętania ważnych duchowych rad Sity, ale zdawałam sobie sprawę, że jeśli ich nie zanotuję, wylecą mi z głowy. W końcu w schowku na rękawiczki znalazłam pióro kulkowe i na odwrocie kwitu parkingowego pośpiesznie zapisałam streszczenie porad Sity:

**Smierc /Bóg — szanowac wiare innych/ Dac mamie przestrzeń*

Na końcu z ociąganiem dopisałam:

**Pogodzic się z Shirley*

Pomimo szalejących w moim sercu uczuć wiedziałam, że muszę postąpić zgodnie z jej radami. Obiecałam, a poza tym innego wyjścia nie miałam. Jakimś sposobem w tym szoku, w którym od kilku dni pozostawałam, utraciłam wiarę w swoją zdolność osądu tego, co „słuszne”.

I tak jak moja matka musiałam uciec się do listy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W dniu przyjazdu księdza mama musiała wyjść wcześniej, by pomóc w ostatnich przygotowaniach, ustaliła więc, że na spotkanie pójdę z Breege i jej mamą, panią Feeney. Obie dziwnie mi się przyglądały, kiedy szłyśmy w stronę parku. Peleryna pod płaszczem nadała mi pękaty wygląd, choć ściągnęłam pasek tak mocno, jak tylko się dało. W ostatniej chwili uświadomiłam sobie, że zapomniałam ukryć czerwone spodnie, więc pośpiesznie podwinęłam je do kolan i byle jak przypięłam szpilkami z maminego pudełka z szyciem. Szpilki przy każdym kroku drapały mnie w kolana, poza tym było mi strasznie gorąco i niewygodnie w całym tym stroju. Przypuszczałam, że to miał na myśli Chrystus, gdy rzekł: „Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do mnie”.

Tłum zgęstniał, kiedy zbliżyłyśmy się do parku, a gdy dotarłyśmy na szczyt Wzgórza Świętego Patryka, widziałam wyraźnie, że pani Feeney tak jest zajęta pilnowaniem nas, że całkiem zapomniała o swojej ciekawości, co też mam pod płaszczem. Trzymając nas za ręce, wlokła przez tłum, aż doszłyśmy do sektora Legionu Maryi, znajdującego się bezpośrednio za ławkami dla duchowieństwa. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam. W parku

zwykle odbywały się mecze piłki nożnej, na kilku byłam z ojcem, ale teraz w miejscu chaotycznych grup krzyczących mężczyzn zobaczyłam starannie uporządkowane rzędy ludzi, których musiały być miliony. Kolejność wynikała z hierarchii i strojów. W pierwszym rzędzie siedzieli biskupi i inni dostojnicy. Za nimi ciągnęły się dwa rzędy ubranych w czerń zakonnic i księży, dalej Siostry Dobroczynności w bieli, potem Chrześcijańscy Bracia w brunatnych, przewiązanych pasami płaszczach. Prostopadle za nimi stały inne organizacje: Legion Maryi w beretach, z medalami, uczennice zakonnej szkoły w granatowych spódnicach, wykrochmalonych bluzkach i krawatach, pielęgniarki i wojsko. W prostokacie na odległym końcu trawnika stały Dzieci Maryi w pelerynach z kapturami. Błękit ich strojów tworzył barwną plamę na tle burzowych chmur, jakby peleryny wysały cały kolor z nieba. Kiedy wepchnięto mnie do szeregu obok Breege, żołądek nieprzyjemnie mi się ścisnął. Większość dziewczyn trzymała poskładane płaszcze przeciwdeszczowe, inne miały je na sobie. Zacisnęłam palce na guzikach swojego płaszcza i zaczęłam się modlić o deszcz. Z tą samą pewnością, z którą wcześniej wierzyłam, że dzisiaj wydarzy się cud, teraz wiedziałam, że popełniłam potężny błąd. Horyzont zapłonął od promieni słońca. Na początku tylko połyskiwał, ale po dziesięciu sekundach zalał Dzieci Maryi pełnym światłem, grożąc, że uniesie je wprost do nieba. Tłum jednogłośnie zamruczał; to był cud, więc jednak słońce zaświeci dla księdza Peytona. Kiedy ostatni niedowiarkowie zdejmowali płaszcze, odsłaniając swoje stroje, chciałam uciekać, wybiec z parku, usiąść samotnie na tyłach katedry i poważnie porozmawiać z Bogiem. Jak mogłam aż tak się pomylić? Cudem, który na dzisiaj Bóg przewidział, była zmiana pogody, a ja myślałam, że cho-

dzi o coś innego. Już chciałam wymyślić jakąś wymówkę, ból głowy, nudności, kiedy poczułam, jak zdecydowana dłoń pani Feeney odpina mi pasek i sięga do guzików.

— Nie! — krzyknęłam przerażona i wszyscy odwrócili się w stronę dziewczyny, która nie chce zdjąć płaszcza.

Pani Feeney nie lubiła sprzeciwu — żeby jej przeszkodzić, musiałabym szarpnąć ją za włosy albo uderzyć w twarz, na co miałam wielką ochotę — więc zdążyła rozpiąć prawie wszystkie guziki, zanim zdołałam się wyrwać.

— Matko Przenajświętsza. — Wstrząśnięta przeżegnała się na widok tego, co było pod moim płaszczem. Jedną dłoń przycisnęła do ust, drugą pokazywała na mnie, jakbym była Szatanem we własnej osobie.

Zakryłam twarz i rozplakałam się. Nie wiedziałam, dlaczego tak bardzo się wstydzę, to nie miało sensu, popełniłam tylko prosty błąd. Ale ponieważ wszyscy się na mnie gapili i sprawy toczyły się zupełnie inaczej, niż oczekiwałam, nie mogłam się powstrzymać. Patrick Łowny, przywódca grupy, przyszedł sprawdzić, co jest powodem tego zamieszania, i poprosił panią Feeney, żeby odprowadziła mnie do domu. Powiedział, że wytłumaczy to mojej mamie. Spojrzał na mnie z sympatią, ale wcale nie poczułam się przez to lepiej.

Pani Feeney prowadziła mnie do domu w kompletnym milczeniu, poszturchując, kiedy płaszcz mi się rozchyłał, i ciągnąc szorstko za rękę. Wiedziałam, że nie jest zła na mnie z powodu mojego postępuku, ale dlatego, że spełniając prośbę Patricka, opuści część spotkania z księdzem Peytonem. Pani Feeney należała do kobiet pokroju Maily Durcan, które cieszyły się, gdy innym ludziom wiodło się źle. Tak mówiła moja mama.

Pani Feeney wepchnęła mnie przez tylne drzwi do domu, rozkazała:
— A teraz siedź tu, Eileen Gardner, i myśl o tym, jak brzydko się zachowałeś!

I wtedy spadła na mnie cała groza mojego uczynku. Zmartwiłam mamę, tatę, najlepszą przyjaciółkę; przede wszystkim jednak uświadomiłam sobie, że przypuszczalnie zmartwiłam też najważniejszą ze wszystkich osobę: Boga.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Moja rozmowa z Shirley była tym, co entuzjaści terapii nazywają „pouczającym doświadczeniem”. Znalazłam numer w książce telefonicznej, chociaż miałam wyrzuty sumienia, że kontaktuję się z nią za plecami mamy.

Porady Sity jak zwykle były mgliste i otwarte na osobistą interpretację. Uznawszy, że „pogodzenie się z Shirley” oznacza uczynienie z niej przedmiotu codziennej medytacji, przywołałam w wyobraźni obraz jej groteskowo umalowanej twarzy i zaoferowałam ją wszechświatowi, a wszechświat odpowiedział tak: „Zadzwoń do Shirley i dowiedz się, co to za historia z rakiem mamy”. Przypuszczam, że bawiłam się duchowym ideałem bezwarunkowego wybaczenia, ale byłam w desperacji, a to w księdze moich zasad jest wytłumaczeniem.

— Halo, Shirley?

— Kto mówi?

Wypisz wymaluj kandydatka na zajęcia z tematu, jak grzecznie i z wdziękiem prowadzić rozmowy telefoniczne.

— Shirley, mówi Grace.

— Kto?

— Grace. Grace Blake. Córka Eileen Blake.

— Czyja córka?

Z roztargnieniem spojrzałam na kuchenny zegar. Czwarta. Szczęśliwa godzina. Albo i nie, różnie bywa.

— Eileen Blake. Twoja przyjaciółka. Jestem jej córką Grace.

Ciężki oddech. Myślę, że zapaliła papierosa. Nie ulegało wątpliwości, że przez telefon to mi się nie uda.

— Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy się spotkać. Chciałabym porozmawiać z tobą o mamie. — Twarz wykrzywiła mi się w koszmarnym grymasie. — Jeśli masz czas, chętnie zaprosiłabym cię na herbatę do Debenhamsa. Podobno niedawno odnowili lokal i...

— Spotkamy się w winiarni Mortona koło stacji, wiesz, gdzie to jest?

Tak się złożyło, że znałam ten lokal, chociaż dla mnie oznaczało to dodatkowe dwadzieścia minut na dojazd. Shirley najwyraźniej chciała znaleźć się tam tak szybko, jak to możliwe.

Kiedy przyszłam, siedziała przy barze i rozmawiała z nalanym pijanym facetem w biznesowym garniturze. Na pierwszy rzut oka widać było, że odbywają spotkanie Anonimowych Alkoholików, acz pozbawione pierwszego członu nazwy. Shirley należała do kobiet demonstrujących niezwykłą umiejętność balansowania z założonymi nogami na barowym stołku, choć mających problem z zejściem. Nie miało sensu, żebym udawała nieśmiałą, przywitałam się więc krótko i zamówiłam butelkę char-donnay. Byłam bezbronna i potrzebowałam jej sympatii.

Pozbycie się faceta nie zajęło mi wiele czasu. Osiągnęłam mistrzostwo w obrzucaniu wrogimi spojrzeniami nieatrakcyjnych zalotników w średnim wieku, kiedy po czterdziestce stałam się obiektem ich awansów.

Następną godzinę wypełniła mgła chaotycznej rozmowy i nienawistnych emocji. Wydobywanie informacji z niezrównoważonej alkoholiczki okazało się trudniejsze, niż mogłabym sobie wyobrazić. Szczegóły choroby mamy wyłaniały się przy akompaniamencie szlochów kobiety otwarcie okazującej żal, że niedługo straci swoją najlepszą na całym świecie przyjaciółkę.

— To cudowna kobieta, Karen.

— Grace.

— Tak. Twoja matka jest cudowną kobietą, po prostu cudowną. Nie mogę tego znieść, Karen. Nie mogę znieść myśli, że ona umrze!

Pomiędzy egzaltowanymi wybuchami Shirley fakty z jej opowieści trafiały we mnie jak noże. „Stadium czwarte”, „szpital”, „tylko ze mną mogła o tym rozmawiać”. Byłam wdzięczna za informacje, ale też czułam się wpychana coraz głębiej w ten przerażający, nieznany świat, w którym moja mama nie tylko jest poważnie chora, przypuszczalnie umierająca, ale mnie oszukuje. Kobieta, która pisała mi liściki o nowym kierowniku w sklepie spożywczym, gdzie robiła zakupy, która dzwoniła do mnie codziennie (z wyjątkiem dni, kiedy była w szpitalu — dokonałam pośpiesznych obliczeń i ustaliłam daty niemal ze stuprocentową dokładnością), żeby mi opowiedzieć o każdym nudnym szczególe swojego życia, zdołała wszystko to przede mną ukryć. Zachowywała się jak żona, której małżeństwo się psuje, a mimo to szokiem jest dla niej odkrycie, że mąż ma romans. Moje relacje z mamą dalekie były od ideału, sądziłam jednak, że niezadowolona jestem wyłącznie ja. Wstrząsem była dla mnie wiadomość, że jej zdaniem nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko, by mogła mi powiedzieć o swoich problemach.

Mama miała czwarte stadium nowotworu jajników, tyle wiedziałam. Gdyby nie Shirley, prawie na pewno nigdy by jej nie zdiagnozowano.

W ubiegłym roku narzekała na ciągłe zmęczenie i nieokreślone bóle brzucha, ale te drobne dolegliwości jakoś utonęły w strumieniu naszych narzekań. Źle dobrane zasłony, rzeczy, które zapomniano się odebrać z pralni, przecier pomidorowy, który się skończył. Jakimś sposobem objawy choroby zagubiły się pośród tych wszystkich „muszę zadzwonić”, „muszę zrobić”, „muszę zapamiętać”, którymi naszpikowane były nasze rozmowy. Byłyśmy matką i córką, nie musiałyśmy wzajemnie się zabawiać, mogłyśmy porządnie polamentować. Ja bolał brzuch, ja miałam skurcze miesiączkowe. Była zmęczona? Ja przez całą noc sprawdzałam prace egzaminacyjne.

Lekarz także niczego nie zauważył. Zwyczajem typowym dla kobiet w jej wieku i z jej pochodzeniem mama w czasie wizyt u lekarzy bagatelizowała niepokojące oznaki, jakby się bała, że sprawi im za duży kłopot. Lekarz rodzinny powiedział, że wzdęty brzuch, na który się skarżyła, to po prostu zmiana figury charakterystyczna dla wieku średniego. Zmęczenie i bóle brzucha wynikają ze starości i wiatrów, niekiedy zaskakująco dokuczliwych. Jeśli bóle nie ustaną, powinna zrobić badania na zespół jelita drażliwego. Nie podobało jej się brzmienie tego zwrotu, więc nie poszła ponownie. Za moją radą zapisała się do ośrodka Curves, żeby nabrać sił i poprawić kondycję. Tam właśnie poznała Shirley i kiedy przy kawie narzekała na swój „wielki bachor”, Shirley, pewnie bardziej dla dramatycznego efektu niż z innego powodu, powiedziała jej o artykule o nowotworze jajników w miejscowej gazecie, w którym jako jeden z objawów podano

„wzdęcia”. W szpitalu będzie dzień otwarty, stanowiący część kampanii mającej na celu zwiększyć wiedzę kobiet o tym „cichym” nowotworze. Może pójdą razem? To będzie coś w rodzaju wycieczki. Potem zjedzą lunch w nowej kawiarni w Debenhamsie.

Obie wypełniły ankietę; to było zabawne, jak rozwiązywanie quizu w czasopiśmie. Mama zaznaczyła niemal wszystkie odpowiedzi, ale nie wydało im się to ważne. Wręcz przeciwnie, Shirley pamięta, że była pod wrażeniem. Oddały ankiety i przy herbacie i ciastkach wysłuchały pogadanki (dość przygnębiającej). Po pogadance kilka kobiet poproszono, żeby zostały, zrobią im ultrasonografię i pobiorą krew. Badania potrwać pół godziny, najwyżej czterdzieści pięć minut, co wcale nie znaczy, że coś jest nie w porządku. Eileen nie podobało się to badanie krwi, ale Shirley powiedziała, że dla spokoju ducha powinna je zrobić. Sama poszła na zakupy i w sklepie Nearly New kupiła płaszcz z czystej wełny za jedyne piętnaście funtów. Kiedy wróciła, Eileen była w szoku. Badanie ultrasonograficzne wykazało coś niepokojącego. Shirley zapytała, co dokładnie, a mama się rozplakała. Shirley także się rozplakała i na tym historia właściwie się kończyła. Poszły do najbliższego pubu, gdzie spędziły całe popołudnie i porządnie się wstawily. Shirley myśli, że później były dalsze „badania”, ale cała sprawa bardzo ją przygnębiała i powiedziała mamie, żeby więcej jej o tym nie mówiła. Wyznaczyła sobie na „komitet rozrywki i dodawania ducha”.

— Jestem niefrasobliwą optymistką, Karen, rozumiesz, co mam na myśli? — Zwróciła na mnie przymrużone oczy, z których spływał tusz.
— Jestem szalenie wrażliwa, bardzo mnie denerwuje śmierć i podobne rzeczy. Nie daję sobie z tym rady, rozumiesz?

Odparłam, że rozumiem; uśmiechnęła się i powiedziała, jak bardzo się cieszy, że wiem o wszystkim, ta wiedza była dla niej okropną odpowiedzialnością, a Eileen bała się mi powiedzieć, bo jestem krytyczna i wszechwiedząca.

Udało mi się przekonać Shirley, że ją odwiozę do domu. Po drodze wytrzeźwiała na tyle, by przypomnieć sobie moje imię. Niezgrabnie wyrzucając nogi z samochodu, odwróciła się do mnie i powiedziała:

— Jesteś dobrą dziewczyną, Grace, Eileen to szczęściara, że ma taką córkę.

Choć była pijana, to był pierwszy miły moment, którego doświadczyłam w związku z chorobą mamy. Przelotnie poczułam do niej wdzięczność, a potem zrobiło mi się przykro na widok samotności w jej oczach i sposobu, w jaki ją osądzałam.

— Dziękuję, Shirley. Niedługo znowu się spotkamy. W przyszłym tygodniu zapraszam ciebie i mamę na lunch.

— Z przyjemnością — odparła, a potem wypadła z samochodu. Musiałam znaleźć jej klucze i otworzyć drzwi.

Pojechałam prosto do mamy. Nie chciałam porządkować myśli i uczuć, musiałam po prostu ją zobaczyć. Dwa razy krótko nacisnęłam dzwonek, dając znać, że to ja, potem swoim kluczem otworzyłam i weszłam prosto do kuchni. Serce mi waliło.

Stała przy zlewie, odwrócona do mnie plecami. Chociaż miała zmywarkę, wciąż większość naczyń zmywała ręcznie. Palce od zanurzania w gorącej wodzie miała wściekle czerwone, żyły nabrzmiały; ustawiała mokre talerze na taniej plastikowej suszarce, której nie znosi-

ła, ale nigdy nie wymieniła. Kiedy przypomiinałam sobie mamę, zawsze tak ją widziałam. Stoi przed oknem, patrzy na ogród, automatycznie zmywa naczynia albo przygotowuje smakołyki. Nazywała to terapią. Znaczące było to, że w najbardziej znajomym obrazie mamy nie dostrzegam jej twarzy. Rysy mojej matki były łagodne i wyraziste, skóra delikatna i jasna. Przy odpowiednim świetle, w odpowiednim nastroju wyglądała uderzająco pięknie. Od tyłu zawsze była mała, pulchna i zwyczajna. Okrutnym zrzędzeniem losu tak zawsze wolałam ją widzieć.

Podeszłam do niej, z blatu wzięłam ścierkę i zaczęłam wycierać talerze, z roztargnieniem zauważając, że mama jeszcze ich nie wypłukała. „Detergenty są rakotwórcze”, ostrzegłam ją kiedyś, „dostaniesz raka, jeśli nie będziesz płukała naczyń...”.

Widziałam ją z profilu, twarz miała spokojną i stoicką.

— Mamo, rozmawiałam z Shirley.

— A, tak — wydusiła przez zaciśnięte usta.

Miała wąskie usta, które po niej odziedziczyłam i u nas obu nie lubiłam. Zmieniały nasz wyraz twarzy i czasami sprawiały, że wyglądałyśmy na bardziej nieprzystępne i surowe niż w rzeczywistości. Zdawałam sobie sprawę z tej niesprawiedliwości i współczułam mamie, pewnie dlatego, że mnie także to dotyczyło.

— Shirley wszystko mi powiedziała.

Przesunęła dłońmi po dnie zlewu, ale nic nie znalazła. Nie było więcej naczyń do zmywania, wycieraniem zajął się ktoś inny. Dzisiaj już nic nie odwróci uwagi, nie będzie terapii. Stała nieruchomo przy zlewie, więc dodałam:

— Przykro mi, mamo.

— Z jakiego powodu?

Nadal na mnie nie patrzyła. Z parapetu wzięła krem do rąk i próbowała odkręcić wieczko mokrymi dłońmi. Delikatnie zabrałam jej słoik i podałam ścierkę.

— Przykro mi, że za twoimi plecami umówiłam się z Shirley. Chciałam się dowiedzieć, co się dzieje.

Kurczowo złapała się zlewu, wrzucając końce ścierki do wody. Zaciśnęła szczękę i jej oczy wypełniły się łzami — błękitne kamyczki z plaży za woalem starości i strachu.

— Przykro mi, że jestem krytyczna i wszechwiedząca i że mnie pierwszej o wszystkim nie powiedziałaś. — Nie żartowałam; mówiłam poważnie i mama usłyszała to w moim głosie.

— Chciałam, żebyś wiedziała, Grace, ale po prostu nie byłam w stanie ci powiedzieć.

Przypuszczam, że od początku zdawałam sobie z tego sprawę. Wyciągnęłam ręce, żeby ją przytulić, i po raz pierwszy w życiu mama odpowiedziała, obejmując mnie w talii. Cicho łkała. Fizyczna bliskość matki, tak nieoczekiwana i dziwna, odebrała mi zdolność płaczu. Obejmowałam ją więc najlepiej, jak umiałam. Jej drobne kościste dłonie zaciskały się na moich plecach, włosy pachniały owocowym szamponem i papierosami, brzuch matrony, w którym kiedyś mnie nosiła, był twardy, wzdęty, wypełniony nowotworem.

Po chwili mama odsunęła się i uśmiechnęła, osuszając oczy namokniętą ścierką do naczyń. Niemal słyszałam jej myśli: „Dobrze. Sprawa zakończona”.

Przestraszyło mnie, że odczułam tak wielką ulgę. Czy to była chwila intymności pomiędzy matką a córką? I to tyle? I dlaczego nie płakałam, nie okazywałam emocji? Podobno pozostawałam „w kontakcie” ze swoimi uczuciami, a jednak to mama najwyraźniej potrafiła płakać na zawołanie.

Spojrzała w okno.

— Wyszła tęcza.

Z udawanym zainteresowaniem spojrzałam na smugę kolorów drżącą niepewnie nad drzewami, mglistą i rozmytą — sztuczka światła w zanieczyszczonym, oleistym powietrzu.

— Może w przyszłym tygodniu zaproszę ciebie i Shirley na lunch? — zaproponowałam.

— O, nie — odparła mama. — Dałam sobie spokój z Shirley, od tygodnia jej unikam. Tak między nami, Grace, uważam, że ona ma problem z alkoholem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiedziałam, że Bóg naprawdę się na mnie rozgniewał, bo posłał mnie do spowiedzi u księdza Butlera.

Żadna z dziewcząt nie lubiła chodzić do księdza Butlera, który potrafił trzymać cię w konfesjonale godzinami. Kiedy skończyłaś wyznawać grzechy: nie odrabiałam lekcji, nie słuchałam rodziców czy coś w tym rodzaju, czasami wyznaczał ci pokutę i pozwalał odejść, czasami natomiast pytał, czy miałaś „brzydkie myśli”. Jeśli zaprzeczałaś, wypytywał bez końca:

— Na pewno nie miałaś żadnych brzydkich myśli?

— Nie, proszę księdza.

— Nie myślałaś o chłopcach?

— Nie, proszę księdza.

— Ani o tym, co mogliby ci zrobić?

— Nie, proszę księdza.

Jeśli na wszystkie pytania odpowiadałaś „nie”, zwykle dostawałaś potężną pokutę — raz za stłuczenie porcelanowej filiżanki kazał mi odmówić pięć dziesiątek różańca i dziesięć Ojcze nasz. Jeśli jednak przyznałaś się do brzydkich myśli, wyciągał z ciebie wszystkie żenujące szczegóły. Niektóre dziewczęta wykombinowały, że za brzydkie myśli ksiądz Butler prawie wcale nie daje poku-

ty. Dwunastoletnia Kiara Murphy powiedziała nam, że na spowiedzi u księdza Butlera przyznała się, że dotykała siebie pod majtkami. Dał jej dwie Zdrowaś Mario i jedno Chwała Ojcu oraz polecił, żeby za tydzień przyszła i powiedziała, czy znowu to robiła. Kiara stwierdziła, że to „obleśny stary cap”. Pomyślałam, że okropnie tak mówić, i powiedziałam jej, że pójdzie prosto do piekła za opowiadanie takich strasznych rzeczy o księdzu. Ale i tak zdenerwowałam się na widok księdza Butlera siedzącego w konfesjonale w tamto popołudnie, kiedy przyszedłam do katedry wypowiadać się z czerwonych spodni.

W Ballamore spowiadano dwa razy w tygodniu. Młodzież najczęściej wybierała sobotnie popołudnie, przychodząc grupkami. My, dziewczęta, przyglądałyśmy się chłopcom i chichotałyśmy, oni natomiast oparci o mury starego klasztoru palili podwędzone ojcom papierosy i usiłowali wyglądać tak posepnie i swobodnie jak James Dean. Mieliśmy ostatnie chwile na grzeszenie przed oczyszczeniem naszych dusz na niedzielną mszę i komunię. Starsi chodzili do spowiedzi w piątki po południu; wiedziałam, że mogli sobie na to pozwolić, bo nie popełniali dużo grzechów. Nie wywoływali gniewu rodziców, tłukąc im porcelanę, nie musieli oszukiwać nauczycieli, a pozostałe grzechy dotyczyły przecież zerkania na chłopców, odpinania więcej niż dwóch guzików bluzki albo — jeśli całkiem zesłaś na złą drogę — używania szminki czy malowania szwu na pończochach. Grzechy chłopców i mężczyzn, takie jak palenie, przeklinanie i picie, w gruncie rzeczy się nie liczyły. A wszystko przez to, że kobiety pochodziły od Ewy, niegodziwej kusicielki, której biedny Adam nie mógł się oprzeć. Grzechy mężczyzn były po prostu głupie, grzechy kobiet złe do szpi-

ku kości. Najgorsze wiązały się z „kuszeniem”. Zawsze, nawet latem, zapinałam bluzkę pod samą szyję, żeby nie kusić jak Ewa.

Nie lubiłam przystępować do spowiedzi, kiedy w kościele były stare kobiety, bo byłam przekonana, że mają wyjątkową zdolność słyszenia, co mówię w konfesjonale, więc kiedy mama powiedziała, że pójdziemy w piątek, bo jest spokojniej, zmartwiłam się, choć nie protestowałam. Od spotkania z księdzem Peytonem postanowiłam, że będę posłuszna mamie.

Długie drewniane ławki i ozdobne krokwie pod kopułą katedry przesiąkły stuletnim aromatem topionego wosku i kadzidła. Uwielbiałam zapach katedry i panującą w niej ciszę. To było tak, jakby wszystkie odmówione w niej modlitwy unosiły się w powietrzu, nadając mu większą gęstość niż na dworze. Kilka starszych pań klęczało w tylnych ławkach, ale żadna nie stała w kolejce do konfesjonale, którego drzwiczki były uchylone na znak, że spowiednik czeka na penitenta.

Przez kratkę z brązu dostrzegłam pochylony profil księdza Butlera. Wymamrotał modlitwę, po czym uniósł dłoń. Spuściłam głowę na piersi i wyrzuciłam z siebie listę najgorszych grzechów, jakie przyszły mi do głowy, w większości nieprawdziwych.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznej, bo minęły dwa tygodnie od mojej ostatniej spowiedzi. W tym czasie bez pozwolenia mamy kupiłam pączka z reszty za zakupy, nazwałam Connora Flannery'ego draniem, siedem razy użyłam imienia Pana naszego nadaremno, ukradłam szylinga z pieniędzy komunijnych mojej siostry, nie posłuchałam ojca, okłamałam mamę, a na spotkanie z księdzem Peytonem poszłam w czerwonych spodniach i maminej pelerynie Dzieci Maryi.

Ułożyłam jak najdłuższą listę grzechów, na początek wstawiając mnóstwo złych rzeczy, bo miałam nadzieję, że ksiądz Butler straci zainteresowanie i nie zwróci uwagi na pelerynę. Ksiądz długo milczał i już myślałam, że udało mi się go uspić. Wolno podniosłam głowę i zajrzałam przez kratkę. Spowiednik patrzył prosto przed siebie, choć jego oczu nie widziałam, były ciemne i mgliste jak paciorki w moim papieskim różańcu.

— Opowiedz mi o czerwonych spodniach, dziecko. Nie podobało mi się, jak nazwał mnie dzieckiem.

— Bardzo je lubię i chyba dlatego...

— Dlaczego je lubisz?

Ksiądz nigdy nie przerywał wyznawania grzechów, więc mówiłam dalej.

— ...włożyłam je na spotkanie. To dotyczy Matki Boskiej i czasopisma, muszę to wyjaśnić. W sobotę rano mama wysłała mnie do sklepu Durcanów, gdzie...

— Chcę posłuchać o twoich czerwonych spodniach, moje dziecko. Chcę wiedzieć, dlaczego tak je lubisz.

— Ale ksiądz musi usłyszeć, w jaki sposób je dostałam, bo wszystko ze sobą się wiąże i dotyczy Boga, Matki Boskiej i księdza Peytona...

Ksiądz Butler znowu mi przerwał. Głos miał łagodny, ale zdecydowany.

— Moje dziecko, opowiedz mi, dlaczego lubisz nosić te spodnie. Jak się w nich czujesz, co powodują...?

Z nagłym wstrząsem i rumieńcem zrozumiałam.

— Pyta ksiądz, czy mam z ich powodu brzydkie myśli?

— Tak, tak, tak, moje dziecko. Właśnie o to pytam. Właśnie o to. Masz z ich powodu brzydkie myśli?

Przez minutę się zastanawiałam, czy nie wymyślić czegoś, dzięki czemu będę mogła odejść z dwiema Zdro-

waś Mario i jednym Chwałą Ojcu. Ale kiedy próbowałam uporządkować to sobie, tok moich myśli przerwał oddech księdza Butlera: ciężki, pełen oczekiwania.

— Nie, proszę księdza — powiedziałam, a potem zebrałam się na odwagę i powtórzyłam na tyle głośno, żeby mama i stare kobiety mogły usłyszeć: — Żadnych brzydkich myśli.

Wiedziałam, że odmawiając współpracy w kwestii brzydkich myśli, rozniewam go i wyznaczy mi cięższą pokutę, ale nigdy bym się nie spodziewała tego, co nastąpiło. Jego słowa popłynęły bezsensownym strumieniem, głos miał niski i nosowy, jakby tłumił krzyk.

— Jesteś grzeszną, występłą dziewczyną, kusisz chłopców i mężczyzn swoimi rozpustnymi spodniami, które ocierają ci się o uda, ty mała chłopczyco, kusicielko, budzisz mój wstręt, Bóg się gniewa, bardzo się gniewa, i ukarze cię, ukarze...

Wtedy się rozplakałam, nic nie mogłam na to poradzić. Pojęłam, że ksiądz Butler ma rację, że wszystkie te okropne rzeczy są prawdą: rzeczywiście lubiłam, jak spodnie ocierają mi się o nogi, czułam się w nich wyjątkowa i wolna. Pomyślałam, że powinnam była to wszystko wyznać, żeby Bóg mi wybaczył, ale teraz było za późno. Nie czekałam, aż ksiądz skończy, i sama zaczęłam powtarzać:

— O mój Boże, z całego serca żałuję, że Cię obraziłam, z pomocą Twojej łaski więcej nie będę grzeszyć. O mój Boże, z całego serca żałuję, że Cię obraziłam, z pomocą Twojej łaski więcej nie będę grzeszyć...

Ksiądz Butler udzielił mi rozgrzeszenia szybciej niż zwykle i wyznaczył lekką pokutę. Wychodząc z konfesjonału, byłam tak rozdygotana, że zapomniałam, co się na nią składało.

Po tym wydarzeniu świat wydawał mi się inny. Wiedziałam, że jest taki sam, ale inaczej wyglądał. Przez kilka dni wypatrywałam znaków, ale w głębi serca zdawałam sobie sprawę, że żadnych nie będzie. Tygodnie mijały, a ja pojęłam, że wszystkie historie sama wymyśliłam. To nie Bóg mówił mi o wronach na posągach i umierających ludziach, tylko moja wyobraźnia. Tęcze były tylko tęczami, światło przenikało przez zasłony i korony drzew, nadając przedmiotom połyskliwy, wyjątkowy wygląd, choć wcale nie były wyjątkowe. Jak czerwone spodnie. Jak ja sama. Czułam się idiotycznie, myśląc o swoim wcześniejszym zachowaniu, a równocześnie ludzie bardziej mnie lubili, kiedy przestałam być taka pobożna. Powiedziałam Kiarze Murphy, że ksiądz Butler przy spowiedzi wyzwał mnie od grzesznicy, a kiedy znowu nazwała go obleśnym capem, roześmiałam się. Mama wydawała się zadowolona, kiedy zamiast iść na nowennę, wolałam bawić się na dworze z koleżankami. Podśluchałam, jak pewnego wieczoru powiedziała tacie, że się cieszy, że dałam sobie spokój z tymi bzdurami.

Nie chodzi o to, że na zewnątrz bardzo się zmieniłam. Wciąż należałam do Legionu Maryi i codziennie się modliłam, ale teraz to były zwyczajne czynności.

„Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą” — to były słowa, które często powtarzałam, pozbawione jakiegoś wyjątkowego znaczenia. Teraz byłam taka sama jak inni.

Nadal wierzyłam w Boga, Przenajświętszą Dziewicę i wszystko, czego nauczał Kościół katolicki, chociaż moja wiara uległa zmianie. Wcześniej była żarliwa i gorliwa, teraz wystarczająca.

Wszyscy się zgadzali, że tak jest lepiej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nigdy nie miałam w planach małżeństwa. Nieudane małżeństwo sprawiło, że mama cynicznie odnosiła się do tej instytucji i z determinacją dążyła do tego, żebym potrafiła stać „na własnych nogach”. Na długo zanim chłopcy, o mężach nie wspominając, zajęli miejsce w moich myślach, Eileen mówiła mi, że w dzisiejszych czasach nie ma potrzeby wychodzić za mąż, że życie „w grzechu” jest absolutnie akceptowane, a rzeczą o wiele ważniejszą jest zrobienie kariery i posiadanie własnych pieniędzy. Zawsze wydawało mi się dziwne, że mama myśli, że mogłabym pragnąć żyć w jakikolwiek inny sposób, ale z drugiej strony byliśmy ofiarami obcości pomiędzy dorosłymi a dziećmi, która wynika z emigracji. Eileen wychowano na pobożną katoliczkę w małym miasteczku na zachodnim wybrzeżu Irlandii, ja byłam córką samotnej matki w wielkim, anonimowym mieście. Wychowywała mnie w świecie liberalnym, w którym kobiet nie wiązały konwenanse i mogły mieć wszystko. W procesie budzenia moich ambicji jej historia stała się tylko czymś w rodzaju przestrogi. Stygmat braku studiów, utracona szansa zrobienia kariery, lata zmarnowane przez wczesne małżeństwo.

Dla pokolenia mojej mamy małżeństwo było sposobem życia, powołaniem. Mamę i ojca połączyła wielka romantyczna miłość. Ciemnowłosy, błękitnooki przystojny młody protestant, pisarz, poeta, „elegancki”, nieodparcie czarujący — jednym słowem typ mężczyzny, w którym kobieta zakochuje się od pierwszego wejrzenia. Jak Eileen przekonała się później, nie należał do mężczyzn, za których należy wychodzić za mąż. Okazał się alkoholikiem i kobieciarzem, wszystkie ciężko przez nią zarobione pieniądze wydawał na wódkę i romanse. Bardziej niż wszelkie przestrogi matki do idei małżeństwa zniechęciły mnie klęska jej związku i moje cierpienia związane z dorastaniem bez ojca. Narzekania mamy na instytucję małżeństwa kazały mi myśleć, że nigdy nie połączyła aspektów politycznych i osobistych. Niewykluczone, że mnie sprawdzała, szukając potwierdzenia, że ich separacja w żaden sposób mnie nie dotknęła.

Nie wierzyłam, że to mi się udało, i dlatego poznałam Jacka, mojego byłego męża i bratnią duszę.

Jack Green był moim terapeutą. Odkąd przekroczyłam dwudziestkę, brałam udział w różnego rodzaju terapiach. Jedną z pierwszych była samopomocowa grupa Dorosłe Dzieci Alkoholików; wprowadziła mnie do niej przyjaciółka, która także miała ojca alkoholika. Wprawdzie niewiele pamiętałam z tamtego okresu mojego dzieciństwa, ale przyjaciółka zapewniała, że picie ojca wpłynęło na mnie, tylko jeszcze o tym nie wiem. Właśnie podczas tamtych spotkań zaczęłam się koncentrować na szukaniu odpowiedzi i zaprzyjaźniłam się z kobietami, z którymi mogłam się identyfikować. Były wśród nich dobiegająca czterdziestki terapeutka żałoby, pracownica opieki społecznej, która była lesbijką, nauczycielka, gospodyni w średnim wieku, która robiła kurs aromaterapii.

Nasze regularne spotkania w niedzielne poranki, kiedy przy herbacie i Izach wzajemnie się sobie spowiadałyśmy, przekonały mnie, że jestem dostatecznie dysfunkcyjna, żeby pójść na indywidualną terapię, i już podczas tamtych pierwszych, bardzo emocjonalnych sesji, stwierdziłam, że ekscytuje mnie proces terapeutyczny.

Odkrywanie siebie było dla mnie rewelacją, bo owszem, dostarczało odpowiedzi, ale też zapewniało inny sposób życia. Stałam się „poszukiwaczką”, jedną z tych osób, które nie boją się wkroczyć na „drogę rzadziej używaną”. Tworzyliśmy oświeconą, emocjonalną elitę, przyjaźniliśmy się z członkami grup samopomocowych i nosiliśmy nasze dysfunkcje niczym odznaki przetrwania. Byłam Dorosłym Dzieckiem Alkoholika, sprawa dość łagodna, zważywszy że poza tym w grupie byli Alkoholicy, Ofiary Kazirodztwa, Kompulsywne Żarłoki oraz modne wówczas tak zwane Osobowości Podatne na Uzależnienia (termin ten obejmował problemy zapewniające członkostwo każdej z licznych anonimowych grup, które w tamtym okresie powstawały). Jako że alkoholizm był chorobą całej rodziny, a ja nie wątpiłam, że w moich żyłach szaleją geny uzależnienia odziedziczone po ojcu, brałam udział w spotkaniach Anonimowych Palaczy, Anonimowych Uzależnionych od Miłości i Anonimowych Żarłoków, zanim w końcu doszłam do wniosku, że pięć papierosów na tydzień, powrót do partnera, z którym wcześniej zerwałam, oraz dodatkowe cztery kilogramy, jakkolwiek niepożądane, jeszcze nie czynią ze mnie nałogowca. Ważne było poczucie przynależności i bezpieczeństwa, które dawało mi uczestnictwo w tych grupach, i myślę, że to samo dotyczyło wielu moich przyjaciół z tamtego okresu. Z doświadczeń z dzieciństwa wiedziałam, że głównym symptomem nieszczęścia jest brak bezpieczeństwa, strach przed

utrata kontroli. Zostałam nauczycielką przynajmniej w części dlatego, że ta praca zapewniała bezpieczeństwo, a podczas gdy moi przyjaciele z college'u, a potem młodzi koledzy z pracy biegali po mieście, upijając się i szukając okazji do seksu, ja siedziałam w kuchni pięćdziesięcioletniej rozwódki w towarzystwie odzyskujących zdrowie uzależnionych od miłości/papierosów/narkotyków, piłam herbatę i mówiłam o swoich uczuciach.

Jack był moim trzecim terapeutą. Dwoje poprzednich bardzo mi pomogło w sprawach zasadniczych: powrót do dzieciństwa, stawianie czoła cierpieniom i stratom z tamtego okresu, zdobywanie wiedzy, jak karmić swoje wewnętrzne dziecko. Jako dwudziestopięciolatka miałam na koncie ogromną pracę nad sobą i stanowiłam osobowość w dużej mierze integralną, chociaż też nadmiernie dojrzałą na swój wiek. Jan, moja druga terapeutka, na pożegnanie powiedziała, że zrobiła dla mnie wszystko, co było w jej mocy, że przez te dwa lata doszłam tak daleko, jak to możliwe. Na ostatniej sesji zapytała, czy czuję, że osiągnęłam to, po co do niej przyszłam. Potaknęłam, bo wiedziałam, że zależy jej na zamknięciu, w rzeczywistości jednak byłam rozżalona, że zakończyła nasze spotkania. Nie chciałam rezygnować z cotygodniowych sesji. W moim wnętrzu była luka, która jeszcze nie została zapełniona, poczucie niekompletności. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że moje cierpienie wynika z człowieczeństwa, że ogólny brak satysfakcji i ból istnienia to część bycia człowiekiem. Nałogowiec karmi uczucie pustki alkoholem, narkotykami, jedzeniem albo seksem, ambitny zapełnia ją pracą, intelektualista lekturami, jogin zanurza się w nią i tak długo w niej pływa, aż pustka zmienia się w coś innego. Ja swoją pustkę karmiłam psychoterapią. Rozebrałam na części fundamentalną kondycję ludzką

i nadałam jej znaczenie. Ktoś powie, że marnowałam czas, bo przecież nie działa się ze mną nic strasznie złego, ale zainteresowanie terapią pomogło mi znaleźć męża.

Zawsze wierzyłam w koncepcję drugiej połówki, osoby, z którą łączy cię silny, niemal duchowy związek, wzajemny pociąg tak potężny, że opiera się definicji. Po prostu wiesz, bez uzasadnienia, bez analizy czy tłumaczenia, że twoim przeznaczeniem jest spędzenie życia z tym człowiekiem. Do tamtego dnia starannie wybierałam i nieuchronnie porzucałam chłopaków, ponieważ brakowało im tej ulotnej „słuszości”, która definiuje idealną drugą połówkę. Miałam dwadzieścia pięć lat, byłam skoncentrowana na karierze i „powrocie do zdrowia”. Wciąż byłam na tyle młoda i ładna, by wierzyć, że gdzieś tam jest przeznaczony mi mężczyzna i w odpowiednim czasie go spotkam.

Znalazłam Jacka poprzez broszurę z informacjami o prowadzonych przez niego warsztatach Gestalt, formie terapii holistycznej, którą zostawił w kawiarni blisko mojego domu. Hasło brzmiało: „Połącz wszystkie aspekty swojej osobowości i stań się prawdziwą całością!”. Natychmiast pobiegłam do domu i zapisałam się na sześć warsztatów terapii grupowej, które odbywały się na drugim końcu miasta w kolejne sobotnie popołudnia. Głos w słuchawce był niskim barytonem. Przedstawił się jako Jack Green, a kiedy zwrócił się do mnie po imieniu — „z przyjemnością spotkam się z tobą w sobotę, Grace” — poczułam lekki dreszcz.

Następnego dnia wieczorem gościnnym mówcą na spotkaniu grupy Dorosłych Dzieci Alkoholików był mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

— Cześć, mam na imię Jack i jestem dorosłym dzieckiem alkoholika — zaczął tym samym niskim głosem.

Mówił z niezwykłą szczerością i przenikliwością. Pod względem fizycznym nie należał do mężczyzn atrakcyjnych. Był drobny i szczupły, miał długie rzadzące włosy hippisa, który nie chce pogodzić się z wiekiem, ale od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam go w tamtej kościelnej sali z plakatem „dwunastu kroków” tworzącym ramy dla jego twarzy, myślałam, że emanuje „wiedzą”, której zazdrościłam. W tym sensie od razu go polubiłam, choć kiedy podeszłam do niego po spotkaniu, otaczała go spora grupka i musiałam zrezygnować. Uznałam, że jeśli mam znowu go spotkać, to go spotkam.

Kiedy w następnym tygodniu spóźniłam się na pierwsze warsztaty Gestalt i zobaczyłam go siedzącego w kręgu krzeseł, poczułam, jak żołądek mi się ściska, a kolana uginają. To był niezwykle zbieg okoliczności, który upewnił mnie, że jakaś siła wyższa doprowadziła do spotkania naszych dusz.

Jedni ludzie całe życie szukają drugiej połówki. Niezwykle nieliczna szczęśliwa mniejszość spotyka drugą połówkę wcześniej i potem żyją długo i szczęśliwie. Jack i ja należeliśmy do tych drugich. Byliśmy złotą parą. On był oświecony, pewny siebie i dojrzały, ja miałam dwadzieścia pięć lat, figurę modelki i skłonność do ulegania wpływom. On adorował mnie za młodość i urodę, ja go szanowałam. Dynamika pomiędzy nami odpowiadała dynamice relacji ojca i córki, ale była skuteczna, i przez osiem następnych lat zdawała się przekształcać w zdrowy, acz nieco podręcznikowy związek doskonały.

Niemal natychmiast przeprowadziłam się do jego wspaniałego mieszkania ze stałym czynszem i robiliśmy to, co robiły pary w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Urządzaliśmy wielkie późne niedzielne śniadania, jeździliśmy na weekendy jogi, byliśmy rodzicami

chrzestnymi dzieci naszych przyjaciół, pobraliśmy się podczas prostej cywilnej uroczystości, po której w naszym ogrodzie przyjęliśmy indiańskie błogosławieństwo. Towarzyszyła nam grupa przyjaciół i nasze matki, z których każda patrzyła na partnera swego dziecka i całe wydarzenie z wyraźnym sceptycyzmem. Jack i ja byliśmy jedynakami. Jego matka, Elsbeth, była mistrzynią jogi. Pomimo długich do pasa białych włosów wyglądała na trzydzieści lat i potrafiła założyć wielkie palce u nogi za uszy. Należała do weteranów lat sześćdziesiątych, Jack był owocem „wolnej miłości” i zamierzała uczynić z niego drugiego Dalajlamę. W jej planach wobec syna nie mieściło się małżeństwo z nauczycielką z przedmieścia, „pospolitą” dziewczyną, jaką byłam. Z kolei moja mama puściła mimo uszu przestrogi, że ślub będzie dość swobodny, i włożyła tradycyjny elegancki strój matki panny młodej. Nie mogąc się oprzeć pokusie torebki dopasowanej do kapelusza i butów, przez całe popołudnie słuchała wylewnych komplementów na temat swej powiewnej kreacji w kwiaty brzoskwini. Elsbeth w skromnej i prostej sukni marki Ghost, z rozpuszczonymi włosami i gołymi stopami, na moment przed rozpoczęciem ceremonii posłała jej przez „krąg miłości” spojrzenie pełne bolesnego niedowierzania. Powiedziałam mamie, żeby zdjęła buty, i ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, nim zamknęłam oczy, potwierdzając tym swe oddanie dla Jacka do końca życia, były palce u stóp mojej mamy, podwinięte niewygodnie w rajstopach koloru amerykańskiej opalenizny.

Okazywany przez nasze matki brak wiary w nas jako pary tylko nas do siebie zbliżył. Zaraz po ślubie rozpoczęliśmy kurs terapii małżeńskiej. Nie byłam pewna, dlaczego to robimy, ale Jack oznajmił, że muszę się nauczyć „słuchania”.

— To nie jest krytycyzm, Grace. Chodzi o to, że istnieje sposób właściwego słuchania, którego jako terapeuta się nauczyłem. Naprawdę bardzo by mi pomogło, gdybyś ty też się tego nauczyła.

Więc się uczyłam i co tydzień przez siedem lat naszego małżeństwa wieczór piątkowy był wieczorem „słuchania”. Po kolacji zapalaliśmy świece, czasami jeśli byliśmy w dobrym nastroju, razem braliśmy kąpiel. Trzymając się za ręce, patrzyliśmy sobie w oczy i jedno z nas mówiło przez całe dziesięć minut, a drugie „słuchało”. Oboje wiedzieliśmy, że komunikacja to klucz do wszystkiego. Nie było problemu, którego nie dałoby się rozwiązać w zdrowej otwartej dyskusji. Mówienie i słuchanie. Na tym polegają związki.

A potem w któryś piątek Jack przygotował dla nas kąpiel i porozstawiał zapalone świece w łazience. Oznajmił, że dzisiaj ma mi coś wyjątkowego do powiedzenia, ciekawe, czy jestem gotowa do przyjęcia jego ekscytującej rewelacji. Wcześniej rozmawialiśmy o dzieciach i oboje uznaliśmy, że nasze wspólne życie jest dostatecznie satysfakcjonujące, ale byłam po trzydziestce i ta sprawa zaczynała zaprzęcać mi myśli. Może, taką miałam nadzieję, oboje równocześnie dojrzelibyśmy do dziecka. Czy to okaże się kolejnym wspólnym duchowym przebudzeniem?

Usiedliśmy w ciepłej wodzie. Kiedy Jack ujął mnie za rękę, zauważyłam, że ściska je mocniej niż zwykle.

— Zaproponowano mi pracę w Byron Bay w Australii. Powinienem zacząć za dwa tygodnie.

Nie przerwał, mówił przez ustalone dziesięć minut. Zastanawiałam się nad możliwościami. To była wielka zmiana. O Byron Bay, raj New Age, marzył każdy psychoterapeuta; z całą pewnością moje nauczycielskie kwalifikacje tam także okażą się odpowiednie. Możemy

wynając nasze mieszkanie, na wypadek gdybyśmy chcieli wrócić, mama będzie nas odwiedzała w czasie wakacji, ceny nieruchomości są tam niskie, więc niewykluczone, że sama też się przeprowadzi. Do diabła, to może być świetna zabawa!

— Słuchasz mnie, Grace? Powiedziałem, że muszę to zrobić sam. Bez ciebie.

Woda nagle stała się lodowata. Jack wciąż ścisnął moje ręce, patrzył mi w oczy i czekał na wsparcie.

Chciałam wyskoczyć z wanny, walnąć go w twarz mokrym ręcznikiem, nazwać samolubnym, narcystycznym dupkiem. W następnych latach wiele razy gorzko żałowałam, że tego nie zrobiłam. Zastanawiałam się czasami, co by się stało, gdybym się mu sprzeciwiła. Może by został i podporządkował część zadufania w siebie prawdziwej „dobroci”, która jak szczerze wierzył, w nim była?

W tamtym okresie jednak brakowało mi pewności siebie, pokiwałam więc głową, poparłam jego decyzję i dałam mu swoje błogosławieństwo.

Jego serce mówiło mu, by jechał, moje serce wierzyło, że wróci.

Zawsze byłam przekonana, że trzeba podążać za głosem serca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dublin, rok 1960

W tamtych czasach przed bystrymi młodymi kobietami otwierały się trzy możliwości wyboru kariery: zakonnica, nauczycielka i pielęgniarka. Zawsze myślałam, że moim powołaniem jest uczenie, ale na maturze słabo zdałam matematykę i miałam za niską średnią. Rodzice chcieli, żebym powtórzyła egzamin, to jednak oznaczało kolejny rok w szkole. Rok wydawał mi się strasznie długim czasem, poza tym nie byłabym w stanie znieść upokorzenia, chodząc do klasy z młodszymi dziewczynami. Bardzo chciałam zostać nauczycielką, ale jeszcze bardziej pragnęłam wyrwać się w świat.

We wrześniu mama zapisała mnie na kurs handlowy w Dublinie i załatwiła kwaterę w szacownym schronisku dla katolickich pań w centrum miasta. Autobusem pojechałyśmy razem do stolicy. Kiedy w poprzedzający podróż wieczór pakowałam sukienkę na tańce i jedwabne pończochy, czułam dreszcz podniecenia na myśl o przygodzie. Zwinęłam w kulkę tiulową halkę i wepchnęłam w róg starej kartonowej walizki ojca, tak by zostało miejsce na szpilki. Nazajutrz w granatowym szkolnym płaszczu wyglądałam jak nowicjuszka, bo nie chciałam denerwować mamy. Pozwoliła mi wyjechać do Dublina tylko

dlatego, że schronisko prowadziły zakonnice, wieczorami trzeba było wracać przed dziesiątą i wizyty mężczyzn w żadnym razie nie wchodziły w grę. Dwa lata wcześniej to samo zrobiła najstarsza córka naszej powszechnie szanowanej sąsiadki, pani Molloy, i po powrocie dostała dobrą pracę w miejscowym biurze aukcyjnym. Mama wiedziała, że jestem rozsądna, i oczekiwała, że latem przyjadę do domu.

Od chwili gdy autobus zostawił za sobą cętkowany, surowy krajobraz zachodu, wtaczając się w zieleń serca Irlandii, by w końcu wjechać na płaskie żyzne pola otaczające Dublin, świadoma byłam niepokoju mamy. Kiedy nerwowo bębniła palcami o stół, myślałam, że chyba się zastanawia, czy powinna mi udzielić jakiejś rady. Byłam jej pierworodną i chociaż jej pomagałam, wciąż uważała mnie za dziecko. Nigdy nie rozmawiała ze mną o chłopcach czy mężczyznach, o pożądaniu i niebezpieczeństwach miłości. Nawet gdyby chciała, jako pobożna kobieta pewnie nie znalazłaby odpowiednich słów. Pożądania w żaden sposób nie można było opisać poza kontekstem grzechu; samego słowa nigdy nie używano.

Żegnając się ze mną na stopniach schroniska dla katolickich pań na Henrietta Street, chwyciła moje małe gołe dłonie w swoje okryte rękawiczkami i powiedziała:

— Bądź ostrożna.

Brzmiało to jak przestroga, a zarazem wyznanie miłości.

W Dublinie podobało mi się absolutnie wszystko. Tętnił życiem, gwarem i podnieceniem. Kochałam chodniki w centrum, zatłoczone ludźmi śpieszącymi do autobusów, odgłos klaksonów, mężczyzn w eleganckich samochodach machających do ładnych dziewczyn, sklepy tuż

za rogiem, w których można było kupić każdy odcień i fason ubrań, każdy rodzaj żywności. Widziałam rzeczy, o których wcześniej mi się nie śniło: kobiety w śmiałych krótkich spódniczkach, rzędy telewizorów w witrynie, mężczyznę w długim czarnym płaszczu, który stał na pudle przed kawiarnią Bewleya i na głos czytał poezję. Wystarczyło przejść się ulicą, żeby mieć rozrywkę. Raz omal wpadłam nie na jednego, ale dwóch czarnych mężczyzn idących Grafton Street w sobotnie popołudnie i musiałam oprzeć się pokusie, by nie stanąć i nie gapić się na nich. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że Murzyni żyją poza Afryką czy światem, który znałam z amerykańskich filmów w rodzaju „Przeminęło z wiatrem”. Ich widok był dla mnie dowodem, że życie w wielkim mieście jest bardziej egzotyczne, niż sobie wyobrażałam. Brałam udział w wielkiej przygodzie, o której zawsze wiedziałam, że istnieje poza granicami mojego miasteczka. Cudzoziemcy, moda. Samo przebywanie tu budziło we mnie przekonanie, że to film, którego nie oglądam, ale biorę w nim udział.

Szybko nawiązałam przyjaźnie. W schronisku była sześćosobowa sypialnia i wszystkie pozostałe dziewczęta pochodziły z prowincji. Były wśród nich dwie siostry z Mayo, dwie kuzynki z sąsiednich miasteczek w Kerry i jedna z Donegal. Zaprzyjaźniłyśmy się od razu, pro-wincjuszki, które nie mogły się doczekać, kiedy nauczą się zasad wielkomiejskiego życia i zaczną się nim cieszyć. Ubrane w sweterki bliźniaki piłyśmy herbatę w Gresham jak wielkie damy, chodziłyśmy na tańce do National przy Mountjoy Square albo do sali na piętrze u Clery'ego, zjawiając się na tyle wcześnie, żeby mieć dwie godziny na flirty, tańce i darmową wodę mineralną, zanim trzeba będzie na dziesiątą wrócić do schroniska. W sobotnie

popołudnia ubrane w golfy i rybaczki włóczyłyśmy się po zaułkach i kawiarniach w okolicy Grafton Street, wypatrując poetów i dramatopisarzy. Bardzo dużo czytałam, podziwiając intelekt i styl pisarzy, którzy w tamtym okresie mieszkali w Dublinie. Brendan Behan, Patrick Kavanagh byli dla mnie większą atrakcją niż jakakolwiek gwiazda filmowa, zaglądałam więc przez szybę do osławionych pubów Barclay Dunnes czy McDaid's (od wejścia powstrzymywała mnie nieśmiałość), żeby zobaczyć, jak jeden lub drugi wygłasza pijackie kazania do wielbiących ich studentów Trinity.

Tu chciałam pozostać, dlatego przed ukończeniem kursu wysłałam podanie o pracę w Aer Lingus, liniach lotniczych, które szukały pracowników do biura rezerwacji przy O'Connell Street. Do formularza dołączyłam fotografię przedstawiającą mnie w całej okazałości. Mama przysłała mi pieniądze, żebym kupiła sobie kostium na rozmowę w sprawie pracy, i wybrałam dwuczęściową garsonkę z zielonego jak mech tweedu, z wąską, długą do kolan spódnicą i krótkim dopasowanym żakietem. Poprawiono rękawy, przesunięto guzik na plecach, co zwiększyło wcięcie żakietu w talii. Nigdy nie miałam równie wyrafinowanego stroju i kiedy szłam O'Connell Street do zakładu fotograficznego, miałam wrażenie, że jestem na wybiegu. Pewnie stawiałam stopy w wysokich szpilkach i z dreszczem podniecenia czułam, jak uda w pończochach ocierają się o siebie, a pośladki w rytm kroków poruszają pod obcisłą spódnicą. Wiedziałam, że ludzie na mnie patrzą, kobiety podziwiały mój styl, mężczyźni podziwiali mnie. Pomyślałam, że tak to jest, kiedy z dziewczyny stajesz się kobietą.

Fotograf był sympatycznym mężczyzną po trzydziestce. Sprawił, że poczułam się swobodnie, zaproponował

filizankę herbaty, potem ustawił na tle czarnej kotary i skierował na mnie światła.

— Eileen, kochanie, wyglądasz ślicznie. Postaw jedną stopę przed drugą jak grzeczna dziewczynka i ładnie się do mnie uśmiechnij.

Czułam się jak modelka — dziwne wrażenie, jakbym była w pełni świadoma swojego ciała i oszołomiona urodą.

— A teraz podnieś brodę, kochanie. Co za uroczy uśmiech, proste plecy, bardzo ładnie. Po prostu idealnie.

Pozowałam, wydymałam usta i w ciągu dziesięciu minut sesji byłam w siódmym niebie.

— Cudownie. Zdjęcia możesz odebrać jutro. Kiedy fotograf wyłączył lampy, uświadomiłam sobie,

że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze. Zobaczyłam sylwetkę mężczyzny stojącego w kącie za fotografem. Z jego swobodnej postawy wywnioskowałam, że obserwował mnie przez cały czas. Zarumieniłam się z zakłopotania, ale jakaś obca mi dotąd światowa pewność siebie kazała mi pozostać w miejscu. Mężczyzna zapalił papierosa i w poświacie pomarańczowego płomyka zobaczyłam gęste ciemne włosy, czarny golf: typowy kamuflaż beatnika. Dym papierosowy, tajemniczy nieznajomy, mój elegancki kostium, zdjęcia, wszystko to wzmocniło moją pewność siebie i pchnęło mnie na drugi koniec pokoju. Stałam przed moim Bogartem i zapytałam:

— Masz papierosa?

Otworzył papierośnicę, a ja wzięłam papierosa i nie upuściłam go; zapalka zapłonęła od pierwszego potarcia. Zaciągnęłam się, on zdmuchnął płomyk i pstryknięciem odrzucił zapalkę. Chwila była idealna, on także. Przystojny jak gwiazdor filmowy: melancholijne czarne oczy, wydęte z rozdrażnieniem usta. Z jego wyglądu odgady-

walam, że jest intelektualistą. Pisarzem, poetą, studentem, bez wątpienia dublińczykiem, a może nawet wyjątkowym i zakazanym obiektem: protestantem. Od tamtej pierwszej chwili wiedziałam, że jest typem mężczyzny, o którym taka prowincjuszka jak ja ledwo może marzyć.

— Dziękuję — powiedziałam bez tchu i odeszłam, wolno kołyszając biodrami jak Marilyn Monroe w „Pół żartem, pół serio”.

Chociaż nie wyszedł za mną z zakładu, czułam oszałamiającą moc przekonania, że znowu mnie znajdzie.

W tamtym cudownym momencie wiedziałam, że w końcu dorosłam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jack i ja pisaliśmy do siebie przez rok. Staralam się utrzymać swoje listy w swobodnym tonie, bawiłam go anegdotkami o przyjaciółkach i uczennicach, posyłałam fotografie, by przypomnieć mu o życiu w domu, i czułam pociechę, kiedy je komentował i przyznawał, jak bardzo tęskni za Anglią i za mną. Jego listy były długimi elaboratami; szczegółowo opisywał w nich wszystkie terapie, którym się poddawał, i napary, które stosował. Zapewniał, że nigdy go nie znuży proces odkrywania. Ważna jest podróż. Tęskni za domem, ale przekonał się, że dom nosisz w sercu, o jego istocie nie decyduje kominek. Kocha mnie, ale jeśli kogoś kochasz, pozwalasz mu rozpostrzeć skrzydła i znaleźć własną drogę we wszechświecie. Zgadza się z nim? W gruncie rzeczy wcale się nie zgadzałam, ale zakładałam, że chodzi mu o moją zgodę na jego wyjazd do Australii, więc potakiwałam.

Przez ten pierwszy rok cierpiałam bardziej, niż sądziłam, że to możliwe. Po siedmiu latach pozostawania w związku nie potrafiłam przywyknąć do samotności. Zakorzeniłam się w podwójności małżeństwa, w luksusie dwudziestoczterogodzinnego dostępu do drugiej osoby:

razem jedliśmy, spaliśmy, żyliśmy. To jak hotelowy room service — nie zawsze z niego korzystasz, ale cieszysz się, że jest. Przestałam gotować wieczorny posiłek i przytyłam od dań na wynos. Telewizor, którego wcześniej nie zauważałam, teraz stał się moim przyjacielem. Nie mogłam spać, musiałam przez jakiś czas brać xanax, żeby mój zegar biologiczny zaczął od nowa funkcjonować. Nigdy wcześniej ani potem nie zażywałam leków i ciosem dla mojej dumy była konieczność sięgnięcia po środki chemiczne jako „lekarstwo”.

Odłożywszy na bok te problemy, to był wypełniony zajęciami rok, ponieważ po raz pierwszy dostałam awans na zastępcę dyrektora wielkiej, cieszącej się dobrą sławą szkoły w centrum. Żałowałam, że nie mogę wspólnie z Jackiem radować się tym sukcesem, choć dodał mi odwagi, żeby zapytać męża, kiedy wraca do domu.

Oczywiście nie wracał.

Grace, przykro mi, dziecinko. Myślałem, że rozumiesz, kiedy Ci pisałem, że tutaj jest moje miejsce. Tak mi przykro. Powinienem być jaśniej się wyraził. Boże, czuję się okropnie.

Niepotrzebnie, wszystko jest w porządku. Naturalnie, że zostajesz. Chciałam tylko się upewnić, nic więcej.

Naturalnie — najważniejsze słowo, którym siebie chronimy.

— Naturalnie. Wiedziałam. Wiedziałam, że nie wróci — powtarzałam, zdając sobie sprawę, że wypieram prawdę. Alternatywa, czyli żal, była po prostu zbyt upokarzająca, więc fakt separacji spakowałam i zamknęłam w szufladce na dnie świadomości. Po kilku latach uległ zwapnieniu, zmienił się w szpilki, które zaczęły grzecho-

tać, były długie, nieprzyjemne i tym boleśniejsze, że nazbyt długo je ignorowałam.

Poradziłam sobie z tym, ale tylko dzięki kosztownej terapii „zarządzania gniewem” i tylko częściowo. W trakcie sześciu sesji zamieniłam na wstążki kilka gumowych rurek, materac i siedzenie spodni. Rozpad małżeństwa udzielił mi paru życiowych lekcji, jedne mieściły się w kolumnie „prawdy podstawowe”, inne w kolumnie „pokręcone”. Pierwsza brzmiała: nie udawaj, że jesteś spokojna, kiedy nie jesteś, ponieważ — sensacja dnia! — brzydkie uczucia będą gotować się w tobie, aż w końcu wybuchną. Zwrot „podążać za głosem serca” jest wymówką dla czynów nieodpowiedzialnych, bezmyślnych i niegodziwych, które ranią innych. Na końcu dowiedziałam się, na czym polega cynizm: kiedy człowiek, którego uważałaś za swoją drugą połówkę, opluwa cię i mówi, że to deszcz.

Większość życiowych lekcji to ważne, pouczające doświadczenia, ból wspomaga nasz rozwój duchowy. Czasami jednak życiowe lekcje to gówniane sprawy, po których czujemy gniew i cierpienie. Przekonanie, że wszyscy mężczyźni to egoistyczne, zarozumiałe dupki, którego nabrałam po odejściu Jacka, z całą pewnością należało do drugiej kategorii. Ale cynizm wydawał mi się oświeceniem i przywarłam do niego, ponieważ pozornie udzielał odpowiedzi. Wiedziałam, że taka postawa jest niszcząca, że przez nią nikogo innego nie poznam — i w tym kryła się prawdziwa odpowiedź. Nie chciałam nikogo poznawać. Jack był i zawsze będzie moją drugą połówką, to nie podlegało kwestii. Łatwiej mi było myśleć o nim jako o przebiegłym draniu, niż stawić czoło rzeczywistej prawdzie polegającej na tragicznej stracie miłości. Najpierw porzucił mnie ojciec, potem Jack, wielka miłość mojego życia. Ojciec i druga połówka, dwa związki, które miały

być niezniszczalne. Dwaj najważniejsi ludzie, którzy mówili, że mnie kochają, a mimo to mnie opuścili. To nie poprawia poczucia własnej wartości. Miałam do wyboru: albo zmierzę się z cierpieniem, albo odłożę związek z mężczyznami do przegródki „zbyt trudne”, w której znajdowały się już marzenia o balecie i uzyskanie naturalnie wyglądających blond pasemek na ciemnych włosach.

Gdy raz zdecydowałam, że mężczyźni nie są dla mnie, znalazłam w relacjach z nimi wielką wolność. Miałam mnóstwo przyjaciół mężczyzn, gejów, hetero i żonatych. Dla zamężnych przyjaciółek nigdy nie byłam zagrożeniem, ponieważ stworzyłam sobie pragmatyczną rzeczową osobowość, która od razu odbierała seksualność ich mężom, więc chętnie mi ich pożyczaly, kiedy potrzebowałam towarzysza na imprezę w pracy albo kogoś do zmontowania regału. Po Jacku zbudowałam sobie życie, w którym nie byłam samotna. Miałam kilkoro bliskich przyjaciół; był wśród nich sympatyczny mężczyzna, z którym połączył mnie wygodny, fizyczny związek. Jego życie było zbyt skomplikowane, moje „zbyt proste”, żebyśmy się zakochali, więc spotykaliśmy się co parę tygodni i uprawialiśmy seks. Nasz związek nie był wyrachowany, jak pozornie może się wydawać, ale serdeczny, wypełniony pieszczotami, częstymi wypadami do miasta, wspólnymi posiłkami. W życiu zawodowym odnosiłam sukcesy, w życiu prywatnym zawsze miałam z kim pójść do kina, na wieczorne zajęcia, na kurs salsy i do siłowni. Byłam kochanką, matką chrzestną, nauczycielką i dobrą przyjaciółką. Byłam także córką; całą moją rodzinę stanowiła Eileen i to mi wystarczało, nie wiem, czy zdołałabym poradzić sobie z dwojgiem rodziców, jeśli chodzi o oddanie. Czas mijał, a ja zaczęłam cieszyć się z odejścia Jacka

i byłam coraz bardziej przekonana, że moja kariera i styl życia nigdy nie rozwinęłyby się w taki wzbogacający, pomyślny sposób, gdybyśmy pozostali małżeństwem.

A w tydzień po tym, jak dowiedziałam się o chorobie mamy, Jack pojawił się na moim progu.

Na początku go nie poznałam. Wyjrzałam przez okno gabinetu, żeby sprawdzić, kto dzwoni do drzwi, i zobaczyłam bardzo atrakcyjnego mężczyznę ze złotą opalenizną i ogoloną, połyskującą od kilkudniowego zarostu głową. Miał na sobie znoszone dżinsy i sportową, ale wyglądającą na drogą lnianą marynarkę. Nie byłam całkowicie odporna na fantazję o księciu z bajki pukającym do moich drzwi, więc przejrzałam się w lustrze, niewykluczone też, że pociągnęłam usta błyszcznikiem. Z szerokim uśmiechem otworzyłam drzwi.

— Grace! Wyglądasz fantastycznie! Zorientowałam się, że to on, kiedy tylko otworzył

usta, i uśmiech zamarł mi na twarzy. W ułamku sekundy szok pozbawił mnie sił, bałam się, że rozpadnę się na kawałki. To było w jego stylu tak mnie zaskoczyć, to było w jego...

— Przepraszam, powinienem był zadzwonić!

...stylu postąpić jak dupek, a potem zbyć sprawę przeprosinami, choć miał całą władzę, choć szkoda już się stała.

Pozbierałam się jakoś.

— Jack! Co za urocza niespodzianka.

Ale nikogo nie mogłam oszukać. Wiedział, że jestem bezbronna. Bezsilna.

Wszedł i oboje przez pół godziny uprzejmie udawaliśmy, że prowadzimy luźną rozmowę. On „dobrze sobie radził” w Australii, ja w pracy odnosiłam sukcesy; on utrzymywał kontakty z tą osobą, ja z tamtą straciłam

kontakt. Nie powiedziałam mu o nowotworze Eileen. Sprawa wciąż była dla mnie za świeża, czułam się zbyt rozdygotana, a poza tym to już nie był jego interes. W środku jakiegoś nudnego zdania — chyba o cenach nieruchomości — nagle wyrzucił z siebie:

— Grace, poznałem kogoś.

Wbrew woli zaśmiałam się. Powiedział to z komiczną powagą, jakbym powinna załamać się z rozpaczy. Jakby to miało znaczenie.

— Martwiłabym się, gdybyś nie poznał.

— Jest w ciąży... To trochę zabolalo.

— Wspaniale!

A potem poważnym, protekcyjnym tonem:

— Chcę rozwodu.

Nie powiedział: „Potrzebny mi rozwód”, ale „Chcę rozwodu”. Dlaczego zwróciłam uwagę na to drobne okrucieństwo? Dlaczego mnie to obeszło?

— Oczywiście, Jack, jasne, najwyższy czas.

Kiedy tylko to powiedziałam, każda cząstka mojego ciała zaczęła krzyczeć: „Rozwód! Nie!”.

Separacja jest łagodniejsza. Brzmi mniej poważnie, jest delikatnym, cywilizowanym układem. Separacja jest odwracalna, a chociaż nigdy nie wyobrażałam sobie, że po tylu latach Jack i ja wrócimy do siebie, nagle uderzyła mnie ostateczność tego kroku. Rozwód: finalna okrutna kropka po niegdysiejszej miłości. Zalała mnie fala chorego, bezpodstawnego strachu.

Jack uśmiechnął się szeroko.

— Wspaniale! Jutro przyjdę z dokumentami.

Ten gruboskórny łajdak już przygotował dokumenty. Musiałam mimowolnie jęknąć, bo wziął mnie za rękę, ścisnął i powiedział:

— Grace, dobrze się czujesz?

Spojrzałam mu w oczy i to był dawny Jack. Mężczyzna, w którym się zakochałam: ciepły, troskliwy i mądry. Wiedziałam, że to szaleństwo, że oboje się zmieniliśmy, ale w chwili gdy mnie poprosił, żebym ostatecznie pozwoliła mu odejść, chciałam, żeby do mnie wrócił. Pragnęłam namiętności i wiary w naszą miłość, pewności i codziennego cudu naszych wspólnych przekonań i zrozumienia. Chociaż spędziłam bez Jacka osiem lat, nagle pojęłam, że nie chcę dłużej być samotna. Powiedziałam więc:

— Jack, mam teraz wielki problem z mamą. Jest chora na raka i nie wiemy, jak długo będzie żyła.

— Chryste, Grace, tak mi przykro...

— Więc najlepiej będzie, jeśli dzisiaj damy sobie z tym spokój, dobrze? Zostaniesz tu przez jakiś czas?

— Jasne. Chryste, Grace, chcesz o tym porozmawiać?

Przekazałam mu skrótową pięciominutową wersję tego, co przydarzyło się mamie. Jack bardzo chciał mnie wesprzeć, ale nie miałam ochoty go słuchać. Podał mi numer do hotelu, w którym się zatrzymał, powiedział, że w przyszłym tygodniu na kilka dni wyjeżdża, ale mogę go złapać przez telefon komórkowy jego dziewczyny — ten numer też mi podał. Zawahał się przed słowami „moja dziewczyna”, co sprawiło, że poczułam się dziwnie silna.

Po jego wyjściu mieszkanie wydawało się puste i ja też tak się czułam.

Płakałam przez dwadzieścia minut, potem zadzwoniłam do Sity.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy wróciłam po odbitki, John Blake czekał na mnie.

Opowiedziałam o przygodzie przyjaciółkom, przejechałam się na szalonej kolejce nadziei i żalu za straconą okazją i do rana zupełnie straciłam pewność siebie. A jeśli się nie pojawi, bo nie zrozumiał znaków, mężczyźni w tych sprawach są beznadziejni. Przypuśćmy, że się pojawi i będziemy razem, przecież nic o nim nie wiem.

Kiedy skręciłam za róg, zobaczyłam go kilkaset metrów dalej — stał koło zakładu fotograficznego i palił. Przyglądał mi się i wyraźnie, otwarcie czekał. Poczułam przelotne rozczarowanie, jakby był jednym z pospolitych chłopaków z naszego miasteczka, którzy wystają pod sklepem, mierzą mnie wzrokiem i rzucają arogancką uwagę, kiedy ich mijam. Teraz, w pełnym świetle, wyglądał inaczej, zwyczajniej. Twarz miał młodszą i bledszą, golf zastąpiła biała koszula. Kiedy się do niego zbliżyłam, rozmyślnie przypomniałam sobie podniecenie, które czułam poprzedniego dnia, i powiedziałam sobie, że to może być początek największej przygody mojego życia. Miałam prawie osiemnaście lat i nie mogłam wiedzieć, że niewinność ukształtuje moją przyszłość z tego pierwszego idealnego momentu, z miłości od pierwszego wejrzenia.

Następne pół roku upłynęło mi w połyskliwej mgle. Dostałam pracę w Aer Lingus, a razem z nią cały komplet olśniewających i ważnych przyjaciół, pokój w mieszkaniu na Dawson Street oraz pensję, za którą kupowałam płyty i modne ubrania. Najlepsze ze wszystkiego było przebywanie z Johnem. Miał dwadzieścia dwa lata, studiował anglistykę w Trinity, chociaż kiedy był wstawiony, czasami nazywał siebie pisarzem, jako że skończył pierwszą wersję pierwszej powieści. Po pracy spotykałam się z nim w hotelu Buswells, gdzie od godziny, dwóch siedział przy kieliszku z przyjaciółmi z uniwersytetu. Pili dużo. Zanim poznałam Johna, nigdy nie tknęłam nawet alkoholu. Nie podawano go w salach tanecznych, gdzie do tej pory bywałam, poza tym mój ojciec należał do antyalkoholowego stowarzyszenia Pioneer i uważał picie za grzech przeciwko Bogu, a już z całą pewnością nie była to rozrywka dla kobiet. John zadawał się z kosmopolitycznym, artystycznym towarzystwem, które spotykało się w pubach z poetami, politykami i biznesmenami, i nikt nie wylewał za kołnierz. Dziewczeta także piły, a ja bardzo chciałam do nich pasować, więc przyjąłam pierwszą szklanekę guin-nessa z pewnym siebie uśmiechem, który mówił, że dla mnie to nie pierwszyzna. Smak był obrzydliwy, ale szybko znalazłam drinki, które polubiłam: wódkę z limetką, whisky, babycham. Nauczyłam się saczyć je z przyjemnością, tak by nie odstawać od reszty. Lata sześćdziesiąte w Irlandii nie były jeszcze do końca rozkołysane, ale do dyspozycji mieliśmy dość przyjemności, by poczuć, że naprawdę żyjemy. Głównie spotykaliśmy się w pubach i urządzaliśmy imprezy w domach. Ci, którzy nie pracowali, spali potem przez cały dzień — ja spałam w weekendy. W tygodniu usiłowałam pogodzić balowanie długo w noc z pracą i czasami namawiałam Johna, żebyśmy po-

szli gdzie indziej, nie do pubu. Ale John nie lubił kina ani teatru; oznajmił, że ponieważ sam jest pisarzem, nie chce, by podświadomie wpłynęły na niego prace innych twórców. Czytanie to co innego, bo czyta „świadomym umysłem”. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym mówi, zresztą o ile mogłam się zorientować, na czytanie także nie zostawało mu wiele czasu. To mi nie przeszkadzało, bo się bałam, że kiedy będzie mądrzejszy, dostrzeże, jak bardzo jestem zwyczajna, i wymieni mnie na jedną z tych błyskotliwych i nowoczesnych dziewcząt z Trinity, z którymi się przyjaźnił.

Czasami John nazywał mnie „swoją wiejską katolicką dziewczyną — popatrzcie tylko na te niewinne błękitne oczęta”. Nie lubiłam, kiedy mówił tak o mnie przy innych, ale nie protestowałam. Przebywałam na gruncie Johna i tak świetnie się bawiłam, że mogłam sobie pozwolić na zbycie wzruszeniem ramion wygłaszanej od czasu do czasu złośliwej uwagi. Poza tym zawsze mogłam wziąć jego docinki za to, czym w istocie były, czyli odgrywanie się za moją odmowę pójścia z nim do łóżka.

Chłopcy całowali mnie wiele razy, kiedy po tańcach odprowadzali mnie do domu, w kuchni ratusza podczas imprez i w ostatnich rzędach kina. Nie uważałam siebie za niewinną. Strach przed grzechem wciąż we mnie był, choć już dawno został zepchnięty na dalszy plan z pierwszej pozycji, którą zajmował, gdy byłam dzieckiem. Z grzechem wiązały się wyrzuty sumienia i jak ja to rozumiałam, z wyrzutami sumienia trzeba się nauczyć żyć, jeśli człowiek chce zaznać choć odrobinę radości. Ale utrata dziewictwa to była zupełnie inna kategoria. Dziewczyna musiała być naprawdę pewna mężczyzny, zanim mu się oddała. Bo jeśli pozbawisz się dziewictwa i Boże broń, między wami się nie ułoży, zrujnujesz sobie życie. Zostaniesz

z reputacją puszczałskiej i żaden mężczyzna nigdy nie potraktuje cię na tyle poważnie, żeby się z tobą ożenić. W przypadku dziewictwa nie było drugiej szansy. Jak się go pozbyłaś, to nieodwołalnie. Całowanie i pieszczoty były miłe, ale wiedziałam, że jeśli chodzi o tę „drugą rzecz”, jest krew, ból i generalnie niemiłe wrażenia. Wziąwszy pod uwagę anatomię, jakże mogło być inaczej? Domyślałam się bardziej, niż wiedziałam, że gdzieś po drodze podobno ma się pojawić przyjemność, choć podejrzewałam też, że to tylko mit, który mężczyźni wykorzystują do przekonania dziewczyny, żeby im uległa. Nieważne, z iloma liberalnymi ideami Johna się zgadzałam, wciąż byłam przekonana, że z zabawami na dole lepiej poczekać do ślubu. No i pozostawała kwestia miłości. Nie byłam do końca pewna, czy jestem zakochana w Johnie Blake'u. A może, myślałam, tak bardzo go kocham, że zachowuję część siebie w rezerwie, bo nie wierzę w nasz związek. Nie wątpiłam za to, że John jest wyjątkowy, inny, że mnie wybrał i że pochodzi z irlandzkiej klasy wyższej.

Blake'owie byli szanowaną bogatą rodziną z południowego Dublinu, moja rodzina też cieszyła się szacunkiem, ale dzieliła je otchłań. John kpił ze mnie dobrotliwie, nazywając „wiejską dziewczyną”, ale wiedziałam, że nie miałoby dla niego znaczenia, gdyby mój ojciec był biednym rolnikiem, a jego sędzią. Dla mnie jednak to miało znaczenie. Nie mogłam nawet powiedzieć rodzicom, że umawiam się z bogatym protestantem. Taki pomysł nie mieścił się w granicach ich świata. Próbowałam wyobrazić sobie naszą wspólną przyszłość, ale wydawała mi się dziwna i nienaturalna. Prosta katolicka dziewczyna z prowincji i bogaty protestant z miasta: to była czysta fantazja, romantyczna fikcja. W moich marzeniach pomyślność naszego związku zależała od dwóch czynni-

ków: jego rodzice akceptują mnie, a moi bez sprzeciwów dostosowują się do życzeń lepiej wykształconej, bardziej światowej klasy wyższej. Zważywszy, że mój ojciec był zagorzałym republikaninem, który nienawidził Anglików, scenariusz taki wydawał się mało prawdopodobny.

Po trzech miesiącach naszej znajomości John w czasie rozmowy luźno rzucił:

— Wuj urządza przyjęcie w weekend i rodzice pytają, czy chciałabyś z nami pójść.

Zareagowałam zdenerwowaniem i podnieceniem. Zadzwoiłam w piątek do pracy i powiedziałam, że jestem chora, bo cały dzień zamierzałam spędzić na pakowaniu i zakupach.

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, a tym samym co mam zabrać, ale nie chciałam pytać, żeby John nie nazwał mnie burżujką, jak robił za każdym razem, kiedy próbowałam dowiedzieć się czegoś o jego rodzinie. Na tamtym etapie wiedziałam tylko, że jego rodzice są „bogaci”, że ma dwie siostry i że ojciec jest adwokatem. Kiedy próbowałam ustalić stopień „bogactwa”, subtelnie kierując rozmową tak, by móc zapytać, ile pokoi jest w domu jego rodziców, John natychmiast ucinał temat. Albo jako intelektualista nie uważał tych spraw za ważne, albo — i ta ewentualność mnie niepokoiła — były ważne do tego stopnia, że nie mógł o nich ze mną rozmawiać.

W piątek wieczorem pociągiem z Connolly Station pojechaliśmy do Gormanston. John czytał, ja siedziałam naprzeciwko, poprawiałam szalik przypięty broszką do klapy, zerkałam w lusterko puderniczki, by upewnić się, że szminka się nie rozmazała, otwierałam i zamykałam torebkę, sprawdzając jej zawartość: chusteczki, szminka, pieniądze, róż, pończochy, rękawiczki, kolczyki, zapalniczka — chociaż nie paliłam, zawsze miałam przy sobie

zapalniczkę. Byłam kłębkiem nerwów. Nie czułam się „dostatecznie dobra”.

— Przystań się kręcić, kobieto!

Wstrząśnięta spojrzałam na Johna. Nie unosząc wzroku znad książki, mój chłopak szeroko się uśmiechnął. Żartował: udawał, że jesteśmy starym małżeństwem. W ten sposób mówił mi, żebym się nie denerwowała ani nie bała; to była chwila intymności, może i zawołowanej, ale wiedziałam, co oznacza. Dobrodusznie mi docinając, John pozwalał mi siebie kochać.

Od chwili gdy wysiedliśmy z pociągu, czułam się jak w innym świecie. To było połączenie Irlandii i wiejskiej Anglii, miejsce znane mi z powieści Agathy Christie i filmów z Alastairem Simem. Na stację przyjechał po nas srebrnym rolls-royce'em młody mężczyzna imieniem Liam. Nie zdając sobie z tego sprawy, musiałam pisnąć z zachwytu, bo John z przesadnym brytyjskim akcentem powiedział:

— Uspokój się, dziewczyno. Nigdy nie widziałaś rollsa?

Nawet okolica, śliczne zielone pola z przyszczyżonymi żywopłotami i stare, ale dobrze utrzymane chaty, sprawiała wrażenie spokojniejszej i bardziej cywilizowanej niż mój „dziki zachód”. John wziął mnie za rękę i serdecznie ścisnął. To był ojcowski gest, wyczuwałam, że rozumie, z jak wielkim podziwem patrzę na jego świat, i będzie pilnował, żebym nie zrobiła z siebie idiotki.

W tamtą sobotę przed kolacją John odebrał mi dziewictwo.

Nie było odpowiedniej scenografii ani wolnego budowania romantycznego nastroju. Po śniadaniu zebraliśmy się wszyscy przed stajniami, a John wziął mnie na długi

spacer, elegancko odwracając uwagę rodziny od faktu, że nie umiem jeździć konno.

— Chcę ją mieć dla siebie przez cały dzień, zasługuje na lepsze towarzystwo niż konie i psy myśliwskie!

— Ależ ty jesteś najlepszym psem myśliwskim! — zażartował jego wuj.

Do tamtej chwili czułam zniechęcenie, to było tak, jakbym znalazła się w środku powieści o angielskich wyższych sferach. Łóżko z baldachimem, pełen lodowatych przeciągów i skrzypnięć stary dom, przebieranie się do kolacji przygotowanej przez służbę — no, w każdym razie przez gospodynię. Zdystansowany, dystyngowany ojciec Johna, jego zdumiewająco piękna matka w krwistoczerwonej sukni, która wyciągając kieliszek po kolejną dolewkę wina, poprawiała na białych szczupłych ramionach nadgryziony przez mole sweterek. Swobodna protestancka rozmowa o seksie, sztuce, brytyjskiej polityce i kosztach zagranicznych podróży. Mój udział w niej był krótki i sprowokowany przez Johna, a dotyczył kosztów lotów do Nowego Jorku. Potem rozkleiłam się z radości, że zrećcznie powstrzymał mnie od ujawnienia, że nigdy dotąd nigdzie nie leciałam.

Pokonaliśmy wiele kilometrów, biegaliśmy po polach, zrywaliśmy jeżyny z gęstych krzewów, kryliśmy się przed deszczem pod starymi, omszałymi drzewami, całowaliśmy się w wilgotnym powietrzu. Mój jaskrawoczerwony modny płaszcz nadawał kolor szaremu dniowi. Do domu wróciliśmy późnym popołudniem, głodni jak wilki i wyczerpani. John gonił mnie po schodach do mojego pokoju. Padliśmy na łóżko. Twarze mieliśmy mokre od deszczu i potu, w mięśniach mrowiło nas od wysiłku.

Było po wszystkim, zanim w pełni zdałam sobie sprawę, że się zaczęło. Tak się skoncentrowałam na namięt-

nych pieszczotach, na ciepłe, które mnie ogarniało, że kiedy opanowałam się na tyle, żeby zaprotestować, on już skończył. Opadł na mnie, wtulając twarz w moją szyję, i poczułam, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu. Pogłodziłam go po włosach. Zamruczał radośnie, ale od tamtej chwili wyczuwałam, że raz zaspokojony, odsuwa się ode mnie.

Dwa dni po powrocie John powiedział mi, że lato zamierza spędzić w Paryżu. Mówił o potrzebie pogłębionych studiów nad filozofią francuską, o francuskim pochodzeniu matki, które chce zbadać, by móc je wykorzystać w następnej książce, o powrocie we wrześniu.

Przez kilka następnych tygodni widywałam go rzadko. Jeszcze tylko raz uprawiałam z nim seks, ale zachowywałam się lodowato i obojętnie, żeby dać mu do zrozumienia, że potraktował mnie jak tanią panienkę, że mnie zdradził. Później czułam się jak idiotka, że próbowałam ukarać go swoim męczeństwem.

Latem przygnębienie wywołane utratą Johna pogłębiało się, zamiast maleć, i dawało o sobie znać objawami fizycznymi w rodzaju nudności, czkawki, nagłych wybuchów gniewu, łez. We wrześniu spotkałam naszą wspólną znajomą, która była stewardesą; powiedziała mi, że wpadła na Johna w Paryżu. Zrezygnował z pokoju w Trinity i mieszka w Szóstej Dzielnicy z modelką. Mało prawdopodobne, by w najbliższym czasie przyjechał do Dublina.

Dopiero sześć tygodni po tej rozmowie ostatecznie przyznałam sama przed sobą, że jestem w ciąży. Obrośnięte drzewami alejki St. Stephen's Green pokryły się już jesiennym złotem, a ja byłam w szóstym miesiącu ciąży.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Siedziałam w gabinecie Sity, wyrzucając z siebie gniew, dezorientację i ból po spotkaniu z Jackiem. Sita mruczała pocieszająco i przez godzinę cierpliwie łagodziła moją histerię, zapewniając raz po raz, że taka plątanina uczuć jest naturalną reakcją, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Zasadniczo rzecz biorąc, moje położenie nie uzasadniało aż takiej rozpacz. Po ośmiu latach separacji mąż chce rozwodu? Pogódź się z tym. Ale to jedna z cudownych cech naprawdę dobrych terapeutów holistycznych. Nie uważają twojego bólu za bezpodstawny, ponieważ rozumieją, że jego przyczyna — śmierć w rodzinie, stłuczony imbryk — w gruncie rzeczy jest bez znaczenia, każda strata może boleć równie mocno, wszystko zależy od człowieka.

Nigdy nie znosiłam bólu emocjonalnego. Kto go lubi? Okay, ale niektórzy radzą sobie z nim lepiej. Czytałam kiedyś, że ludzie najsilniejsi pod względem intelektualnym, emocjonalnym i duchowym to ci, którzy stawiają czoło swoim demonom, przechodzą przez cierpienie i wyłaniają się po drugiej stronie. Mimo iż taki wysiłek wkładałam w poznanie siebie, ból nigdy nie wydawał mi się normalny. Zawsze odbierałam go jako niesprawiedliwość, większą i gorszą, niż się spodziewałam.

— Potrzebuję wytchnienia — powiedziałam, dając znak, że skończyłam zwierzać się z odczuć i jestem gotowa ruszać dalej.

Spojrzałam w okno za Sita; niebo było szare, horyzont zamglony i niewyraźny. Bezmiar morza sprawiał, że każdy dzień, choćby najbardziej pochmurny, nabierał znaczenia. Poczułam się bezbronna i uświadomiłam sobie, że chcę zostać tutaj, z Sita. Chciałam patrzeć przez jej okno, chciałam, by przez kilka dni pocieszała mnie moja mentorka i terapeutka. Czułam się jak chore dziecko, które pragnie, by się nim opiekowano. Rzecz jednak w tym, że nie byłam chorym dzieckiem, ale dorosłą kobietą doświadczającą irracjonalnej burzy uczuć w związku z małżeństwem, które już dawno nieodwołalnie się skończyło.

— Mam pomysł — powiedziała Sita.

Przez sekundę myślałam, że poprosi mnie, żebym z nią została, ale ona wstała i wyszła z pokoju. Po powrocie wręczyła mi broszurkę odbitą na ksero. Jej tytuł brzmiał: „Oddechem połącz się z Duchem”.

— To niezwykle warsztaty jogi. Odbędą się w ten weekend na pięknej oddalonej wyspie na wybrzeżu północnym. Może powinnaś pojechać.

— Dziękuję, Sito, pomysł wydaje się rewelacyjny. Może istotnie pojedę.

Na pożegnanie uściskałyśmy się; Sita była mniejsza i drobniejsza ode mnie, mimo to pragnęłam zostać przy niej. Potrzebowałam kotwicy, kogoś, kto zapewni mi bezpieczeństwo — choć nie wiedziałam, przed czym ma mnie chronić. Było mi smutno, że choć zwierzałam się Sicie ze swoich sekretów i serdecznie ją obejmowałam, nie czuję się na tyle swobodnie, by poprosić ją o poświęcenie mi więcej niż godziny.

Postanowiłam pojechać na weekend z jogą. Nie chciałam z nikim, zwłaszcza z Eileen, rozmawiać o Jacku. Dobrą stroną jego powrotu było to, że rak mamy stracił na znaczeniu, i pragnęłam, by przynajmniej przez pewien czas tak pozostało. Przypuszczam, że przyjemność sprawiał mi „problem” dotyczący wyłącznie mnie. Moje życie uczuciowe było tak strasznie nieatrakcyjne, że niemal ucieszył mnie ten rozwód. Przeżywanie epilogu małżeństwa trudno uznać za dobrą zabawę, aczkolwiek w kategoriach żałoby na pewno jest lepsze od matki umierającej na nieuleczalną chorobę. Z drugiej strony od tego wszystko jest lepsze.

Na wyspę, na której odbywały się warsztaty jogi, można się było dostać tylko łodzią. Zgodnie ze wskazówkami podanymi w broszurze do wioski, z której odpływała łódź, należało dojechać taksówką z najbliższego miasteczka, do którego należało dojechać minibusem z najbliższej stacji kolejowej/dworca autobusowego, do której/którego należało dojechać taksówką z najbliższego lotniska. Wyspa faktycznie była na odludziu. „Podróż na tę piękną wyspę”, napisano w broszurze, „stanowi istotną część ekscytującej duchowej przygody, którą rozpoczynasz. Ciesz się nią!”.

Moja podróż rozpoczęła się od tego, że nie dostałam biletu na samolot i musiałam przemierzyć cały kraj nocnym pociągiem bez miejsc sypialnych. Mniej więcej po pięciu godzinach podróży, kiedy wagon barowy został zamknięty, powieść przeczytana, zaloty co najmniej trzech pijanych „niepożądanych” adoratorów odparte, a każdy sweter i szal owijał moje przemarznięte na kość ciało, nie potrafiłam w tej podróży odnaleźć żadnego duchowego wymiaru. Tak samo było, kiedy o szóstej rano wysiadłam z pociągu i przekonałam się, że do dziewiątej żaden tak-

sówkarz nie pracuje — fakt ów stał się jasny tylko dla mnie i takich jak ja „badaczy ducha” (jedynie po nas nie przyjechał nikt prywatnym samochodem) po trzech godzinach czekania w nieogrzewanej poczekalni. Podczas tych trzech godzin poznałam niektóre entuzjastki jogi. Wydały mi się nieatrakcyjne zarówno jako towarzyszki podróży, jak i współuczestniczki warsztatów; przez brak snu, jedzenia i wygod zrobiłam się wredna i od razu przykleiłam im etykietkę samotnych, potrzebujących kobiet w średnim wieku, które poszukują rozwiązania nieistniejących problemów. Naturalnie wściekało mnie, że jestem jedną z nich. Co więcej, mam taką twarz, która kompletnym nieznanym każe się przede mną otwierać i opowiadać historie całego życia. Tak czy owak, po tamtych trzech godzinach miałam mnóstwo czasu na wysłuchanie najdrobniejszych szczegółów, jako że jechałyśmy ściśnięte w taksówce przez czterdzieści minut, a potem spędziłyśmy pół godziny na szalenie malowniczym, ale lodowatym rejsie promem, by po jego zakończeniu wsiąść wreszcie do cudownie ogrzewanego siedmioosobowego dżipa, który prowadziła piękna młoda Australijka.

Nasza wybawczyni okazała się instruktorką. Na imię miała Leonora i odznaczała się delikatną czystą urodą, która potrafiła rozwiać nawet najbardziej ponury nastrój. Zanim dotarliśmy do celu podróży (prostego budynku w miejscu tak oddalonym od cywilizacji, że na nowo definiowało pojęcie pustkowia, którego szare ściany momentalnie nasuwały myśl o życiu w stylu „suchy chleb i żadnych materacy”, tak faworyzowanym przez wegańskich ekstremistów), Leonora swoim wdziękiem skłoniła nas do uwierzenia, że może jednak nasza podróż nie okaże się czasem zmarnowanym. Mówiła o oddychaniu, jodze i cudownym odosobnieniu, ale choć tryskała entu

zjazmem, nie brała siebie nadmiernie poważnie. Musiała być po trzydziestce, aczkolwiek świeża cera sugerowała młodszy wiek, i emanowała rodzajem wrodzonego spokoju, którego kiedyś zazdrościłam innym, a do którego teraz po prostu dążyłam. Bardzo polubiłam Leonorę i byłam przekonana, że mogę się od niej wiele nauczyć.

Na kolację podano smaczne wegetariańskie dania, później udało mi się zdobyć jednoosobowy pokój. Dobrze spałam w świeżej pościeli. Po śniadaniu złożonym ze świeżo upieczonego chleba i owoców rozpoczęła się pierwsza sesja jogi. Leonora traktowała nas serdecznie, dodawała otuchy, a techniki oddychania okazały się dość łatwe i skuteczne. Wyszłam z sali lekko, jakbym unosiła się w powietrzu.

Po lunchu postanowiłam wybrać się na długi spacer. Szybkim marszem pokonałam podjazd, potem skręciłam w polną wąską drogę, którą szłam do chwili, gdy zobaczyłam ścieżkę prowadzącą na środek torfowiska. Wreszcie znalazłam się w miejscu, gdzie nie było śladu cywilizacji. Żadnych dróg, domów, linii telefonicznych, kabli, tylko płaska czerń i złote torfowisko otoczone postrzępioną falbanką nielicznych drzew. Stałam i nasłuchiwałam. Dokoła panowała cisza. Rozlegały się wprawdzie szepty wiatru i śpiew ptaków, ale były słabe, tłumione przez mech. Bez zastanowienia, jakby kierował mną jakiś pierwotny instynkt, otworzyłam usta i krzyknęłam. Miałam wrażenie, że zrobił to ktoś inny, ale potem pomyślałam: „Jak często człowiek słyszy własny krzyk? W wesołym miasteczku? Podczas kłótni?”. My z Jackiem nigdy się nie kłóciliśmy. Nigdy. Byliśmy zbyt cywilizowani, zbyt „zrównoważeni”. Gdybyśmy poświęcili mniej czasu na współczujące „słuchanie”, a więcej na krzyki, może byśmy... co? Byli razem?

A potem z nagłą i absolutną jasnością pojęłam, że moje małżeństwo nie przetrwałoby, nawet gdyby Jack wrócił. Jack poślubił nieśmiałą dziewczynę, potem wyjechał, a ja rozkwitłam w silną, pewną siebie, odnoszącą sukcesy kobietę. Mąż nigdy by mnie takiej nie zaakceptował. Jego potrzeba bycia uwielbianym była tak silna, że uciekłyby w chwili, w której dorównałabym mu poziomem samoświadomości. Z równą intensywnością, z jaką w przeszłości uważałam go za tego jedyne, teraz wiedziałam, że opuścił moje życie z ważnego powodu. Rozwinęłam się jako osoba, ponieważ mnie opuścił, a nie pomimo to. Wreszcie byłam wolna.

— Tak! — krzyknęłam w bezmierną pustkę. — Tak! Tak! Tak!

Ale każde „tak” lądowało z głuchym dudnieniem i ginęło w wilgotnej ziemi. To był okrzyk zwycięstwa, musiał być usłyszany. Potrzebował echa w majestatycznym górskim krajobrazie, które poniosłoby go przez wioski i kontynenty, obwieszczając światu: „Ja miałam rację, a on się mylił!”.

To był rodzaj cudownego olśnienia, którym musiałam się podzielić, szybko zawróciłam więc do „bazy”. Pękałam z ochoty, żeby komuś powiedzieć. Leonora. Między nami od razu pojawiła się sympatia. Znajdę ją i o wszystkim opowiem, ale najpierw zadzwonię do Jacka. Przejęłam kontrolę, całkowitą kontrolę nad własnym przeznaczeniem. Sita jak zwykle miała rację. Wyjazd oczyścił mi myśli na tyle, by pojawiły się odpowiedzi. Przestrzeń, cisza, oddychanie, nawet ta straszna podróż, wszystko to zaprowadziło mnie do punktu, w którym stałam się całością. W którym mogłam zrezygnować.

Do domu wróciłam w ciągu kilku minut, pewnie biegłam. Poszłam do pokoju, złapałam komórkę i włą-

czyłam, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu karteczki z numerem Jacka. Powiedział, że wyjeżdża na weekend, wciągnęłam więc powietrze w płuca i wybrałam numer telefonu komórkowego jego dziewczyny. Brak sygnału. Brak zasięgu. Cholera. Obeszłam pokój — bez skutku. Wyszłam na korytarz. To samo. Ruszyłam po zimnym domu, wchodziłam i wychodziłam z pustych pokoi, aż w końcu w sali jogi uzyskałam zasięg i bez zastanowienia wystukałam numer. Wreszcie rozległ się sygnał. Równocześnie zdarzyło się coś naprawdę niesamowitego. Usłyszałam śpiew ptaków, bardzo głośny, jakby z tego samego pomieszczenia. Wyłączyłam komórkę i rozejrzałam się, ale śpiew ptaków umilkł. Pomyślałam, że to dziwne, że to musiało być echo albo coś w tym rodzaju. Znowu wystukałam numer i po kilku sekundach usłyszałam śpiew ptaków. Przede wszystkim po to, by upewnić się w kwestii własnego zdrowia psychicznego, ruszyłam po sali, aż zlokalizowałam źródło sygnału. Wydobywał się z torebki za drzwiami. Szybko zorientowałam się, że to telefon komórkowy; doprawdy, muczenie krów, płacz niemowląt, ćwierkanie ptaków — co za ludzie wybierają takie sygnały?

Znowu wybrałam numer i w tej samej chwili urocza Leonora przybiegła po torebkę. Poczułam przelotne wyrzuty sumienia. Śpiew ptaków pewnie mniej przeszkadzał w miejscu takim jak to, chociaż pamiętałam, że na warsztatach zakazano używania komórek.

Widząc, że trzymam przy uchu telefon, Leonora uśmiechnęła się do mnie przepaszająco, odpowiedziałam więc tym samym. To był miły, zabarwiony ironią moment.

— Halo!

— Słucham?

Oddalone od siebie o niecałe trzy metry, spojrzaliśmy sobie w oczy, sparaliżowane szokiem.

Leonora była dziewczyną Jacka.

Usiłując zachować obojętną minę, gorączkowo zastanawiałam się nad tym niesamowitym zbiegiem okoliczności. Irytujące, ale moją pierwszą myślą było, że nowa kobieta Jacka jest olśniewającą i „oświeconą” joginką, a nie niewinną słabą ciamajdą, której obraz sobie stworzyłam. Po dłuższej chwili mojego milczenia Leonora na szczęście się załamała.

— Och, Grace. Mój Boże, to niezręczna sytuacja... hmm, co mogę powiedzieć?

Przynajmniej raz to nie ja bełkotałam z zakłopotaniem. Uniosłam nieznacznie brwi, czekając na dalszy ciąg.

— Wiesz, pomyśleliśmy, to znaczy Jack i ja, że to może być świetna okazja, żebyśmy... choć chyba wyszło odwrotnie. Wielka szkoda, bo Sita powiedziała...

— Sita? — Nie mogłam się powstrzymać. Zareagowałam automatycznie, co momentalnie przeniosło punkt ciężkości naszej rozmowy.

— O, tak.—Twarz Leonory rozjaśnił szeroki uśmiech. — Sita zawsze bardzo ciepło o tobie mówi, Grace. Jeśli mam być szczerą, Sita powiedziała, że jej zdaniem możemy się zaprzyjaźnić, a pomimo to... — tu wzruszeniem ramion dała do zrozumienia, że ta telefoniczna niezręczność jest zupełnie bez znaczenia — ...naprawdę uważam, że świetnie do siebie pasujemy.

Musiałam poruszać ustami, bo spojrzała na mnie ze szczerą troską w swoich wielkich piwnych oczach i zapytała:

— Grace, dobrze się czujesz?

To była chwila mojego prawdziwego duchowego przebudzenia w związku z rozwodem.

— Czuję się świetnie, Leonora, i dobrze o tym wiesz. — Uśmiechnęłam się do niej promiennie. — Myślę, że Sita ma rację. Jestem zachwycona, podekscytowana, że wreszcie cię spotykam. Ojej! Wszystko tak pięknie się ułożyło!

Po sesji jogi czas, który pozostał do kolacji, poświęciłyśmy na wyjaśnianie sobie różnych spraw. Zapytałam ją o wyspę i możecie wierzyć lub nie, ale odpowiedziała, że to Sita pierwsza napisała jej w e-mailu o tym miejscu, kiedy zastanawiali się, gdzie urządzić warsztaty. Według Sity to było najbezpieczniejsze miejsce na ziemi, jedno z ostatnich w zachodnim świecie, gdzie nie trzeba zamykać drzwi czy chować torebek. Sednem było zaufanie. Właściciel łodzi to niezwyklej duch, mieszka samotnie w starym domu na przystani i jest jedynym stałym mieszkańcem wyspy. Naturalnie szybko przeszłyśmy na wspólny grunt, czyli Jacka i jego osobowość, co dla Leonory było wystarczającym powodem do porozumienia się z inną kobietą. A nasza przyjaźń z Sitą — obie zgodziłyśmy się, że jest niezwyklej. Wcześniej Leonora tylko raz osobiście spotkała się z Sitą, kiedy była na kursie reiki w Anglii; tam też poznała Jacka. Nie odezwał się do mnie? Dziwne, bo spędził w kraju pół roku i właśnie wtedy odnowił kontakty z Sitą. Prawdę mówiąc, to Jack przedstawił Leonorze Sitę, od razu się zaprzyjaźniły i od tamtej pory posyłają sobie e-maile. Oczywiście Sita często wspominała Grace, zawsze uważała, że Grace jest niezwyklej. No cóż, ja też myślę, że Sita jest niezwyklej. Bardzo, bardzo niezwyklej. A potem Leonora wpadła na pomysł! Jack przylatuje jutro wieczorem, ona odbiera go z lotniska. Może z nią pojedę? Dżip jest wygodny i będzie miała towarzystwo podczas czterogodzinnej jazdy. Dżip to prezent od matki Jacka, zamierzają go sprzedać

przed powrotem do Australii, gdzie wezmą ślub. Wykrzywiła się, mówiąc o „papierach rozwodowych”, a ja się roześmiałam. Ha, ha, ha. W czasach, zanim się zaprzyjaźniłyśmy, tak? Pieniądze za dzipa pozwolą im na kupno biletów w klasie biznesowej, ponieważ szczerze mówiąc, ten wyjazd to coś w rodzaju miesiąca miodowego przed ślubem. Mama Jacka pomogła im pokryć koszty. Taka niezwykła z niej kobieta. Ojej. Pewnie to dla mnie bolesne, że tracę ją razem z Jackiem? O tak, przytaknęłam, to bardzo trudne, ale mam być szczerą? Z całego serca życzę im, żeby Leonora polubiła się z niezwykłą matką Jacka i żeby wszyscy troje żyli długo i szczęśliwie. Leonorę moje słowa głęboko wzruszyły i na dobranoc serdecznie się uściskałyśmy. Nie spałam.

O trzeciej nad ranem wzięłam torbę i na palcach zesłam do klasztornej kuchni, gdzie poszukałam jedzenia. Do reklamówki spakowałam pół bochenka chleba, butelkę wody, owoce i opakowanie pasztetu z wędzonej makreli. Tak jak podejrzewałam, kluczyki były w stacyjce dzipa, który z miłym warkotem wyjechał z podjazdu na wąską drogę. Jeśli chodzi o kierunek, adrenalina wyostrzyła mi umysł, a poza tym na wyspie była tylko jedna droga i prowadziła prosto na przystań. Leonora w jednej sprawie się nie myliła: przewoźnik był „niezwykły”. Kiedy mu powiedziałam, że mój ojciec miał bardzo poważny wypadek samochodowy i koniecznie muszę natychmiast wydostać się z wyspy, wskoczył na prom, a na pożegnanie uprzejmie spisał szczegółowe wskazówki, jak dojechać na lotnisko. Przez następne dwie godziny słuchałam mieszaniny ballad z lat osiemdziesiątych i wcześniej zarejestrowanych mądrości życiowych przeznaczonych dla targanych burzami dusz, które albo są szalone, albo do tego

stopnia nieszczęśliwe, że o czwartej rano włączają radio. Na parking lotniska wjechałam przed szóstą. Na pewno będzie jakiś samolot, zresztą nie chciałam długo się tam kręcić. Leonora zaraz rozpocznie sesję jogi przed śniadaniem, więc za mniej więcej godzinę zorientuje się, że nie ma mnie ani samochodu. Teraz, kiedy wróciłam do cywilizacji, wyrzuciłam resztę jedzenia do najbliższego kosza na śmieci, zostawiłam tylko pasztet z makreli. Otworzyłam opakowanie, potem odwróciłam dywanik po stronie pasażera i wysmarowałam szczodrze gumę. Za każdym razem kiedy włączą ogrzewanie, odór będzie coraz gorszy — genialne! Oto co z już pokreconym umysłem robi dwugodzinne słuchanie nocnej audycji. Zostawiłam kluczyki w stacyjce, weszłam do budynku i kupiłam bilet na lot o wpół do ósmej.

Kilka minut po starcie spojrzałam w dół i zobaczyłam morze z grupką maleńkich wysepek blisko brzegu, sprawiających wrażenie, że Bóg dodał je po namyśle. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że tyle godzin jechałam, żeby się od nich oddalić, a teraz wystarczyła chwila, żebym znowu je widziała. Czas i technologia sprzysięgają się, tworząc cuda, które bierzemy za pewnik, ponieważ są dziełem człowieka. To, że stać mnie było na inteligentną myśl, sprawiło, że poczułam się dostatecznie pewna siebie, by sprawdzić, jak wygląda mój stosunek do Jacka. Szukałam w myślach właściwego pytania, które wywoła właściwą odpowiedź i poruszy moje serce. Jack i Leonora. Leonora, młoda, piękna, wychodząca za Jacka? Nic. Joginka, matka Jacka ją uwielbia, urodzi mu niedługo dziecko? Nic. Jack. Starszy, przystojniejszy, odnoszący sukcesy, będzie miał dziecko? Nic. Okay, włączmy litość. Grace, czterdziestoletnia, rozwiedziona, bezdzietna. Nic. Ojej, pomyślałam, muszę być wykończona. Nie chciałam

wracać z tymi bzdurami do domu, musiałam je rozwiązać. Zamknęłam więc oczy i nakreśliłam w wyobraźni obraz smutnej, złej, rozgoryczonej Grace w stroju do jogi i drogiej zimowej kurtce, która rozsmarowuje wędzoną makrelę na dywaniku w samochodzie byłego męża. Czy jest żałosna? Pożałowania godna? Prawdę mówiąc, nie. Roześmiałam się głośno i pomyślałam, jak to dobrze, że miałam dość ikry, żeby po czterdziestce ukraść i zabrudzić samochód. Doszłam do wniosku, że skoro Jack i ja zawsze świetnie się porozumiewaliśmy, to był idealny sposób na definitywne zakończenie naszego małżeństwa, bo przecież czyny mówią głośniejszą niż słowa. Znowu się roześmiałam. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że siedząca obok kobieta uśmiecha się do mnie w rewanżu za konieczność znoszenia moich wybuchów.

— Schowałam wędzoną makrelę w samochodzie mojego byłego męża drania — wyjaśniłam.

— Bardzo dobrze — odparła i obie zaczęłyśmy się śmiać.

Przez pozostałą godzinę lotu rozmawiałyśmy, a przy odbiorze bagaży wymieniliśmy się numerami telefonów. Była pięćdziesięcioparoletnią artystką, rozwódką, miała dorosłe dzieci i mieszkała blisko mnie. Obiecałyśmy sobie, że na pewno się spotkamy, choć z góry wiedziałam, że tak się nie stanie.

W taksówce do domu myślałam o swojej starej przyjaciółce Sicie i zastanawiałam się, jak mogłam zapomnieć, że ona jest jedynym powodem do smutku w całej tej sprawie. Pomimo entuzjastycznej wiary w zaufanie zdradziła mnie, przede wszystkim jednak to ja zdradziłam samą siebie, tak bezgranicznie w nią wierząc. Przypisałam jej mądrość i pozycję, których wcale nie miała. Tracąc ją, pojęłam, że nasze miłości, przyjaciele, partnerzy życiowi

są poddani kaprysom wyboru i zmiany. Miłość rodzinna może wcale nie jest lepsza, ale ze swej natury bardziej pewna.

Wkładając klucz do drzwi mieszkania, czułam, że jedyną pociechą, jakiej pragnę, jest moja matka. Zapomniałam, że kiedy życie mnie zawodziło, do niej jednej zawsze mogłam się zwrócić.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie powiedziałam nikomu, że jestem w ciąży, ani rodzinie, ani przyjaciółkom w Dublinie. Zanim poszłam do lekarza, wiedziałam, co mi jest, ale wciąż miałam nadzieję, że to nieprawda. Każda choroba byłaby lepsza od niechcianej ciąży.

Lekarz był dobry i troskliwy. Czy chcę, żeby skierował mnie do agencji, która może mi pomóc? Są ośrodki zajmujące się takimi sprawami. Kościół katolicki dba o dziewczyny w moim położeniu. Nie jestem sama, widział mnóstwo dziewczyn takich jak ja.

Nie potrafiłam tego przełknąć. Nie byłam „mnóstwem dziewczyn”, ale godną szacunku osobą. Znałam młode kobiety, które bez oporów pozwalały chłopakom na wszystko, i to im się nie przytrafiło. Ja tylko raz się zgodziłam i zaszłam w ciążę. Czułam wyłącznie palący, przytłaczający wstyd, że ten lekarz wie, co zrobiłam. Widział mój moralny brud, orientował się, jakiego rodzaju dziewczyną jestem. Zdawałam sobie sprawę, że muszę stąd uciec: z tego gabinetu, miasta, Irlandii. Muszę pojechać tam, gdzie nikt mnie nie zna.

Kiedy dostałam czek z następną wypłatą, kupiłam bilet na lot Aer Lingus do Anglii. Całe przygotowania do

podróży polegały na wyrwaniu z „Ireland's Own” strony z ogłoszeniami, na której znajdował się adres taniego, bezpiecznego pensjonatu w centrum Londynu. W pracy powiedziałam, że jadę do krewnych na tydzień lub dwa, choć dobrze wiedziałam, że nie wrócę. Bez uprzedzenia porzucając zobowiązania w pracy i wobec współlokaterek, paliłam za sobą wszystkie mosty, zostawiałam na zawsze życie w Dublinie, które kochałam. Rodzicom powiedziałam, że Aer Lingus przenosi mnie do biura w Londynie i nie mam czasu ich odwiedzić, ale napiszę, kiedy się zdomowię. Słyszałam w głosie mamy troskę i ból i tylko nieznacznie pocieszała mnie myśl, że dla nich byłoby o wiele gorzej, gdyby znali prawdę.

Podróż autobusem do centrum Londynu trwała dłużej, niż się spodziewałam. Przez pół godziny wysilałam się, próbując odczytać nazwy ulic, później poprosiłam kierowcę, żeby dał mi znać, kiedy wjedziemy na Kensington High Street.

— Wsiadłaś do złego autobusu, jeśli się śpieszysz, kochana. Kensington jest na końcu linii, to jeszcze ze dwie godziny, bo ten autobus wszystko objeżdża i zatrzymuje się na każdym przystanku.

Przez resztę drogi przyglądałam się okolicy z górnego pokładu pękatego czerwonego autobusu. Byłam równocześnie zachwycona i przerażona tym wielkim chaosem budynków, szos, kościołów, synagog, sklepów i stacji. Czy tak różne aspekty życia mogą stanowić część tego samego miejsca? To było miasto, do którego przyjeżdżali Irlandczycy, żeby zarabiać pieniądze i wysyłać je do domu, kraina możliwości, gdzie ulice brukowane są złotem. To było także miasto, do którego przyjeżdżali ludzie mający kłopoty i pragnący się ukryć. Myślałam, że mnóstwo ludzi musi się tu ukrywać, skoro do centrum trzeba jechać

dwie godziny autobusem. Od czasu do czasu ekscytowały mnie widoki: Marmurowy Łuk, pałac Buckingham, Big Ben, gotycki Westminster, miejsca, o których słyszałam w radiu BBC, zabytki, które widziałam w brytyjskich filmach lub na pierwszej stronie angielskich gazet kupowanych przez ojca, i zapominałam, dlaczego tu jestem. Kiedy sobie przypominałam, podniecenie ustępowało przygnębieniu i czułam się strasznie samotna w tym obcym, przerażającym świecie. Wsiadłam z autobusu na Kensington High Street i jakiegoś mężczyznę zapytałam, jak dojść do Schroniska Świętej Bernadetty. Patrzył na mnie jak na wariatkę, dopóki nie pokazałam mu wycinka z gazety, gdzie podano pełny adres. Powiedział, że na moje szczęście może wskazać drogę, ale mam przed sobą co najmniej dwadzieścia minut pieszo. Kiedy nie zaproponował, że poniesie mi torbę, poczułam pierwsze ukłucie nostalgii.

Schronisko od tego w Dublinie różniło się tylko wyglądem: tam to był budynek w stylu króla Jerzego, tu wiktoriański z czerwonej cegły. Drzwi były otwarte, więc weszłam, postawiłam bagaż w holu i zbliżyłam się do małego biurka w kształcie półksiężyca. Siedząca przy nim zakonnica miała wielką obojętną twarz z cerą barwy i konsystencji ciasta. Spojrzałam jej prosto w oczy i rzeczowo oznajmiłam:

— Jestem w ciąży, siostrze.

Nie miało sensu się tłumaczyć, szkoda już się stała, teraz musiałam przejść przez to tak szybko i prosto, jak to możliwe. Obojętność zakonnicy w taki czy inny sposób potwierdzała to, co wcześniej myślałam: w Londynie roi się od niemoralnych irlandzkich dziewcząt, a Kościół jest przygotowany do radzenia sobie z nimi. Dostałam łóżko w pięcioosobowym pokoju oraz pięć funtów, które miały

mi wystarczyć do czasu, gdy znajdę pracę. Nie powiedziałam zakonnicy, że właśnie odebrałam wypłatę. Postanowiłam, że przyjmę wszelką pomoc i będę oszczędzała na okres, kiedy pieniądze naprawdę mi się przydadzą, co z pewnością niedługo nastąpi. Chociaż przerażało mnie, że korzystam z dobroczynności, niejaką pociechę sprawiała mi myśl, że przez kilka następnych miesięcy moje życie będzie uporządkowane. Nie oczekiwałam współczucia, ale ulżyło mi, że ktoś inny będzie mi mówił, co dalej robić. Byłam wdzięczna, że Kościół wziął na siebie odpowiedzialność za moje grzechy.

Przez następne dwa tygodnie pracowałam jako kelnerka w Lyon's Corner House w Marble Arch i nosiłam prostą obrączkę, żeby świat nie widział mnie taką, jaką jestem naprawdę. Wieczorami chowałam ją do kieszeni płaszcza, bo byłam świadkiem, jak wredna zakonnica nakrzyczała na inną dziewczynę z powodu obrączki. Zakonnica powiedziała, że my, dziewczęta, nie powinnyśmy ukrywać swojego wstydu, bycie publicznym pośmiewiskiem to część naszej pokuty.

Dziecko urodziło się miesiąc przed terminem, poród był pośpieszny i bolesny. Obudził mnie ból, zesłam więc na dół, żeby nie przeszkadzać innym dziewczynom. Tamtej nocy dyżur miała siostra Bernardyna, miła i dobra, najlepsza ze wszystkich zakonnicy, ale powiedziałam, że czuję się dobrze i sama pojedę do szpitala. Nie chciałam podczas mojej udreki mieć przy sobie dziewicy w habicie. Już i tak byłam dostatecznie upokorzona.

Trudny poród potraktowałam jako pokutę za seks. Krew, skurcze, rozłożone nogi, straszliwe upokorzenie. Zabrano ode mnie dziecko i włożono do inkubatora, a ja przez tych kilka godzin, zanim wzięłam je na ręce, czułam się pusta i wyczerpana. Kiedy po raz pierwszy przy-

niesiono mi synka, byłam jak nowo narodzona. Samo jego istnienie, oddychające, poruszające się, ciepłe ciało wydawało mi się czymś nadzwyczajnym. Nie był ani lalką, ani tragicznym wytworem, za jaki brałam go w czasie ciąży, ale maleńką, kompletną osobą. Nazwałam go Michaeliem i rozjaśnił całe moje wnętrze.

Kochałam mojego syneczka, tak jak każda kobieta kocha swoje pierworodne dziecko: z dumą, z podziwem. Przez trzy miesiące karmiłam go, zachwycalam się jego maleńkimi paluszkami. Zasypiałam i budziłam się z nim, był jak część mojego ciała; do mojej piersi przywierał mały ssący cud. Wysłano mnie do specjalnego ośrodka, żebym odzyskała siły i wykarmiła Michaela. Ponieważ urodził się przed czasem, ważne było, żeby przez pierwszy okres zajmowała się nim matka. Na oddziale matki i dziecka, na którym spędziłam trzy następne miesiące, panowała wielka przyjaźń. Porównywałyśmy butelki, piersi i brzuchy, gruchałyśmy nad dziećmi, wszystkie dość młode, żeby żyć z dnia na dzień. Nie koncentrowałyśmy się na przyszłości, nie myślałyśmy o chwili, gdy będziemy oddawać nasze dzieci obcym.

Od momentu gdy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, zdawałam sobie sprawę, że przyszłość mojego dziecka zostanie mi zabrana. Musiałam przyjąć całą karę. Zatrzymanie synka nie wchodziło w grę, nie mogła tego zrobić porządna dziewczyna, która rozumiała, że w interesie dziecka jest, by wychowała je dobra katolicka rodzina. Nie chciałam oddawać Michaela, ale nie miałam wyboru. Ta część mojej osoby, która potrafiła położyć na szali moje prawa do szczęścia przeciwko moralności, doszła do głosu, kiedy było za późno.

Tamtego dnia, gdy miałam oddać Michaela, pojechałam pociągiem do St. Albans. W torebce miałam przekaz

pocztowy na sześć szylingów dla rodziców zastępczych, u których będzie do czasu, zanim znajdą dla niego stały dom. Niosłam małą, robioną na drutach torbę z rzeczami Michaela. Cztery białe kurteczki, trzy pary spodni, pięć pieluszek, kombinezon, dwie pary rajstop, drewniana grzechotka, maleńki niebieski królik, smoczek i dwie butelki. Michael miał na sobie nowiutki strój: dwuczęściowe marynarskie ubranko z czapeczką i rękawiczkami, które kupiłam w British Home Stores. Ubranko było na niego za duże, ale za parę miesięcy będzie w sam raz. Owinęłam go w miękki wełniany kocyk, który dała mi jedna z opuszczających dom dziewczyn. Kiedy pociąg ze stukotem jechał przez przedmieścia, tuliłam synka i mgliście rozmyślałam, co będę robić i dokąd pójdę, kiedy go oddam. Mijaliśmy stacje o ładnych nazwach: Cricklewood, Hendon, Mili Hill — Londyn oferuje nieskończoną liczbę kryjówek, mówiłam sobie, że życie tutaj to przygoda czekająca na spełnienie. Ale aż do chwili gdy nas rozdzielono, nie wierzyłam, że naprawdę będę musiała oddać Michaela. To nie wydawało się realne, nawet możliwe. Sprawa wydawała mi się równie obca jak okropności ciąży w porównaniu z radosną rzeczywistością po narodzinach Michaela. Byłam jak dziecko, które bawi się na torach i do końca nie wierzy, że pociąg naprawdę je przejedzie. Ze stacji pojechałam taksówką do sierocińca, przedstawiłam się w biurze, podpisałam dokumenty potwierdzające zrzeczenie się praw do dziecka, powiedziałam, co jest w torbie, i podałam przekaz pocztowy, nie do końca zdając sobie z tego wszystkiego sprawę. Kiedy kobieta z uśmiechem wyciągnęła rękę, zrobiłam to, co zawsze robiłam, kiedy osoba pełniąca władzę prosiła mnie o coś: uległam.

Podając jej Michaela, uniosłam główkę syna do twarzy i po raz ostatni wciągnęłam jego słodki zapach. To

była miłość, wiedziałam, że prawdziwszej nigdy nie znajdę. Nie istniały żadne odcienie szarości, tylko jaśniejąca pewność, że to miłość, miłość bez ceny, bez warunków, bez wątpliwości. Ze łzami w oczach pocałowałam go na pożegnanie, potem odważnie odetchnęłam i umieściłam synka w objęciach pracownicy sierocińca. Przez chwilę trzymałam róg kocyka z myślą, że pragnę zatrzymać go na pamiątkę. Kiedy zaczął się wysuwać, pracownica spojrzała na mnie pytająco. Przeprosiłam i zatknęłam róg w zagięcie jej ręki. Nie dotknęłam Michaela po raz ostatni. Kochałam go tak bardzo, że byłam w stanie go oddać. Trafi do dobrej rodziny, która zapewni mu dobre życie. Nie mogłam go zatrzymać, bo nie miałam mu nic do zaoferowania poza miłością matki. Oddanie go było strasznie trudne, ale ubiegłe miesiące nauczyły mnie, że czasami życie wymaga od nas, byśmy robili trudne rzeczy.

Mając dwadzieścia lat, w żadnym razie nie mogłam wiedzieć, że to najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu musiałam zrobić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

John i ja w końcu jednak się pobraliśmy. Byliśmy ze sobą osiem lat. Rok po oddaniu Michaela John odszukał mnie w Londynie. Urządziłam sobie jaką taką egzystencję na londyńskim przedmieściu. Nad pubem w Hendon wynajmowałam pokój od właściciela i jego żony, pochodzili z Kiltimagh, miasteczka w Mayo, więc im ufałam, a oni wiedzieli, że jestem porządna. Codziennie rano jeździłam autobusem do Burnt Oak, gdzie pracowałam w sklepie z damską bielizną, wieczorami obsługiwałam w pubie, żeby zapłacić za utrzymanie, ale niedziele miałam wolne. Do miejscowego kościoła przychodzili głównie Anglicy; przekonałam się, że są nadęci i nieprzyjaźni, więc jeździłam do kościoła w Cricklewood, przy którym był irlandzki klub. Co miesiąc urządzali tańce, a ja pomagałam przy organizacji. Sprowadzałam zespoły z kraju, załatwiałam im przejazd i mieszkanie. Czasami przypomiinałam sobie swoją poprzednią elegancką pracę w Aer Lingus, jakże różną od obecnej, i zadawałam sobie pytanie, czy nie marnuję życia takim dryfowaniem. Ale nie lubiłam zbyt często myśleć o takich sprawach podczas tamtych trzech lat po urodzeniu Michaela. Przez większość czasu czu-

łam po prostu ulgę, że prowadzę anonimowe życie, że nikt nie wie, co mi się przydarzyło, ani jakie straszne rzeczy zrobiłam. Miałam dość pieniędzy, żeby kupować sobie ładne ubrania, i udało mi się też sporo zaoszczędzić. Planowałam, że kiedyś wrócę do domu, choć nie było pośpiechu. Na razie co tydzień rozmawiałam z mamą z telefonu w pubie. Rzadko pytała, kiedy wracam, w tamtych czasach każda irlandzka matka miała dziecko w Anglii albo Ameryce.

Kiedy się pojawił, pracowałam, bo był dzień świętego Patryka. Wczesnym popołudniem pub Króla Jerzego wypełniony był krótko ostrzyżonymi, źle ubranymi pijakami. Rozstąpili się przed Johnem, który w długim płaszczu sunął elegancko przez środek. Gęste ciemne włosy na skroniach miał przyprószone siwizną, jasne niebieskie oczy płonęły szklistym blaskiem. Był trzeźwy, ale odurzony namiętnością. Żołądek mi się ścisnął z podniecenia zmieszanego ze strachem, które wzięłam za miłość.

John powiedział, że szukał mnie po całej Europie. Serce codziennie pękało mu z żalu za mną, jego piękną Eileen; sypiał z kim popadło, ale zaraz uświadamiał sobie, że jednak ja jestem jego jedyną prawdziwą miłością. Bardzo mu przykro, że w taki sposób mnie zostawił, ale teraz jest tutaj, przyszedł, żeby wyrwać mnie z tego marnego życia wypełnionego harówką i zabrać z powrotem do swojego świata sztuki, namiętności i kultury.

W rzeczywistości John porzucił studia i trwonił prawie wszystkie pieniądze na prostytutki i narkotyki, więc rodzice się go wyrzekli. W Dublinie zadłużył się u wszystkich i uciekł do Londynu. Przyjechał przed dwoma tygodniami, zatrzymał się w małym hotelu w centrum, ale nie miał ani grosza, żeby zapłacić rachunek. Przypomniał sobie, że ktoś mu mówił, że teraz tu mieszkam, i zadzwonił

do moich rodziców w Irlandii. Zdumiało go, że ci prości ludzie na prowincji mają telefon. Uznał, że to przeznaczenie, co pomogło mu wysnuć fantazję, dzięki której utwierdził się w przekonaniu, że wciąż mnie kocha.

Zapłaciłam jego rachunek hotelowy, państwo O'Grady pozwolili mi spać na kanapie w barze, bo przyrzekłam, że będzie pomagał. Mary O'Grady od początku go nie lubiła; zauważyła, że po ich pójściu spać John częstuje się drinkami i nie ma nawet tyle przyzwoitości, żeby umyć po sobie szklanekę. Wzięła mnie na bok i powiedziała, że nie wyrzuciła Johna tylko dlatego, że jestem porządną dziewczyną i nie chciałaby zobaczyć mnie na ulicy. Byłam zakłopotana, ale w duchu doszłam do przekonania, że inni ludzie nie zawsze widzą Johna w takim świetle jak ja.

Po miesiącu los uśmiechnął się do nas, bo John dostał niewielką zaliczkę z wydawnictwa za swoją pierwszą książkę. Wzięłam te pieniądze, dołożyłam własne i mogliśmy wpłacić depozyt na mały dom w Burnt Oak, blisko sklepu, w którym pracowałam. Ponieważ niedaleko była stacja metra, nie musiałam rezygnować z pubu, z którego wracałam taksówką. John siedział w domu, przed południem pisał, popołudnia spędzał w pubie i najczęściej był wstawiony, kiedy przychodziłam z pracy. To mnie nie martwiło. John był błyskotliwym pisarzem, a błyskotliwi irlandzcy pisarze piją.

To ja uparłam się przy ślubie. John nie chciał, ale tupnęłam nogą i powiedziałam, że nie mogę dłużej żyć w grzechu. Nie ustępowałam, a ponieważ nie uważał ślubu za rzecz ważną, zgodził się, pod warunkiem że uroczystość będzie skromna. Kupiłam kostium i zadzwoniłam do rodziców. Byli rozczarowani, że biorę ślub w Londynie, i przekonani, że jestem w ciąży. Ceremonia odbyła się w kaplicy małego kościoła w Camden Town, bo tamtejszy

ksiądz specjalizował się w ślubach par różnych wyznań. Na świadków poprosiłam państwa O'Grady. Poza nimi jedynymi gośćmi byli moi rodzice i przez cały czas mieli nastrój tak przygaszony jak beżowe plamki na moim zielonym kostiumie. Po raz pierwszy wyjechali poza granice Irlandii i sprawiali wrażenie, że czują się niezręcznie i źle, jakby się bali, że nie pozwolą im wrócić do domu. John włożył garnitur i zaprosił nas do włoskiej restauracji. Z szacunku dla mojej abstynenckiej rodziny tego dnia nie pił. Jaśniałam z dumy, kończąc trzeci kieliszek czerwonego wina i obserwując swojego świeżo poślubionego wyrafinowanego męża, który wytwornie składał zamówienie po włosku i pilnował, żeby moim rodzicom podano proste danie złożone z mięsa i ziemniaków, bo powiedzieli, że nie rozumieją obco brzmiących nazw potraw. Po raz pierwszy w życiu czułam, że postępuję dobrze. Wyrzuty sumienia z powodu seksu, upokorzenie związane z ciążą, karząca brutalność porodu — wszystko to zostawiłam za sobą. Teraz byłam mężatką, pobłogosławioną sakramentem, bezpieczną, z wytyczoną jasno przyszłością.

W nocy kochaliśmy się i potem nie mogłam zasnąć. Wpatrywałam się w gołe ramiona męża i myślałam o Mi-chaelu. Tłumione emocje wróciły, gromadząc się w żołądku, wyrzuty sumienia i strach zagłuszyły wszystko i poczułam wewnętrzną pustkę. Wiedziałam, że będę musiała powiedzieć Johnowi, nie mogłam sama nosić tego brzemienia. Był człowiekiem wykształconym i inteligentnym, beatnikiem z otwartym umysłem, nie osądzał ludzi, zrozumie. Obudził się kilka sekund po tym, jak zdecydowałam, że mu powiem. Pocałował mnie delikatnie i nazwał panią Blake, potem włożył szlafrok i poszedł do kuchni, pytając, czy też czegoś chcę. Moment wydawał się idealny, więc kiedy wrócił, natychmiast zaczęłam mówić:

— Kiedy wyjechałeś do Paryża, John, bytam w ciąży. — Głos mi się załamał, gdy zobaczyłam, jak twarz mu ciemnieje, ale ciągnęłam: — To był chłopiec.

John stał jak sparaliżowany, nie musiał dłużej mnie słuchać, widziałam wyraźnie, że od razu odgadł, co się stało: oddałam dziecko do adopcji, dziecko z jego krwi i kości. Syna, na pewno obdarzonego jego inteligencją, dziedziczącego zalety jego rodziny. Synów ludzi takich jak on nie oddaje się do adopcji; pojęłam to teraz, ale było za późno.

Kiedy uderzył mnie pierwszy raz, zaczął krzyczeć, a jego słowa bolały bardziej niż ciosy. Siniaki zawsze znikają, ale nienawiść zawarta w jego słowach nigdy naprawdę mnie nie opuściła. Powiedział, że jestem wiedźmą, szmatą, która ukradła mu syna, że podstępem zmusiłam go do małżeństwa, żeby go karać.

John mnie bił, uderzenia spadały jak grad, a ja czułam jego pragnienie, żeby wiedźma odeszła i wszystko było jak przedtem. Podniósł mnie za kołnierz cienkiej koszuli, ale ciężar mojego bezwładnego ciała sprawił, że materiał się rozdarł i upadłam, uderzając głową o krawędź łóżka. Na sekundę spanikował, myślał, że nie żyję, ale poruszyłam się i zakryłam twarz dłonią. Podniósł rękę, żeby znowu mnie uderzyć, zmienił jednak zdanie. Prawdopodobnie przypomniał sobie, że jest trzeźwy, a łatwiej mu będzie spojrzeć mi w oczy, jeśli teraz wyjdzie i się upije.

Wstałam niedługo po jego wyjściu, umyłam się i wróciłam do łóżka. Szok i wstyd sprawiły, że nie mogłam płakać.

John przyszedł dopiero rano i był bardzo skruszony. Wydawał się wstrząśnięty moimi siniakami; delikatnie dotknął przeciętej wargi, jakby pod jego dotykiem mo-

gła uleczyć się z taką samą łatwością, z jaką wieczorem pękła. Krzywiąc się, spojrzałam w jego przerażone oczy i zobaczyłam głęboki smutek, wstyd i strach.

— Masz nade mną straszliwą władzę, Eileen, skoro przez ciebie tak się zachowałem.

Pomyślałam wtedy, że czymże jest miłość, jak nie odwołaniem do głębokich emocji, a mój mąż to człowiek namiętny i emocjonalny. Dawał mi do zrozumienia, że moja katolicka czarna magia potrafi inteligentnego, wykształconego człowieka zmienić w dzikusa.

Wraz z mijającymi miesiącami i latami nauczyłam się unikać bicia, nie robiąc ani nie mówiąc określonych rzeczy, co samo w sobie stanowiło dla mnie dowód na to, że wina leży po mojej stronie. Skoro mogę uniknąć bicia, to z pewnością zasługuję na razy, jeśli postępuję źle. Nigdy więcej nie mówiłam o Michaelu i dość szybko John także przestał o nim wspominać. Pogrzebał w sobie ból albo przestało go to obchodzić. Mimo to czułam wyrzuty sumienia. Oddałam jego syna. Wierzyłam także, że John bardzo mnie kocha, więc kiedy go rozczarowuję, musi mnie karać. John nie należał do mężczyzn bijących żony. Był inteligentny, zaczynał się cieszyć sławą utalentowanego pisarza. Chociaż jego książki nie dawały nam wielu pieniędzy, miały dobre recenzje i ważni ludzie zaczęli w niego wierzyć. W domu bywał nieprzyjemny, w miejscach publicznych był zawsze przyjazny, liberalny i uprzejmy. Nikt by nie uwierzył, że siniaki, które jak twierdziłam, nabiłam sobie przy upadku, zrobił mi mąż, rozbijając moją twarz o kuchenny kredens. Sama ledwo potrafiłam w to uwierzyć. Za każdym razem gdy do tego dochodziło, przeżywałam szok i całe zdarzenie wydawało mi się nierealne. Bicie nie odbywało się z żadną regularnością, nie zdarzało się na tyle często, żebym zdążyła

się do takiej sytuacji przyzwyczaić, i stąd wiedziałam, że sama muszę je prowokować. W naturze mojego męża nie leżało maltretowanie kobiet. Wystarczyło tylko na niego spojrzeć, by to wiedzieć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

„Nie trzeba niczego się bać poza samym strachem". Zawsze lubiłam to wyrażenie. Należało do tych wygłaszanych mimochodem mądrości, które mimo wszystko były prawdziwe. Podczas terapii nauczyłam się sporo o przyjmowaniu całego wachlarza ludzkich emocji: zawiści, gniewu, radości, podniecenia, pożądania, urazy. Wszystkie one miały swoje miejsce. Z tego co czytałam i co mi mówiono, strach to najważniejsza ludzka emocja, większość pozostałych odczuć z nim się łączy. Jako siła napędowa powodująca powstanie czegoś pozytywnego, jako paliwo do postawy negatywnej albo pretekst do pozostania w miejscu, strach czai się na niemal każdym poziomie rozwoju emocjonalnego. Rozpoznaj swój związek ze strachem i zapanuj nad nim, a twoje życie mniej lub bardziej będzie uporządkowane. Wiedziałam o tym. Rzecz jednak w tym, i to był prawdziwy problem, że nigdy w gruncie rzeczy nie próbowałam się bać. Uważałam, że to mało pociągające uczucie. Chociaż usiłowałam tego nie robić, łapałam się na tym, że dokonuję rozróżnień pomiędzy strachem uzasadnionym a fałszywym, pomiędzy prawdziwą arachnofobią a głupiutkimi piszczącymi dziewczynami, które tak bardzo „boją się pająka", że

przystojny strażak musi przyjść i wyjąć go z wanny. Dla mnie ten rodzaj afektowanej kobiecej słabości był histeryczny i irytujący. Generalnie rzecz biorąc, zawsze bardziej się bałam, że wyjdę na kobietkę, która chce zwrócić na siebie uwagę, niż możliwości, że tłumiąc gniew, zmienię się w sztywną i opanowaną bryłę lodu. W rezultacie choć nikt nie nazwałby mnie chłodną i nieczułą, zawsze miałam skłonność do stoicyzmu. Jako dorosła kobieta zasadę: „Odczuwaj strach, ale i tak to zrób” skróciłam do prostego: „I tak to zrób”, przy czym element strachu mniej lub bardziej został odrzucony. To był problem, ale szczerze mówiąc, taki problem, bez którego dobrze mi się żyło.

Do dnia, gdy moja matka śmiertelnie zachorowała na raka.

Wiedziałam, że dzieje się coś bardzo poważnego i przerażającego, bałam się, że mama umrze, ale po prostu nie byłam w stanie pozwolić sobie, by w pełni to odczuć.

Postanowiłam, że nie powiem mamie o Jacku. Kiedy wróciłam z warsztatów jogi, nie marnowałam czasu na tłumienie strachu i zajęcie się praktycznym, optymistycznym rozwiązaniem nowej sytuacji, przed którą stanęłam. Poszłam prosto do gabinetu, włączyłam komputer i w Google'a wpisałam: „Nowotwór jajników”.

Przez komputer wkraczałam w równoległy wszechświat, który wywoływał we mnie poczucie dysocjacji. Kiedy patrzyłam na zdania na monitorze, wiedziałam, że istnieją, ale tylko jako słowa i obrazy na plastikowym płótnie. W tym sensie nic nie wydawało się realne. Uwielbiałam Internet. To było uzależnienie do przyjęcia dla takiej skrupulatnej pedantki jak ja. Internet umożliwiał mi ucieczkę, a równocześnie dawał wymówkę, że przecież

szukam informacji; to przypominało poetów z lat sześćdziesiątych, którzy poszerzali swoją percepcję halucynogenami, ale bez szaleństwa i kaftana bezpieczeństwa.

Trzy godziny później wstałam, żeby pójść do toalety, i zorientowałam się, że nawet nie zdjęłam płaszcza. W tym czasie wydrukowałam ponad sto stron z pozytywnymi opowieściami pacjentek i opisami terapii różnych rodzajów raka. Nakręciłam się. Śmiertelnie głodna wsiadłam w samochód, pojechałam do całodobowego McDonalda, kupiłam wielką torbę jedzenia i szybko wróciłam do domu. Zaparzyłam sobie dzbanek kawy i usiadłam, żeby spędzić noc przed komputerem. Czułam się jak jeden z tych filmowych początkujących prawników, którzy przez całą noc zbierają materiały do „wielkiej sprawy”. To była największa sprawa, do jakiej w życiu się przygotowywałam, ale czułam, że potrafię to zrobić. Im więcej informacji gromadziłam, tym silniej czułam, że panuję nad sytuacją. Każda nowa strona była jak kolejna cegła brukująca moją żółtą ceglana drogę — słoneczna bryłka nadziei. Istniało wyjście, a ja miałam zamiar je znaleźć. Nie ma potrzeby, żeby mama umierała, tylko muszę zachować pozytywne nastawienie. Razem to rozwiążemy. Inteligentni, zdecydowani ludzie zawsze na końcu wygrywają. Umysł i duch mogą uleczyć ciało z każdej choroby. To była chwila jak z hollywoodzkiego filmu. Jeśli będę pracowała ciężko i pragnęła dostatecznie mocno, historia zakończy się szczęśliwie.

Nie spałam całą noc. Szukałam, drukowałam, wykreślałam opowieści szaleńców, fanatyków i znachorów, wybierając te, które inspirowały i podawały realne, dostępne rozwiązania. Ze wszystkich zakończonych pomyślnie historii płynęło przesłanie, że koniecznie trzeba przejąć kontrolę nad procesem leczenia. Operacja mamy miała

zostać przeprowadzona w przyszłym tygodniu, czekałyśmy na telefon. Kiedy ją otworzą, chirurg będzie mógł szczegółowo omówić możliwe terapie.

Do piątej rano zebrałam materiały, które moim zdaniem wytyczały przekonujący plan wyzdrowienia mamy. Podzieliłam je na cztery sekcje: świadectwa, czyli historie kobiet, które wyleczyły się z raka, aspekty mentalne i duchowe, czyli warsztaty myślenia pozytywnego i afirmacji, aspekty fizyczne, czyli dieta i alternatywne metody leczenia, aspekty medyczne, czyli terapie nowotworowe. Włożyłam wydruki do pięknej złotej teczki, którą wiele lat temu kupiłam we Florencji i chowałam na wyjątkowy projekt. Spałam na sofie, do piersi tuląc cudowną teczkę z rozwiązaniem. Obudziłam się po pięciu godzinach. Byłam oszołomiona, ale wiedziałam, że nie ma sensu kłaść się do łóżka, bo i tak nie zasnę, dopóki tego nie załatwię.

Eileen także niedawno wstała. Włosy miała wyszczotkowane i usta pociągnięte szminką, ale wciąż ubrana była w szlafrok, ten „porządny”. Gotowała jajka. Kiedy do niej podeszłam i pocałowałam na powitanie, poczułam lekki zapach alkoholu. Z jakiegoś powodu zrobiło mi się smutno. Eileen nie wyglądała na chorą, ale na zdrową i normalną, jak szczęśliwe wyleczone kobiety o świeżych twarzach, które widziałam w sieci.

— Mamo, chodź tu i usiądź. W nocy pogrzebałam w Internecie i znalazłam mnóstwo informacji o raku jajników. I wiesz co? Niektóre są naprawdę pozytywne. Chcę, żebyśmy razem nad tym popracowały, mamo. Zostaw śniadanie, siadaj tu i popatrz na to...

Rozłożyłam teczkę na stole i zaczęłam wyciągać z niej kartki. Cichy głosik w mojej głowie mówił mi, że zachowuję się jak wariatka. Od dwóch dni właściwie nie spałam, przez ten czas przejechałam tam i z powrotem przez cały

kraj, zatrzymując się tylko po to, żeby wysmarować makrelą samochód byiego męża. W czasie, w którym powinnam odzyskiwać siły po własnych trudnych przejściach, połknęłam górę słodkich stymulantów i urządziłam sobie maraton internetowy. Głos rozsądku miał całkowitą rację, ale był dość słaby.

— Posłuchaj, mamó, ta kobieta miała trzecie stadium raka w 1996 roku i całkowicie odzyskała zdrowie. A ta miała raka siedem lat temu i właśnie wróciła z wyprawy na Everest!

Ogarnięta entuzjazmem wyczuwałam jednak, że Eileen kręci się niespokojnie. To nie było zaciekawione „co ty robisz”, ale raczej „kiedy stąd wyjdiesz”.

— Mamó, wiem, że to dla ciebie trudne, ale...

— Nie, nie, słoneczko. To wszystko jest bardzo interesujące, naprawdę, ale... to nie jest odpowiednia pora.

Widziałam, że ta sytuacja jest dla niej trudna. Wstałam i wzięłam ją za rękę. Odwróciła ode mnie wzrok, poruszona i zdenerwowana.

— Mamó, nie ma czego się bać. Przejdziemy przez to. Tylko popatrz na te materiały albo nie, zrobimy inaczej. Zostawię ci je, a ty...

— Witam.

Do kuchni wszedł mężczyzna. O mało nie wyskoczyłam ze skóry.

— Przepraszam, powinienem był zapukać — powiedział, po czym położył na stole zapasowy klucz mamy i papierową torbę z piekarni.

Był w średnim wieku, na oko tuż po pięćdziesiątce, miał brodę i dość miły wygląd. Z tego, jak Eileen kręciła się za jego plecami, odgadłam, że jego miała na myśli, kiedy mówiła, że to „nie jest odpowiednia pora”.

Poczułam przerażenie, ale tylko przelotne. Przede wszystkim byłam wkurzona. Nigdy nie należałam do kobiet pruderyjnych. W czasach mojej młodości mama miała kilku chłopaków, niektórych lubiłam, za innymi nie przepadałam. Wszyscy byli dość typowymi facetami z przedmieścia, starszymi od niej, których poznawała w kościele lub na imprezach społeczności irlandzkiej. Nie miałam pojęcia, gdzie poderwała tego, bo był sporo od niej młodszy i wyglądał, jakby z niejednego pieca chleb jadł. Zapach alkoholu, szminka, „porządny” szlafrok — nie ulegało wątpliwości, że on za to wszystko jest odpowiedzialny. Ja wciąż miałam być na warsztatach jogi, więc uznała, że bezpiecznie może zaproponować mu zostanie na noc. Uch. Nie marnował czasu i od razu zaczął zachowywać się jak w domu.

— Hej, ktoś był zajęty — powiedział, podnosząc jeden z moich wydruków. Zaczął czytać. — To naprawdę jest świetne.

Mogłam tylko powstrzymać się od skoczenia na drugi koniec pokoju i przyłożenia mu w głowę. Co za tupet! Co za arogancja! Przecież to obcy!

— Proszę odłożyć te papiery.

— Mam na imię Brian. W dodatku spryciula.

— Brian, proszę odłożyć te papiery. Są prywatne. Nie należą do ciebie.

— To tylko wydruki z Internetu, Grace.

Grace? Wie, jak mam na imię? Jezu Chryste. „Nie należą do ciebie”. Skąd się wziął ten nadęty głos nauczycielki? Wszystko było nie tak. W kuchni mojej mamy tylko krok dzielił mnie od kłótni z mężczyzną, którego nie znałam.

— W porządku, Grace — rzekła mama, a potem wyjaśniła: — Żona Briana umarła na raka pięć lat temu.

Och, cudownie. To wszystko tłumaczy. Jego żona umarła na raka. Więc oczywiście Brian bez oporów idzie do łóżka z moją matką i grzebie w naszych prywatnych sprawach. Jeśli twoja żona umarła, to więcej nie muszę wiedzieć. Nie krępuj się, czuj się jak u siebie w domu. Proszę bardzo, panie Niewychowany Wdowcu.

— Tak mi przykro — powiedziałam. Odłożył papiery i odparł:

— Dziękuję.

Nie było mi przykro, ale jego „dziękuję” zabrzmiało szczerze. Poczulałam wyrzuty sumienia, które z kolei sprawiły, że się zirytowałam, bo pomyślałam: „Przecież nie istnieje absolutnie żaden powód, dla którego mam się czuć winna, a szczerze mówiąc, dość mam własnych problemów, żeby współczuć innym życia, śmierci żony czy czegoś jeszcze”. Pośpiesznie zebrałam rezultaty całonocnej pracy w byle jaki stos i wepchnęłam do złotej teczki.

— Miło było cię poznać, Brian...

Zanim którekolwiek z nich zdążyło zaprotestować, wybiegłam za drzwi.

Oddalając się od domu matki, usiłowałam trwać przy swoim oburzeniu. Mama i ten Brian powinni wystarczyć, by gniew, wściekłość czy choćby ciekawość zajęła moje myśli. Ale nie wystarczeli.

„...umarła na raka...”

Te trzy słowa wkradły się do mojej głowy, na krótko utknęły w gardle, a potem zaczęły rozdzierać mi serce jak brzydkie, destrukcyjne gremliny.

Zaparkowałam przed sklepem na rogu i rozplakałam się. Tym razem jednak nie poczułam ulgi, jaką przynosi solidny płacz. Był tylko mocny, przerażający ucisk — jakby skamieniałe zwierzątko zagnieździło się w moim brzuchu. To strach w końcu podstępem mnie dopadł.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Cztery lata po naszym ślubie urodziła się Grace i bicie ustało. Odnalazłam stabilizację i spokój w codziennej rutynie. Z małym dzieckiem praca w sklepie i pubie dłużej nie wchodziła w grę, więc najmowałam się do sprzątania w miejscach, gdzie mogłam zabierać Grace. Gospodyni naszego proboszcza traktowała mnie bardzo dobrze i zatrudniała do dodatkowego gotowania i pieczenia. Plebania była kilka domów dalej i po paru tygodniach Bridie i ja zaprzyjaźniłyśmy się. Bridie była w średnim wieku, a ponieważ nie miała własnych dzieci, oszalała na punkcie Grace i często zabierała ją na noc, a ja w te wieczory pracowałam w pubie O'Gradych. Taka byłam zajęta wiązaniem końca z końcem, że nie miałam czasu na zastanawianie się nad problemami w moim małżeństwie. Uznanie krytyków dla pisarstwa Johna nie przekształciło się w pieniądze, więc nadal musiałam wszystkich nas utrzymywać. Każdą chwilę, kiedy nie pracowałam, spędzałam z Grace; przebywanie z moją piękną, idealną córką dawało mi wiele szczęścia. Spoglądałam na jej paluszki, łuk pulchnych usteczek ułożonych do ssania i czułam bolesną tęsknotę za Michaeliem, zaraz jednak odpychałam myśl o nim i przypominałam sobie, jakie mam szczęście, że Bóg dał mi drugą szansę.

Martwiło mnie, że John tak mało zaangażował się w ojcostwo. Hałaśliwe niemowlę kolidowało z jego pracą i kiedy początkowe zadurzenie minęło, zaczął coraz więcej czasu spędzać poza domem. Mówił, że potrzebuje wsparcia i pociechy od takich jak on kreatywnych artystów: intelektualistów, wydawców, piosenkarzy, ludzi rozumiejących wymogi jego pracy w sposób dla mnie niedostępny. Jego agent, którego nigdy nie spotkałam, dał mu pokój w swoim biurze przy przecznicy Carnaby Street. Metrem to nie było aż tak daleko, choć jestem pewna, że w gruncie rzeczy miliony kilometrów dzieliły tamto miejsce od irlandzkiego domu ze mną i Grace na przedmieściu. Znalazłam sposób, żeby zachęcać Johna do wyjazdów, a równocześnie wprost nie odrzucać. Nie pytałam go o „drugie życie” ani jak spędza dni i noce poza domem, on też niewiele mi mówił. Nie byłam naiwna i przypuszczałam, że mój mąż bierze narkotyki i spotyka się z innymi kobietami, ale moje katolickie zasady moralne przystosowały się do okoliczności. Dopóki córka i ja byłyśmy bezpieczne i mogłyśmy spokojnie zajmować się codziennymi sprawami, byłam zadowolona. Kiedy John wracał do domu, wydawał się wdzięczny za wygodę i stabilizację, którą mu zapewniałyśmy. Nic od niego nie żądałam i cieszyłam się, że przez większość czasu zostawia mnie samą. Sprzątanie domu, pranie i prasowanie jego koszul, opieka nad jego dzieckiem i gotowanie przestały być harówką, kiedy udało nam się zachowywać wobec siebie przyzwoicie. Nie pragnęłam namiętności czy intymności w małżeństwie z Johnem, zależało mi tylko na spokoju.

Odkryłam, że życie stało się prostsze, odkąd John przestał widzieć we mnie seksowną, atrakcyjną kobietę; teraz byłam lojalną irlandzką mamuszką: zapewniałam schronienie, czyste ubrania i domowe jedzenie, gdy wra-

cał brudny i głodny po kilku dniach hulank na mieście. Zdawałam sobie sprawę, że bez względu na seksualne wyczyny i inne występki czuł, że jest lepszym człowiekiem, mając mnie w swoim życiu. Moja obecność — to, że ma żonę — przydawała mu godności, dzięki której mógł wierzyć, że jest porządniejszym, przyzwoitszym człowiekiem niż w rzeczywistości.

Wszystko to uległo zmianie, kiedy pewnego wieczoru wrócił do domu i oznajmił, że jest zakochany.

Aktorka Persephone albo „Percy” Jones była cudowną córką angielskiego arystokraty. Zakochali się w sobie z wzajemnością. Jedyne problem polegał na tym, że Percy chciała wyjść za mąż, a John wiedział, że nigdy nie dam mu rozwodu. Nie dlatego, że go kocham, ale z powodu mojej religii.

John przyniósł mi butelkę czerwonego wina i kwiaty, a wcześniej zadzwonił, żeby się upewnić, że nie pracuję. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Grace była z Bridie na plebanii, więc mieliśmy dom dla siebie. Kiedy przekroczył próg, widziałam, że coś się zmieniło. Był trzeźwy i emanował poczuciem celowości, wręcz dojrzałością, której wcześniej u niego nie widziałam. Dał mi kwiaty, pocałował i powiedział, że chce ze mną coś omówić. Ostatnimi czasy pewne niezwykle wydarzenie spowodowało, że obudziła się w nim większa wrażliwość. Stało się coś cudownego, co sprawiło, że zaczął postrzegać świat w innym świetle, i ma nadzieję, że będę go wspierać na tej nowej drodze. Dla mnie brzmiało to tak, jakby odnalazł Boga, i ogarnęła mnie nadzieja. Jakby jakieś wspaniałe duchowe przeżycie miało skłonić go do przeprosin za to, że był złym mężem i obojętnym ojcem.

A potem wszystko zaczęło się rozpadać. John mówił, że uczucie do Percy wymknęło mu się spod kontroli,

i próbował mi je opisać. To było prawdziwe spotkanie umysłów, była też chemia, iskrzenie. Percy to kobieta, która pociąga go intelektualnie i seksualnie. Powiedział, że jest piękna i wysoka, ale chyba pojął, że mnie uraził, więc zaczął się jąkać. Zakłopotany zamknął oczy i rzucił, że tak jak on Percy pochodzi z bardzo bogatej rodziny, potem znowu się pogubił, wreszcie oznajmił, że to wszystko jest bez znaczenia, musi się skupić i powiedzieć, co czuje.

— Kocham ją, a człowiek nie wybiera tych, których kocha. To po prostu się dzieje. Prawdziwa miłość jest jak przymus, jak choroba. Nie mogłem nic na to poradzić. A kiedy się zakochasz, musisz się ożenić. Kocham Percy i muszę się z nią ożenić. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Byłam tak zaskoczona, że nic nie odpowiedziałam. Moje milczenie wziął za zachętę do dalszego ciągu, więc pewniejszym tonem wyjaśnił, że szanował moją religię, dlatego zgodził się, kiedy nalegałam na małżeństwo, choć nie był na to gotowy. Teraz ja powinnam uszanować jego przekonania i dać mu rozwód, żeby mógł poślubić jedyną prawdziwą miłość swojego życia. Rozumie, że ta rozmowa jest dla mnie bolesna, ale miłość także potrafi być okrutna.

Kiedy skończył, na jego twarzy odmalowała się ulga, jakby przebiegł trasę wyścigu i teraz pozostało mu tylko odebrać medal.

Powiedziałam więc, co ja czuję.

— Możesz ode mnie odejść, jeśli chcesz, ale rozwodu ci nie dam.

Wstałam i podeszłam do zlewu.

Gniew musiał przeszyć go jak prąd i pchnąć przez pokój. John złapał mnie za włosy i ściągnął moją głowę do zlewu. Przelotnie oboje dojrzeliliśmy odbicie jego twarzy

w lusterku stojącym na parapecie: skrzywionej, wścieklej, zupełnie innej niż twarz czarującego pisarza, za którego się miał. Widziałam, że Johna własna reakcja jeszcze bardziej rozgniewała. Podobnie jak to, że wciąż potrafiłam tak na niego działać, wywoływać równie namiętne, choć negatywne uczucia, mimo że należał do innej. Wciąż miałam władzę zdolną przekształcić miłość w nienawiść. Bo dla niego nasz związek zawsze dotyczył wyłącznie władzy.

Nie spodziewałam się ataku, w przeciwnym razie nie powiedziałabym tego, co powiedziałam, rozegrałabym to lepiej. Zranił mnie i rozgniewał swoją deklaracją, więc niemądrze pozwoliłam sobie na luksus reakcji. Pomimo szoku pojęłam, że John zachowywał się spokojnie od narodzin Grace nie dlatego, że się zmienił, ustatkował czy został ojcem, ale dlatego, że myślami przebywał gdzie indziej. Czułam siłę jego dłoni, gdy raz po raz walił moją głowę w zimny metal suszarki. Szarpnęłam się na bok i garść wyrwanych włosów została mu w dłoni. Rzucił mną na podłogę, a kiedy uderzyłam w nią ramieniem, ogarnęło mnie znajome poczucie klęski. Za każdym razem kiedy mnie bił, zwijałam się jak najmocniej w kłębek, żeby zmniejszyć siłę ciosów, zaciskałam w pięści swój strach i upokorzenie, żeby prawda o tym, co się ze mną dzieje, nigdy naprawdę do mnie nie dotarła. Jutro będę wyglądała, jakbym się pośliznęła i uderzyła głową w ostry kant stołu; tak powiem wszystkim, którzy zapytają.

Ale potem stało się coś, co wszystko zmieniło. Zobaczyłam, że John unosi nogę, żeby kopnąć mnie w brzuch, i w tej samej chwili usłyszałam stukanie klapki na listy i głos Grace, która jak zwykle wołała:

— Mamusiu, mamusiu!

Grace i Bridie wróciły. Wiedziałam, że nie mogę się poddać, nie mogę pozwolić, żeby moja córka zobaczyła

mnie w takiej sytuacji. Wyciągnęłam ręce, złapałam męża za kostkę i z całej siły ku sobie szarpnęłam. John padł na plecy, z głośnym trzaskiem uderzył głową w podłogę. Z wysiłkiem stanęłam na nogi i kiedy doszłam do drzwi, zdołałam się już jakoś pozbierać. Powiedziałam Grace, żeby pobiegła prosto na górę, bo tatuś miał w kuchni wypadek.

Bridie momentalnie zorientowała się w sytuacji, choć nic jej nie powiedziałam, za to mimowolnie odsunęłam włosy z twarzy, nie zdając sobie sprawy, że na czole mam ranę. Bridie wezwała karetkę. Obie wyraziłyśmy wielką ulgę, kiedy John odzyskał przytomność w chwili przyjazdu karetki, choć szczerze mówiąc, przede wszystkim ulżyło nam, że nie oprzytomniał wcześniej. Sanitariusz uważał, że John przypuszczalnie złamał żebro, ma wstrząs mózgu i niemal na pewno jest w poważnym szoku, więc zabrali go do szpitala na dokładne badania. Zgodziłam się z tą diagnozą. John istotnie był w szoku. Nigdy wcześniej nie wyrządziłam mu fizycznej krzywdy. Kiedy ładowali go do karetki, wpatrywał się we mnie pustym, niedowierzającym spojrzeniem. Wiedziałam jednak, że taki stan nie potrwa długo i John wróci.

Bridie nalegała, żebyśmy przenocowały na plebanii. Ksiądz Frank Price, który dość niedawno przyszedł do parafii, był młody (jak na proboszcza, bo nie miał więcej niż czterdzieści lat) i odznaczał się głębokim poczuciem sprawiedliwości społecznej. Złożył podanie o wyjazd na misję do Afryki, ale zamiast tego dostał awans na proboszcza i przysłano go z rodzinnej Szkocji na to ciche londyńskie przedmieście, gdzie w domu z czterema sypialniami po matczynemu rozpieszczała go irlandzka gospodyni. Bridie wiedziała, że ksiądz Price na pierwszy rzut oka zorientuje się w sytuacji, i tak było. Nie pomyliła

się też, sądząc, że jego misjonarski zapal nie pozwoli mu przyglądać się tej sytuacji z boku.

Powiedziałam mu wszystko, ale tylko dlatego, że mnie pytał, a ja nie mogłabym okłamać księdza. Frank zabronił mi wracać do domu i posłał Bridie po rzeczy dla mnie i Grace. Oznajmił, że zostanę u nich, dopóki sprawa się nie wyjaśni; nie miałam innego wyjścia, musiałam go posłuchać.

Kiedy dwa dni później John wyszedł ze szpitala, obandażowany, posiniaczony i gotowy do awantury, w swojej kuchni zastał wysokiego i niepokojąco męskiego księdza w sutannie. Na początku bardziej go to rozbawiło, niż zdenerwowało, ale niecałą godzinę później nie miał już żadnych złudzeń, co będzie, jeśli tu wróci. Ksiądz Price powiedział, że złoży prośbę o unieważnienie małżeństwa i dopilnuje, żeby proces przebiegł szybko, chociaż takie sprawy mogą się ciągnąć latami. To była propozycja nie do odrzucenia, złożona pod jedynym warunkiem, że tego dnia John opuści dom i przysięgnie nigdy tu nie wracać. Ksiądz głową wskazał walizkę, którą pozwolił sobie dla niego spakować. Dodał, że ponieważ dorastał w slumsach Glasgow, z przyjemnością słucze Johna, jeśli kiedykolwiek go tu zobaczy; zapewnił, że po takim laniu John będzie marzył o dniu, kiedy jego potulna żona pchnęła go na podłogę i złamała mu dwa żebra.

Tamtego dnia wieczorem wróciłyśmy z Grace do domu, chociaż Frank uparł się, żeby przez pierwszy tydzień Bridie z nami mieszkała.

Dwa miesiące później Bridie musiała wrócić do Irlandii, żeby opiekować się chorą matką, a mnie zaproponowano pracę gospodyni księdza Price'a.

Następną wiadomość o Johnie miałam pięć lat później; ktoś przysłał mi wycinek z „The Irish Times” z in-

formacją, że pisarz John Blake i jego konkubina, aktorka Persephone Jones, zginęli w wypadku samochodowym w Saint-Tropez. Sekcja zwłok wykazała, że oboje byli na haju.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie mogłam marzyć o lepszej pracy niż posada gospodyni u księdza Price'a. Z domu na plebanie szłam pięć minut spacerkiem, a ksiądz był bardzo wyrozumiałym szefem i pozwalał mi w czasie dnia pracy odbierać Grace ze szkoły.

Ksiądz Frank Price pochodził z wielodzietnej robotniczej rodziny i mówił z wyraźnym akcentem z Glasgow, przez pierwsze tygodnie niemal dla mnie niezrozumiałym. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał szeroką twarz, której spodziewałbyś się raczej u dokera niż księdza. Od pierwszego dnia nalegał, żebym nazywała go „Frank”, i krzywił się, kiedy mówiłam „proszę księdza”. Odznaczał się głęboką wrażliwością społeczną oraz nowoczesnymi poglądami na życie i religię. Był w seminarium, kiedy papież Jan XXIII zwołał Sobór Watykański II. Należał do nowego pokolenia współczesnych, liberalnych, współczujących księży. Wierzyli, że dyskusje soborowe prowadzone przez biskupów i kardynałów z całego świata zapowiadają rewolucyjne zmiany w Kościele katolickim. Franka i jego rówieśników przepełniał duch liberalnego optymizmu; byli przekonani, że rozwody, antykoncepcja i zniesienie celibatu to zmiany nieuchronne

i bliskie. Wielu z nich nigdy nie zostałoby księżmi, gdyby sądzili inaczej, dlatego w kolejnych dziesięcioleciach spora ich część opuściła Kościół, by założyć rodzinę. Pasją Franka było naprawianie niesprawiedliwości społecznych i docieranie ze słowem Boga do wszystkich, zwłaszcza uciskanych. Kiedy odrzucono jego prośbę o wyjazd na misję, zajął się potrzebującymi w najbliższym otoczeniu. W pierwszej parafii w Fife stary proboszcz narzekał, że nie może zapanować nad młodym wikarym, który z parku przyprowadzał pijaków i karmił ich na plebanii. Biskup postąpił sprytnie i wykorzystał pionierskiego ducha Franka, posyłając go do trudnej parafii w Gorbals, dzielnicy Glasgow. Frank założył tam schronisko dla młodych mężczyzn z problemami alkoholowymi i narkotykowymi. Jego gorliwość w połączeniu z liberalnymi ideami i urodą sprawiły, że zwrócili na niego uwagę miejscowi politycy i media. Ponieważ jednak jego poglądy nie pasowały do partyjnej linii, biskup w końcu załatwił mu przeniesienie na północno-zachodnie przedmieścia Londynu. Przez kilka pierwszych lat pełnienia funkcji proboszcza założył klub młodzieżowy i oddał jeden z wielkich parafialnych budynków na ośrodek dzienny, w którym realizowano program pomocy niezamężnym matkom i bezrobotnej młodzieży. Młodsze rodziny uwielbiały go za rzeczowość i proste kazania, za to część starszych czuła się urażona jego niekonwencjonalnym zachowaniem i odmową noszenia koloratki.

— Nie interesują mnie te pompatyczne bzdury, Eileen. Jezus ubierał się jak prosty człowiek i mnie też to wystarczy.

Często słyszałam, jak przedstawia Jezusa jako największego bohatera klasy robotniczej; podejrzewam, że w ten sposób lubił też myśleć o sobie. Z tego powo-

du czuł się niezręcznie, mieszkając samotnie w domu z czterema sypialniami i korzystając z pomocy gospodyni, która dla niego gotuje i sprząta. Pozwolił, żebym zastąpiła Bridie tylko dlatego, że byłem przypadkiem dla opieki społecznej: maltretowana żona i samotna matka potrzebująca pracy. Dla mnie oczywiście stało się to jasne trochę później, po kilku dniach. Pojęłam wtedy, że dostałam pracę polegającą na wykonywaniu obowiązków domowych dla mężczyzny, który potrafi i chce robić to sam.

Męczyliśmy się przez pierwsze tygodnie. Przychodziłam rano do nieskazitelnie czystego domu: łóżko pościelone, naczynia umyte, buty wypolerowane. Nie miałam nic do roboty. Tańczyliśmy wokół czajnika, rywalizując o to, kto zaparzy herbatę. Zagradzał mi drogę do miotły, choć wiedziałam, że na podłodze i tak nie ma okruszka. Stawiłam mu czoło po rozmowie telefonicznej z Bridie. Powiedziała, że miała ten sam problem, ale szybko pokazała Frankowi, gdzie jego miejsce.

— Musisz być stanowcza, Eileen. Mnie pozwolił sobą rządzić, ale dlatego, że przypominałam mu matkę. Ty jesteś młodsza, Eileen, to inna sprawa.

„To inna sprawa”. Kobiety takie jak Bridie i moja matka ukrywały złowrogie znaczenia w zwykłych zdaniach. Wiedziałam, że o coś jej chodzi, ale bałam się zapytać, o co dokładnie. Skorzystałam jednak z jej rady i kiedy podałam księdzu Frankowi poranną kawę, wmuszając weń upieczony przez siebie rogalik, oznajmiłam bardzo stanowczym tonem:

— Proszę księdza... Frank. Nie ma sensu, żebym tutaj pracowała, skoro nie dajesz mi nic do roboty.

Spojrzał na stopy, jakby nad czymś się zastanawiał. Milczenie przeciągało się w nieskończoność i czułam, że

powinnam je przerwać. W końcu podniósł głowę, popatrzył mi prosto w oczy i powiedział:

— Fakt, jest coś, co chciałbym, żebyś dla mnie zrobiła. Tylko nie wiem, czy się zgodzisz.

Było jasne, że pyta, czy się z nim prześpię, tak jasne, jakby powiedział to wprost. Musiałam zaczerwienić się jak burak, bo uśmiechnął się bezwstydnie i dodał:

— Spróbujesz?

— A o co chodzi?

Dobrze wiedziałam, o co chodzi, ale chciałam zmusić go do powiedzenia tego na głos. Już układałam w myślach oburzoną odpowiedź, kiedy wyszedł z pokoju. Wrócił z dwiema reklamówkami pełnymi papierów.

— To dokumenty z programu dla młodzieży. Muszę je wypełnić, ale jakoś nie mogę się do tego zabrać.

Od tamtego dnia postawiłam sobie za cel uwiedzenie go. Czułam, jak mnie obserwuje, jak się zastanawia. A kiedy on się zastanawiał, ja dla niego grałam, świadomie wypełniając każdy gest możliwościami. Stałam przy zlewie z plecami wygiętymi w łuk, poruszając ramionami podczas zmywania naczyń. Zaczęłam upinać włosy, odsłaniając kark w nadziei, że to do niego przemówi, skłoni do czułości. Przy chodzeniu nieznacznie kołysałam biodrami, wyjmując coś z szafki, wyciągałam rękę bardziej, niż trzeba było, żeby pokazać mu łuk bioder. Nie odwracałam się, kiedy wchodził do pokoju, ale nadal zajmowałam się swoimi sprawami, wyobrażając sobie, licząc, na dnie duszy wiedząc, że każde moje poruszenie doprowadza go do szaleństwa. Przez większość dnia go ignorowałam, potem, gdy przynosiłam mu herbatę albo jedzenie, nadawałam głosowi i uśmiechowi łagodniejsze

tony, każdym miłym gestem zmuszając go do czułych reakcji.

Ostatecznie załamał się pewnej niedzieli pomiędzy mszą a lunchem, ogarnięty gorączkową desperacją. To ja poprowadziłam go od kuchennego stołu na piętro do parafialnej sypialni, to ja chętnie przyjąłam rolę niegodziwej kusicielki, by ukoić jego wyrzuty sumienia jako księdza, ja zapanowałam nad jego męskimi emocjami, kiedy wyrzucał sobie, że wykorzystał moją bezbronność. To ja osuszałam jego łzy podczas pierwszych kilku miesięcy, kiedy wątpił w swoją wiarę, i to ja przekonałam go, by nie rezygnował z powołania dla kobiety. Ja ustaliłam podstawowe zasady naszego dziesięcioletniego romansu, pierwszego w moim życiu związku, w którym czułam się szczerze kochana i szanowana.

Nie chciałam ponownie wychodzić za mąż. Poślubiłam Johna na całe życie, a chociaż nie kochałam go i byłam szczęśliwa, że z nim nie jestem, wciąż pozostawał ojcem mojego dziecka i wciąż w duchu uważałam go za męża. Najważniejsze dla mnie było dobro Grace, nie chciałam, żeby jej życie zakłóciła obecność innego mężczyzny. Prawdę mówiąc, na całym świecie nie było mężczyzny, księdza Price'a nie wyłączając, któremu ufałabym na tyle, by wprowadzić go w życie mojej córki. Jej bezpieczeństwu dostatecznie poważnie zagroził brutalny ojciec i wiedziałam, że nie związę się z nikim, dopóki nie będę miała absolutnej pewności. A prawda była taka, że nie sądziłam, bym kiedykolwiek miała absolutną pewność w związku z jakimkolwiek mężczyzną. Pojęłam, że w tej sytuacji najlepszą rzeczą jest romans z człowiekiem, z którym nie mogłam otwarcie się pokazywać. W ten sposób miałam pewność, że Grace — i ja także — nie zostanie zraniona. Z radością gotowałam i sprzątałam dla Franka, tylko że

teraz dostawałam za to pieniądze. Zdecydowałam, że już nigdy nie będę niewolnicą żadnego mężczyzny.

W ciągu następnych dziesięciu lat nauczyłam się, że w miłości żadne bezwarunkowe postanowienia się nie sprawdzają.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Szef okazał współczucie i pozwolił mi wziąć urlop na resztę letniego semestru. Pomimo to nie widziałam Eileen przez prawie tydzień. Nie byłam w stanie. Dzwoniłam do niej codziennie, żeby się upewnić, że żyje, ale incydent z jej nowym przyjacielem Brianem i moje szaleństwo polegające na zbieraniu materiałów o raku sprawiły, że czułam się fizycznie chora. Kilka razy po południu poszłam do kina i wynajdywałam sobie zajęcia, żeby nie mieć czasu na rozmyślania. Kiedy jednak myślałam, rezultatem był paraliż albo wewnętrzny konflikt.

Paraliż był gorszy, bo składał się wyłącznie z czystego, niczym niezmaconego strachu. Nie było w tym nic skomplikowanego, tylko docierająca w pełni świadomość, że moja matka umrze.

Wewnętrzny konflikt był odrobinę lepszy. Brała w nim udział optymistyczna strona mojej natury, ta, która nie zamierzała się poddać i zgodzić na śmierć. Mama umrze tylko dlatego, że ma raka? Ludzie przeżywają nowotwory. Nie było powodów do rezygnacji. Biopsja wprawdzie wykazała stadium czwarte, ale badanie tomograficzne dalekie było od jednoznaczności i dopóki jej nie zoperują, nie będą wiedzieć, w jakim stopniu rak

się rozprzestrzenił. Pacjentki z nowotworem jajników mają trzydzieści pięć procent szans na wyleczenie, a im kobieta jest starsza, tym komórki rozrastają się wolniej. W sieci było mnóstwo opowieści o wyleczeniu. Mnóstwo. Przecież mama też może być jedną z tych kobiet. Lekarze jeszcze nie zdecydowali o rodzaju terapii; kiedy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że „nieuleczalność” to przypuszczalnie hiperbola, którą mama przejęła od strasznej Shirley. Mamie potrzebna pozytywna energia i moim zadaniem jest jej to zapewnić. Na razie nic nie wiemy na pewno, a to chyba dobrze?

Może jednak nie. Przecież niewykluczone, że stan mamy jest gorszy, niż sądzą lekarze, i zostało jej tylko kilka tygodni życia. Wtedy do głosu dochodził paraliżujący strach i szukałam w sobie sił, żeby zmusić się do czynności w rodzaju mycia i ubierania się, jakbym biegła w maratonie, aż sprawy codzienne przejmowały kontrolę i pomagały mi na chwilę zapomnieć.

Szóstego dnia dzwoniłam do mamy kilka razy, ale nie odbierała. Kiedy w porze lunchu nie doczekałam się odpowiedzi, zdołałam jakoś opanować panikę, wsiadłam do samochodu i pojechałam do niej. Otworzyłam drzwi i zawołałam. Cisza. Pomaszerowałam prosto do kuchni, gdzie znalazłam notatkę:

Poszłam na pocztą, potem chyba wybiorę się na drobne zakupy. Wracam koło czwartej.

Liścik nie był zaadresowany do mnie i przypuszczalnie dlatego, że nie zawierał żadnych przerażających, wstrząsających i rozpaczliwych informacji, zaczęłam grzebać w szufladach. Prawdę mówiąc, podświadomie szukałam papierosa; Eileen zwykle trzymała stary za-

pas mentolowych papierosów, ukryty za taśmą klejącą i ogniami sztucznymi. Od ponad dziesięciu lat nie paliłam i choć nie podjęłam wcale decyzji, że zrobię to teraz, przyjemnie było odważyć się na cokolwiek dysfunkcyjne zachowanie. Szuflada nie dawała się wyciągnąć, musiałam z tyłu wyszarpnąć stosik papierowych serwetek, które tam utknęły. Wysuwając dłoń, namacałam kwadratowe pudełko, w dotyku podobne do paczki papierosów. To jednak nie były papierosy, tylko tanie pudełko na prezenty, takie, w których zwykle sprzedaje się biżuterię. W kuchni wyglądało zupełnie nie na miejscu, mama tego rodzaju drobiazgi trzymała w toalecie w sypialni. Zaciekawiona otworzyłam je, spodziewając się zobaczyć tandetną broszkę, podarek od koleżanek z pracy, którego nigdy nie nosiła. Ale na marszczonym granatowym jedwabiu leżała maleńka identyfikacyjna bransoletka ze szpitala. Mimo woli krzyknęłam. Mama przechowywała to kartonowe kółeczko od dnia moich narodzin. Wsunęłam poźółkłą bransoletkę na kciuk i zobaczyłam, jaka jest mała. Kciuk był niemal tak wielki jak przegub dłoni noworodka. Ogarnęło mnie poczucie cudu własnej egzystencji; oto był dowód czasu, kiedy żyłam, choć wcale tego nie pamiętałam. Czasu, zanim zyskałam świadomość, czasu całkowitej bezbronności i zależności. Dopiero co opuściłam łono mamy, wciąż fizycznie stanowiłam jej część, emocjonalnie byłam z nią bez reszty związana. Nagle zapragnęłam wrócić do tamtego okresu. Strach i zamęt kilku minionych dni rozplynęły się, byłam dzieckiem, które nie chce, by matka je opuściła. Mogłam tylko szlochać.

W końcu musiałam poszukać chusteczek higienicznych. Nigdzie ich nie było, poszłam więc do łazienki na piętro i rzuciłam się na papier toaletowy. Wracając na

dół, usłyszałam jakiś szelest w sypialni mamy. Ostrożnie wsunęłam głowę w uchylone drzwi i zapytałam:

— Jest tu kto?

Równocześnie modliłam się, żeby nie był to jakiś intruz albo co gorsza, Brian w samych bokserkach.

W pokoju panował mrok, bo zasłony były zaciągnięte, dostrzegłam jednak na łóżku wybrzuszenie wielkości i kształtu mamy. Kołdrę miała naciągniętą na głowę.

— Mamo, co tu robisz? Nie wiedziałam, że jesteś w domu...

— Odpierdol się.

No nie! Odpowiedź była stłumiona, ale nie mogłam się przesłyszeć. Agresywne przekleństwo w ustach matki wystarczyło, żeby śmiertelnie mnie przerazić. Przez chwilę stałam i zastanawiałam się, co robić. Mam odejść? Po części pragnęłam uciec z tego pokoju, domu, zostawić za sobą całą tę tragiczną sytuację, ale zamiast tego podeszłam do łóżka, usiadłam na jego skraju i czekałam. W końcu mama wysunęła głowę spod kołdry. Była odwrócona do mnie tyłem, włosy miała zmierzwione. Duszne i stęchłe powietrze miało intymny zapach snu, tak nieprzyjemny dla obcych, ale do przyjęcia i kojący, jeśli pochodzi od osoby, którą kochasz.

— Proszę cię, Grace, idź stąd. Nic mi nie jest. Za minutę zejdem na dół.

Nie poruszyłam się, nie byłam w stanie. Coś kazało mi pozostać. Instykt mówił, że jeśli teraz odejdem, równie dobrze mogę więcej nie przychodzić.

— Grace, proszę. Nie chcę, żebyś mnie w takim stanie oglądała.

Czekałam w milczeniu. Mama westchnęła, zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

— Dzwonili ze szpitala — powiedziała wreszcie.

— To wspaniała wiadomość, mamó. — Prawdę mówiąc, wspaniała wiadomością byłoby, gdyby powiedzieli: „Hej! Pomyliliśmy się! Nie ma pani raka!”, ale człowiek robi, co może. — Kiedy masz się zgłosić?

— Dzisiaj po południu, ale... Ogarnęły mnie złe przeczucia.

— Ale ja nie chcę iść, Grace. — Mama zaczęła płakać. Ramiona się jej trzęsły, w zduszonym głosie brzmiało przerażenie. — Boję się. Nie chcę, żeby mnie otwierali.

Przez całe życie nie mogłam patrzeć na płaczącą mamę. Była moją matką, nie powinna płakać. Jej obowiązkiem było pocieszać mnie i chronić, a nie załamywać się. Mama powinna być silna dla mnie, nie odwrotnie. A moja mama często płakała. Na filmach, oficjalnych pogrzebach. Kiedy zginęła księżna Diana, bez reszty pogrążyła się w żalu, choć śliczna żona następcy tronu za życia zupełnie jej nie interesowała. W sytuacjach, gdy ja brałam w cugle uczucia, mama dawała im upust. Nie chodziło o to, że była emocjonalnie niespełniona, po prostu płacz nie sprawiał jej trudności. W przeszłości nieskrępowane szloch Eileen sprawiały, że miałam do niej pretensje i jakiś głos w moim wnętrzu lamentował: „A co ze mną?”.

Poczułam, jak automatycznie serce mi twardnieje, ale zaraz zauważyłam niemowlęcą opaskę na moim kciuku. Uświadomiłam sobie prawdę, która mną wstrząsnęła, choć była oczywista i prosta. Ta kobieta sprowadziła mnie na ten świat i od pierwszych chwil mojego życia opiekowała się mną. Teraz jej życie dobiega końca i nadeszła pora, żebym ja zaopiekowała się nią.

Przycisnęłam bransoletkę do ust i schowałam do kieszeni. Tym gestem pożegnałam dziecko w sobie, wyciągnęłam rękę i dotknęłam włosów matki.

— Nie bój się, mamó. Nie opuszczę cię ani na chwilę.

Operacja mamy trwała cztery godziny. Zająłam sobie ten czas, układając wszystko na nowo tak, żebym nazajutrz mogła się do niej wprowadzić. Sporządzałam listy, telefonowałam. Poszłam do szpitalnego sklepu, gdzie kupiłam czasopisma i chipsy, w kawiarni zjadłam zapiekaną kielbaskę z herbatą. Zapoznawałam się z rozkładem szpitala, tym miniaturowym miastem z podłogami wykładanymi linoleum, zielonymi ścianami i przestronnymi ze względu na wózki inwalidzkie toaletami. Wystrój i zapach tworzyły złowrogą atmosferę. Nigdy nie rozumiałam mody na dodawanie splendoru szpitalom w telewizyjnych serialach.

Mama miała własny pokój. Nie wiedziałam, w jaki sposób decyduje się o tych sprawach, ale podejrzewałam, że ta sala była po prostu wolna, i cieszyłam się z prywatności. Poprzednią noc spędziłyśmy na oglądaniu obrazków migoczących na małym telewizorze zawieszonym wysoko pod sufitem. Żadna z nas nie skupiała się na programie, ale udawała ze względu na drugą. Nigdy wcześniej nie czułam się tak blisko mamy jak wtedy, gdy siedziałyśmy w milczeniu w anonimowym pokoju, zbyt przerażone, żeby mówić. Kiedy po operacji przywieziono ją do sali, nadal była nieprzytomna. Towarzyszył jej lekarz. Wiedziałam, że ma dla mnie wiadomości, i nie byłam na nie gotowa. Nie spodziewałam się, że w jakiś szczególny sposób usłyszę to, co ma mi do powiedzenia, ale teraz, gdy dzieliła mnie od tego chwila, uświadomiłam sobie, że wołałabym, żeby o rozmowie lekarz uprzedził mnie na kilka dni z góry, mogłabym wtedy ubrać się w kostium i pójść do jego gabinetu, chciałam, żeby mama była przytomna, a wiadomości naturalnie pomysłne.

— Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości. Wszystko, tylko nie to, wszędzie, tylko nie tutaj, o każdej porze, tylko nie teraz.

— Możemy z tym poczekać...? — Powinam zwracać się do niego „doktorze” czy po nazwisku? Zapomniałam, jak się mówi do chirurga.

— Nazywam się Cartwright. A, jasne, wielkie dzięki.

— Możemy z tym poczekać, panie Cartwright? Wolałabym, żeby mama...

— Niestety nie. Mam jeszcze jedną operację, a już jestem spóźniony.

Och. Bardzo mi przykro, że złośliwy guz mojej mamy zburzył panu tak ważny rozkład dnia. Pragnę w jej imieniu złożyć szczerą przeprosiny.

— Może pani usiądzie?

Nie chciałam siadać, a już na pewno nie na polecenie tego protekcyjnego drania, ale usiadłam. Cartwright miał wyraz twarzy twardego autokraty. Podejrzewam, że doskonale radził sobie z usuwaniem guzów, za to fatalnie z ludźmi. Przyjęłabym taki układ z radością, gdyby to oznaczało, że usunął z ciała mamy wszystkie komórki nowotworowe i całkowicie ją wyleczył.

— Nie będę pani częstował medycznym żargonem, bo nie raz się przekonałem, że ludzie go nie rozumieją...

Skoro nie udało mu się wyleczyć mamy, to odrobina wdzięku byłaby miła.

— Więc powiem po prostu. U pani matki nowotwór dotarł do wątroby. Doszło do wielu przerzutów, stan jest zaawansowany i operacja nie wchodzi w grę. Prognoza to dwa, w najlepszym wypadku trzy miesiące. Usunąłem guz, żeby poprawić komfort jej życia w tych ostatnich dniach...

Szok sprawił, że znalazłam się przy umywalce, wymiotując herbatą i kiełbaską.

— Mój Boże, dobrze się pani czuje? — zapytał bezradnie.

Chciałam, żeby przestał mówić. A jeśli już musi, to żeby polukrował prawdę.

— Proszę zostawić mnie samą — odparłam cicho, ale zdecydowanie.

— Powiem sekretarce, żeby umówiła panią i matkę na wizytę.

Łzy i wymioty zapewniają ci wizytę, w przeciwnym razie podajemy złe wiadomości jak pigułkę gwałtu i mamy nadzieję, że jakoś je przełkniesz. Wspaniale — dobrze wiedzieć, jaki macie system przekazywania traumatycznych wieści. Śmieszne, czytałam w Internecie tyle relacji na ten temat, a jednak byłam zupełnie nieprzygotowana. Typowa reakcja, zawsze myślimy, że nam nigdy się to nie przydarzy.

Nauczyciele i chirurdzy — nieważne, jak są mądrzy, czasami nigdy się nie uczą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Dopilnowałam, żeby Grace nigdy nie widziała we Franku nikogo więcej poza dobrym księdzem i moim pracodawcą. Ale przez ponad dziesięć lat naszego ukradkowego romansu Frank i ja zbudowaliśmy związek silniejszy i bardziej zaangażowany, niż kiedykolwiek było moje małżeństwo. Frank był praktyczny, serdeczny i otwarty, mogłam mu się zwierzać jak bliskiemu przyjacielowi. Nie chciałam wychodzić za mąż, on nie chciał rzucać kapłaństwa, a takie szczere postawienie sprawy pomogło przekształcić komplikacje i cierpienia początkowej namiętności w serdeczną przyjaźń. Zbudowałam mu dom, w którym miał wszystkie wygodę łącznie z seksem i towarzystwem kobiety. On w rewanżu był troskliwy i wdzięczny, nie stawiał żadnych wymagań i pozwolił, żebym zadbała o jego dom, serce i popęd seksualny. Nasz romans toczył się na tle wolnej miłości i rewolucji lat siedemdziesiątych, więc obojgu nam łatwo było uciszyć wyrzuty sumienia. Frankowi Sobór Watykański II przypominał, że Kościół jest o krok od tak potrzebnej otwartości i zmiany, mnie „Cosmopolitan” mówił, że orgazm to mój moralny i społeczny obowiązek.

Pewnego popołudnia, kiedy byliśmy ze sobą siedem lat, a Grace przechodziła przez wyczerpujący i buntowniczy okres dojrzewania, próbowałam zakończyć nasz związek. Tamtego dnia się kochaliśmy, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej. Frank poza wypełnianiem obowiązków duszpasterskich bardzo ciężko pracował nad stworzeniem w miejskim ośrodku programu dla nastolatków, które uciekły z domu. Praca zajmowała mu coraz więcej czasu i czułam się zaniedbywana. Musiałam dłużej zostawać, gotując późne, pośpiesznie zjadane posiłki. Choć starałam się upiększać dom, nie zauważał tego i nie doceniał. Dla mnie wyglądało to tak, jakby romans się wyczerpał, i chciałam go zakończyć, zanim stanie się brudny i zatechły.

Frank wciągnął spodenki, ja spojrzałam na kępkę ciemnych włosów nad jego tyłkiem i poczułam ukłucie smętnej tęsknoty za dniami, kiedy ten widok sprawiał, że z powrotem ciągnęłam go do łóżka.

— Myślę, Frank, że powinniśmy przestać się widywać.

Jego ruchy zwolniły, z czego wywnioskowałam, że jest wstrząśnięty, choć nie odwrócił się do mnie.

— Nie możemy. Potrzebuję cię — powiedział.

— Och. — Byłam szczerze zaskoczona. — Cóż, mogę nadal być twoją gospodynią, ale uważam, że najwyższa pora...

— Nie — przerwał, wciąż stojąc do mnie tyłem. — Jako kobiety. Potrzebuję cię jako kobiety.

Poczułam znajome ściśnięcie żołądka. To była deklaracja poważnej miłości, deklaracja, której nie mogłam zignorować. Frank Price to dobry człowiek wykonujący pracę Boga, a ja jestem mu potrzebna. Przeraziłam się, bo sobie uświadomiłam, że ja także go potrzebuję. Pomi-

mo zastrzeżeń, ograniczeń, determinacji, by byto inaczej, stałam się zależna od niego emocjonalnie, finansowo i duchowo.

Zostałam więc na kolejne trzy lata. Dzięki tej zgodzie nasz związek stał się naprawdę wzajemny. Mogłam liczyć na Franka na początku trudnego okresu dojrzewania Grace i zaangażowałam się w jego programy, pomagając mu w pracy biurowej i układaniu projektów. Tak przywykliśmy do siebie, do naturalności i swobody naszej przyjaźni, że przestaliśmy dbać o pozory. Nie chodziło o to, że publicznie wymienialiśmy czułości, ale o to, że nie byliśmy w stanie ukryć głębokiego przywiązania. Z czasem zaczęliśmy zachowywać się jak stare dobre małżeństwo, kończyliśmy za siebie zdania, rozmawialiśmy z bezceremonialną intymnością, którą w końcu zauważono.

Piętnaście lat po złożeniu prośby o wyjazd na misję Frank dostał list z biura biskupa. Napisali, że z przyjemnością informują go, iż jego podanie zostało rozpatrzone pozytywnie. Skierowali go do pracy w górach Gwatemali, chociaż nie znał hiszpańskiego ani nie orientował się w politycznych i społecznych niepokojach dręczących ten mały kraj w Ameryce Środkowej. Jego praca misyjna w północno-zachodnim Londynie dobiegła końca, ale Kościół nadal będzie w dużej mierze finansował założony przez niego ośrodek, choć zarządzanie przekazano świeckim. Było oczywiste, że jakiś pobożny parafianin doniósł biskupowi na Franka. Jego następcą, ksiądz Dickson, który przechodził ze spokojnej parafii w południowym Londynie, postawił warunek, że zabiera swoją gospodynię. Czy ksiądz Price mógłby swoją zwolnić i wypłacić jej miesięczną odprawę? To mnie rozwścieczyło. Nie utrata pracy, ale hipokryzja towarzysząca całej tej sytuacji. Ja i Frank przez dziesięć lat dokładaliśmy starań, żeby nigdy

nie spędzić całej nocy razem, a nowy proboszcz sprowadza swoją gospodynię. Nie ulegało wątpliwości, że jest lepszym dyplomata niż mój szczyry Frank.

Frank szalał z gniewu. To był oczywisty przypadek zawiści i świętoszkowatej zazdrości. Twardogłowi konserwatyści z parafii sprzysięgli się przeciwko niemu, ponieważ próbował zrobić coś dla upośledzonej społecznie młodzieży. Naopowiadali skandalicznych rzeczy jego przełożonemu, choć w rzeczywistości nie cierpieli go, ponieważ nie nosił koloratki. Kłął i mówił, że porzuci kapłaństwo, że Kościół katolicki nie jest wart trudu i że zastanawia się nad przejściem na anglikanizm.

Ale oboje wiedzieliśmy, że tak się nie stanie. W głębi serca oboje wiedzieliśmy, że to koniec. Frank nie miał zamiaru porzucić dla mnie kapłaństwa, a ja nie chciałam, żeby to robił. Gdyby tak było, zrobiłby to dawno temu albo ja odeszłabym od niego.

Nigdy tak naprawdę się nie pożegnaliśmy. Dostaliśmy miesięczne wypowiedzenie i spędziliśmy ten czas na pakowaniu i przygotowywaniu do nowego życia. Nieformalność naszego związku sprawiła, że łatwo nam było wyprzeć głębię naszego uczucia i przygotować się do rozstania z rosnącym chłodem. Przestaliśmy sypiać ze sobą i przyjęliśmy role proboszcza oraz jego lojalnej gospodyni. W przeddzień wyjazdu Franka do Ameryki obesłałam dom, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku przed przeprowadzką nowego proboszcza. Dwie wielkie walizki w holu zawierały cały dobytek Franka. Z nagłą i szokującą jasnością zobaczyłam, że to nie był dom mojego ukochanego. To nie jego naczynia zmywałam, nie jego obrusy prasowałam, nie jego meble odkurzałam, nie w jego łóżku leżałam. Wszystko należało do Kościoła. Nawet on. Zwłaszcza on. Pożyczyłam go sobie

na dziesięć lat, a teraz nadeszła pora zwrotu długu. Czułam się jak idiotka, że tyle życia poświęciłam mężczyźnie, który do tego stopnia jest ulotny, że całe jego życie mieści się w dwóch walizkach.

Kiedy tamtego dnia wychodziłam, Frank dał mi czek na pięć tysięcy funtów, swój spadek, którego nie ruszał. To niesprawiedliwe, powiedział, że w taki sposób straciłam pracę, i chciał znaleźć jakiś sposób na podziękowanie mi za to, co dla niego zrobiłam. Chwila była niezręczna, dziwnie chłodna i rzeczowa. Spełniał wobec mnie „moralny obowiązek” i to mnie rozgniewało. Próbowалам wcześniej od niego odejść, ale mi nie pozwolił. Pieniądze wydawały się niestosowną rekompensatą, ale je wzięłam, wierząc w jego wyższe uczucia do mnie. Kiedy godzinę później skończyłam pracę, zostawiłam klucze na stoliku w holu i objęliśmy się. Miałam wrażenie, że nasze rozstanie jest niekompletne. Żadne z nas nie wypowiedziało słów namiętności, nie wyraziło żalu, poczucia straty czy gniewu, które oboje czuliśmy. To nie miało sensu, skoro takie słowa niczego by nie rozwiązały, znowu znaleźlibyśmy się w tym samym miejscu. Nasze rozstanie zawsze było nieuchronne, a jeśli sprawiało nam ból, to była nasza sprawa.

— Nie wiem, co bez ciebie pocznę — powiedział.

Uśmiechnęłam się tylko. W głębi ducha już przygotowałam się na myśl, że w Gwatemali znajdzie chętną młodą kobietę, która zajmie moje miejsce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Miesiąc po wyjeździe Franka pojawił się strach. Pieniądze, które mi dał, wystarczyły na spłacenie hipoteki, ale przy codziennych rachunkach i nastoletniej córce miesięczna odprawa skończyła się dość szybko. Potrzeby Grace z każdym rokiem stawały się bardziej kosztowne, a tamtego lata uparła się na szkolną wycieczkę do Francji. Lubiła modne stroje i potrzebowała gotówki na wyjścia na imprezy i dyskoteki. Wiele z jej przyjaciółek pracowało w soboty w pobliskim centrum handlowym i Grace błagała, żebym pozwoliła jej zatrudnić się w kawiarni razem z jedną z koleżanek. Ale ja rozgniewałam się na nią, kiedy dodała, że przydałyby się dodatkowe pieniądze.

— Nie poślę dziecka do pracy—warknęłam, a potem ją zapewniłam:
— Nie martw się, Grace, mamy mnóstwo pieniędzy.

To przede wszystkim była kwestia dumy. W moim pokoleniu biedne dzieci wychodziły z domu w wieku czternastu lat, żeby uczyć się fachu albo pracować u bogatych rolników, ponieważ rodziców nie było stać na opłacenie szkoły. Rówieśnicy mojej córki pochodzili z klasy średniej i pracowali na papierosy i ubrania. Widziałam, że Grace jest zaskoczona moją reakcją; była bardzo rozsądna i za-

wsze pozwalałam jej na wszystko, o co mnie poprosiła. Z drugiej strony była na tyle bystra, by wiedzieć, że tej bitwy nie warto toczyć.

Spoglądając w przeszłość, widzę, że byłam przewrażliwiona na punkcie bycia samotną matką. Zajmowałam myśli codziennymi troskami związanymi z wychowaniem miłej, dobrze ułożonej córki, bo wtedy nie musiałam zastanawiać się nad ironią tkwiącą w fakcie, że oddałam syna, żeby nie wychowywać go samotnie. Powtarzałam sobie, że pozbawiłam Grace ojca, dlatego nie pozbawię jej radości dzieciństwa. Zamierzałam zrobić wszystko, żeby moja córka zdobyła wykształcenie i dobry zawód, żeby mogła robić to, czego ja w życiu nie robiłam. Chciałam, żeby odnosiła sukcesy, była niezależna i miała możliwość wyboru. Uważałam, że i tak szczęście mi sprzyja, bo czułam się na siłach zapewnić jej to wszystko. Pragnęłam, by korzystała z życia, zwiedzała świat, miała to, co najlepsze.

Mając ponad czterdzieści lat i żadnych kwalifikacji, zaczynałam jednak się bać, że nie dostanę następnej pracy. Im częściej wyobrażałam sobie taką przyszłość, tym strach był większy. Przekonywałam siebie, że nie ma sensu składać podań o posady, które mnie interesowały, ponieważ brak mi odpowiednich kwalifikacji. Nie chciałam być nocną sprzątaczką, a wierzyłam, że tylko do tego się nadaję, bo co przez to mówiłabym Grace? W ciągu kilku miesięcy po wyjeździe Franka wpadłam w przygnębienie, choć dokładałam starań, by ukryć to przed Grace.

— Jak ci idzie szukanie pracy? — pytała Grace po powrocie ze szkoły.

Chciało mi się płakać, czasami gniewnie krzyczeć, ale tłumiałam emocje.

— Och, na razie na nic nie trafiłam, kochanie. Nie miałam czasu, zajęta jestem domem.

Następny dzień spędzałam w swojej nieskazitelnej kuchni, gdzie we wszystkich szufladach panował porządek; siedziałam przy stole, przeglądałam gazetę, gapiłam się w okno i zadawałam sobie pytanie, skąd wezmę siły, żeby nie dopuścić, by życie zmiażdżyło mnie, a co ważniejsze, także moją córkę.

Kiedy pewnego dnia kroiłam warzywa na obiad, ze szkoły wróciła Grace i zaczęła paplać o wydarzeniach dnia. Niepokoiło mnie, że Grace wyczuwa, że dzieje się coś złego, bo ciągle starała się mnie rozweselić, a przecież nastolatki powinny być nachmurzone i trudne. Po prostu szukałam sobie powodów do zmartwienia.

— W każdym razie Sandra, wiesz, ta moja przyjaciółka, która pracuje w Café Third w Bailey Newton...

— Mówiłam ci już, Grace, nie chcę, żebyś...

— Nie o to chodzi, mamó, posłuchaj mnie! Odłożyłam nóż i udawałam, że słucham. Grace już

mnie przerosła. Miała miłą szczerą twarz z kilkoma krostami. Czasami ogarniało mnie zdumienie, gdy sobie uświadamiałam, że moja córka jest prawie dorosłą kobietą.

— Bo wiesz, szefową Sandry była ta okropna pani Dały, która zawsze się spóźniała, była strasznie głupia i wrzeszczała na nie bez powodu. No i w sobotę wylano ją z pracy.

Wróciłam do krojenia warzyw.

— Grace, nie mam czasu na takie głupstwa, naprawdę.

— Nie, mamó. Boże, taka jesteś niemądra? Boja pomyślałam, że powinnaś postarać się o tę pracę. Wiem, że niewiele zarobisz, ale wyjdiesz z domu i będziesz mogła przeczekać, aż trafi się coś lepszego.

Poczułam, jak zaczynam gotować się ze złości. Grace miała ten okropny zwyczaj traktowania mnie protekcjonalnie i udzielania mi rad, jakby była dorosła, jakby była mi równa. Takie zachowanie u małej dziewczynki było nad wiek dojrzałe i słodkie, ale u nastolatki stało się irytujące. Zwłaszcza że teraz trudniej mi było się jej przeciwstawić.

— Grace, nie mogę starać się o tę pracę, nie mam kwalifikacji.

— Co to znaczy?

Sprawiła wrażenie szczerze zdumionej, więc dodałam:

— Kierowniczką. Im zależy na kierownicze, a ja nigdy w życiu niczym nie zarządzałam.

— Doskonale radziłaś sobie z zarządzaniem Frankiem i prawdę mówiąc, prowadziłaś za niego ten program.

— Grace, zostaw to, dobrze?

Ale mnie nie posłuchała. Mówiła dalej.

— Jezu, mamo, przecież to nie jest klub piłkarski ani gazeta, tylko kawiarnia.

— Nie mam odpowiednich kwalifikacji, Grace, i kropka.

— A jakie to miałyby być kwalifikacje, mamo? „Zarządzanie kawiarnią”? Niby gdzie można się tego nauczyć? Nie istnieją żadne specjalne kwalifikacje do prowadzenia kawiarni, mamo. Przychodzisz na rozmowę i jeśli się im spodobaś, dostajesz pracę. A jeśli okaże się, że sobie nie radzisz, wywalą cię jak panią Dały, to takie proste.

Nie byłam w nastroju do kłótni; słuchając, jak Grace wierci mi dziurę w brzuchu, czułam się słaba i na granicy łez, a nie rozgniewana.

— Ja tylko próbuję pomóc, mamó, nic więcej.

W głosie córki usłyszałam troskę i rozczarowanie, więc odparłam:

— Dobrze, pójdę tam rano i złożę podanie czy co tam będą chcieli.

— Wspaniale. — Grace wyjaśniała. — Jest sobota, więc pójdę z tobą.

Byłam taka przerażona, że przez całą noc nie zmrużyłam oka. Odkąd jako dziewiętnastolatka odeszłam z Aer Lingus, nie miałam zajęcia, które uważałabym za porządną, odpowiedzialną pracę. Chociaż zawsze pracowałam i wiedziałam, że jestem dobrą pracownicą, odnosiłam wrażenie, że zawdzięczałam te posady bardziej dobroci moich pracodawców niż specjalnym talentom. Państwo O'Grady zatrudnili mnie z dobroci, a przez te dziesięć lat przepracowanych u Franka granice pomiędzy życiem osobistym a zawodowym zupełnie mi się zatarły. Nie wierzyłam w siebie za grosz. Zdawałam sobie jednak sprawę, że niezależnie od tego, czy będę się starać o tę posadę w kawiarni czy nie, i tak w najbliższym czasie muszę poszukać jakiejś pracy. Ale nie czułam się gotowa do wyjścia w prawdziwy świat.

O siódmej rano w sobotni poranek wzięłam prysznic i umyłam włosy. Kiedy o dziesiątej do kuchni weszła Grace, wciąż zastanawiałam się, co na siebie włożyć. Próbowałam wymigać się od wyjścia, ale Grace potraktowała sprawę lekko i powiedziała, że wybierzemy się na zakupy do centrum handlowego, a potem wpadniemy do biura i zapytamy o tę pracę. Kazała mi jednak włożyć modny czarny kostium ze spodniami i ładną zieloną bluzkę, tak na wszelki wypadek.

Kiedy tylko przekroczyliśmy próg centrum handlowego, Grace zaprowadziła mnie do Barclay Newton,

wielkiego domu towarowego. Chcę przez to powiedzieć, że dosłownie zawlokła mnie, ciągnąc za rękę, a ja nie mogłam się sprzeciwić, jeśli nie chciałam wyglądać na rozhisteryzowane dziecko. Przed punktem informacyjnym Grace wyjęła z kieszeni kopertę i wrzuciła mi do torebki.

— Co to jest? — zapytałam.

— Twoje CV. Twoje kwalifikacje. Wczoraj wieczorem je napisałam. Nie miałam okazji rozgniewać się bezczelnym postępkami córki, bo kobieta już zapytała:

— Czym mogę paniom służyć?

Zanim w pełni zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, siedziałam przed szefową działu kadr w małym gabinecie na szóstym piętrze domu towarowego, w którym na zakupy ledwo było mnie stać. Ku mojemu zaskoczeniu rozmowa wstępna poszła mi doskonale. Szefowa powiedziała, że szukają właśnie kogoś takiego jak ja, dojrzałej i odpowiedzialnej kobiety, która da sobie radę z młodym personelem. Co prawda nie miałam żadnych doświadczeń gastronomicznych, ale sądziła, że to nie będzie problem. Przyjęła mnie na trzymiesięczny okres próbny, w tym czasie obie się przekonamy, jak układa się nam współpraca. Pensja wydała mi się świetna, nigdy dotąd tyle nie zarabiałam. Miałam zaczynać od następnego dnia.

Kiedy powtórzyłam to Grace, zwinęła dłoń w pięść i uniosła w triumfalnym geście.

— Zobaczmy, jak sobie poradzę — powiedziałam tylko. Nie chciałam, żeby myślała, że wygrała, ale zdawałam sobie sprawę, że dostrzeże moje podekscytowanie.

Nie wiedziała natomiast, że po raz drugi w życiu dodała mi odwagi do przeprowadzenia zmiany. Za pierwszym razem przewróciłam jej ojca na ziemię.

Wieczorem przeczytałam CV, które mi napisała, i rozplakałam się. Było szalenie szczegółowe i pięknie wystukane na maszynie. Musiała pisać je wiele godzin.

Personel naziemny Aer Lingus: do obowiązków należała rezerwacja biletów na loty międzynarodowe dla firm... Zarządzanie pubem...

Zarządzanie plebanią: (to mnie rozśmieszyło) do obowiązków należało administrowanie Kościelnym Programem dla Młodzieży.

Żadna córka czegoś takiego by nie zrobiła; pamiętam, jak się martwiłam, że Grace zbyt wcześnie bierze na siebie za wielką odpowiedzialność. To brak ojca tak na nią wpłynął, sprawił, że mi matkowała. Przede wszystkim jednak byłam wzruszona jej wysokim mniemaniem o mnie, tym, że w jej oczach byłam lepszą wersją siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kiedy mama odzyskała przytomność po operacji, nie zapytała, czy rozmawiałam z chirurgiem, a ja nie wspomniałam o diagnozie. Strasznie się bała, że się nie obudzi po narkozie, i teraz cieszyła się, że wciąż żyje. Rzeczywiście, przez te pierwsze dni mama była w lepszej formie niż kiedykolwiek wcześniej. Otworzyła oczy i natychmiast bełkotliwie oznajmiła, że umiera z głodu. Pochłonęła pożywny szpitalny posiłek (pudding i całą resztę, nigdy nie była przesadnie wybredna), po czym humor się jej poprawił. Wpadła w zachwyty na wieść, że dostanie środka przeciwbólowe. Powiedziała do mnie:

— Och, strasznie mi się tu podoba, Grace, skaczą koło mnie i wszystko podają. To jak pobyt w luksusowym hotelu. Nie muszę nawet wstawać z łóżka!

Pielęgniarki ciągle się przy niej krzątały, najwyraźniej uradowane doceniającą ich wysiłki i pogodną pacjentką. Zwłaszcza że była pacjentką, której z jajnika usunięto guz o średnicy trzydziestu centymetrów i której nowotwór z każdą chwilą się rozrastał. Mama stanowiła przykład dla innych kobiet na niewielkim oddziale, dokąd ją przeniesiono. Mnie jej zachowanie wydawało się

nienaturalne i głęboko przygnębiające. Kwiaty są niewyobrażalnie przepiękne, mówiła, pewnie kosztowały mnie fortunę; nigdy, przenigdy w życiu nie jadła niczego równie smacznego jak ta kanapka z szynką ze szpitalnego barku; czy istnieje najmniejsza szansa, że pielęgniarka podłoży jej pod plecy dodatkową poduszkę? Tak? Och, więc marzenia się spełniają! Przypuszczałam, że doskonały humor mamy jest reakcją na znieczulenie i środki przeciwbólowe, i kiedy pierwsza doba przeszła w drugą, a ona nie popadała w przygnębienie, mogłam tylko mieć taką nadzieję. Mama umierająca na raka to dostatecznie trudna sprawa, ale jeśli zamierzała przejść przez to w stylu Julie Andrews z „Dźwięków muzyki”, rzecz stawała się kompletnie nie do zniesienia.

Niezwykle szybko dochodziła do siebie i ze smutkiem myślałam, jaki ból musiało jej sprawiać noszenie w sobie tego potężnego guza. I to chyba było ze wszystkiego najbardziej przerażające — odkrycie, jak niewiele wiem o mamie. Z całą pewnością nigdy wcześniej nie zaliczyłabym jej do osób, które się nie skarżą i podchodzą do życia ze stoicyzmem. Wszystko wskazywało na to, że się myliłam, ponieważ była twardą, pogodną, odważną, godną podziwu kobietą. Pielęgniarki, które krzątały się przy jej łóżku i żartowały, ciągle mi powtarzały:

— Pani mama jest niezwykłą kobietą! Szczęściara z pani, że ma taką mamę!

Miałam ochotę rzucić im w rozswiergotane twarze: „Tak, ale hola, ona tu za długo nie pobędzie, więc może łaskawie się odpieprzycie. Nie próbujcie mnie przekonywać do tego chorego nastawienia, że śmierć to rzecz normalna i dość wesoła!”.

Ale tego nie zrobiłam. To byłoby zbyt brutalne. Nawet dla mnie.

Mama nie pytała mnie o rokowania, a ja nie miałam zamiaru z własnej woli wyskakiwać z tą informacją. Siedziałam i z wysiłkiem się uśmiechałam.

W środku byłam sparaliżowana śmiertelnym strachem, spięta, jakby wszystkie emocje, które w życiu odczuwałam, zostały uwięzione w balonie w mojej piersi; ten balon rósł i w każdej chwili mógł eksplodować. Jeśli bardzo się wysiliłam, potrafiłam jakoś to sobie wytłumaczyć i panika przycichała. Ale wiedziałam, co będzie. Na pewnym etapie się załamie, a to nie leżało w mojej naturze. Nie publicznie, nie teraz i tutaj, w prawdziwym świecie. Moje załamania następowały wiele lat po wydarzeniu, w czasie terapii. Problem polegał na tym, że nie istniało w mojej świadomości miejsce dostatecznie głębokie i ukryte, w którym mogłabym umieścić wiedzę, że mama umiera. Musiałam stawić jej czoło. Myślałam, że pewnie by mi pomogło, gdyby mama także tej wiedzy stawiała czoło, zamiast jej unikać i odgrywać dziwaczne zadowolenie.

Szukałam sobie zajęć. Znowu. Zaczynałam samą siebie irytować. „Szukanie sobie zajęć” to taktyka stosowana przez osoby, które chcą oderwać myśli od zmartwień. Ludzie nieszczęśliwi w małżeństwie zapełniają sobie czas opieką nad dziećmi, grą w golfa i kursami gotowania, dzięki czemu nie dostrzegają, jak bardzo wzajemnie się nienawidzą. Ludzie pozostają w zniechęconej pracy, bo do tego stopnia szukają sobie zajęć, że nie mają czasu na znalezienie innej posady. Bycie zajęтым oznacza satysfakcjonujące życie. Przeciwnieństwem jest szukanie sobie zajęć, bo to oznacza, że od czegoś uciekamy.

A ja na pewno uciekałam.

Gdyby to był tylko strach przed zmierzeniem się z chorobą mamy, pewnie mniej surowo bym siebie trakto-

wala. Przyczyną prawdziwego bólu był pewien chaos panujący w moich relacjach z mamą. Kwestie, którym przez lata przyglądałam się w czasie terapii, ale których nigdy całkowicie nie rozwiązałam. Gniew związany z brakiem ojca, niepewność dotycząca powodów, dla których nigdy do końca nie wierzyłam w jej miłość do mnie: nie zdołałam odseparować się od niej na tyle, by jej dziwactwa nie doprowadzały mnie do szału, a równocześnie nie czułam, że jestem z nią naprawdę blisko. Potrafiłam powiedzieć przyjaciółce, że ją kocham, ale nie zbudowałam takiej otwartej, serdecznej komunikacji z własną matką. Rozpaczliwa prawda była taka, że choć skończyłam czterdzieści lat, wciąż łaknęłam jej uczucia. Nie dała mi całej miłości, której potrzebowałam, a już niedługo będzie na to za późno. Jakie to mało atrakcyjne, jak przerażające: dojść w życiu tak daleko, a nadal dręczyć się tymi samymi pytaniami i wątpliwościami, które miałam jako nastolatka. Jakie to egoistyczne i neurotyczne myśleć o własnym emocjonalnym samopoczuciu, kiedy matka umiera na raka.

Dlatego szukałam sobie zajęć.

Cztery dni po operacji lekarze powiedzieli, że może wrócić do domu. W tym samym dniu wyznaczono nam wizytę u chirurga.

Włożyłam kostium, mamę ubrałam w kombinezon barwy fuksji, który kazała mi przynieść. Kombinezon był okropny, nie wątpiłam, że chirurgowi trudno będzie zebrać myśli, ale powiedziałam jej, że ślicznie wygląda. Bardzo ją ucieszyło, że kombinezon mi się podoba, i zaproponowała, że mnie także taki kupi. Odparłam, że byłoby cudownie, choć równocześnie wpadłam w głęboką rozpacz i mój umysł zaczął porządkować powody tego uczucia, tworząc listę:

- 7. Nie chce kombinezonu barwy fuksji.*
- 2. Mama i ja do tego stopnia jesteśmy psychicznie sobie obce, że jej zdaniem nosiłabym taki strój*
- 3. Mama za chwilę usłyszy, że niedługo umrze.*
- 4. Bede przy tym obecna i na pewno się załamie.*
- 5. Nie potrafię przestał układał list tak jak mama.*
- 6. Pozycje na tej liście nie są uporządkowane zgodnie z ich ważnością.*
- 7. To tak samo jak lista mamy z bluzką Shirley i rakiem.*

Pan Cartwright był uosobieniem czaru, ścisnął nam dłonie, serdecznie witał. Poczułam ulgę, choć też irytację na wspomnienie naszego poprzedniego spotkania. Tak bardzo się starałam utrzymać równowagę, że wszystko mnie drażniło. Gdzieś na dnie umysłu uświadomiłam sobie, że jogini mają rację, kiedy mówią, że nietolerancyjne, pełne złości osoby w rzeczywistości bardzo cierpią. Chociaż drażniło mnie też niezmiernie, że teraz zaliczam się do tej kategorii.

— Przypuszczam, że córka już z panią o tym rozmawiała.

— Nie, nie rozmawiała — odparła Eileen stanowczym tonem, którego wcześniej u niej nie słyszałam. — Uważam, że do pana należy powiedzenie mi, jak długo będę żyła, i jestem bardzo zła, że najpierw rozmawiał pan z nią. Jej milczenie wiele mówi.

Kompletnie zbiła go z tropu. Nie ulegało wątpliwości, że wcześniej zaliczył moją mamę do typu osób uległych i okazujących szacunek: „Tak, wasza eminencjo wielmożny panie chirurgu”. Szczerze mówiąc, do tej chwili ja też tak o niej myślałam. Nie miał nawet okazji, żeby powiedzieć coś na swoją obronę, bo Eileen rzuciła się na niego.

— Przez ostatnie dni moja córka traciła zmysły, nie wiedząc, jak mi to przekazać. — Uniosła dłoń, by go uciszyć. — Zanim więc powie pan to, cokolwiek ma mi pan do powiedzenia, proszę przeprosić Grace za cierpienia, których jej pan przyczynił, bezmyślnie zrzucając odpowiedzialność na jej barki.

Byłam oszołomiona. Tak samo jak Cartwright.

— Przepraszam — powiedział niepewnie.

— W porządku — wtrąciłam, zanim jeszcze skończył.

— A teraz — poleciła Eileen tonem „masz dopiero dziesięć lat”, na którego dźwięk chirurg wyraźnie się wzdrygnął — niech pan mówi, cokolwiek ma mi pan do powiedzenia.

Jej dobór słów wytrącił Cartwrighta z równowagi. Oto kobieta niewiarygodnie praktyczna i podchodząca do swego stanu bez cienia emocji, a mimo to nie potrafi zapytać o rokowania czy po prostu: „Ile mi jeszcze zostało czasu?”. Przerzuciła na niego decyzję tym swoim „cokolwiek ma mi pan do powiedzenia”. Mógł powiedzieć, gdzie kupił nową kuchnię, z ilu liter składa się skrót jego stopnia naukowego albo co jadł dzisiaj na śniadanie. Mógł też powiedzieć, że zostało jej parę miesięcy życia. Jego wybór.

Ledwo wierzyłam własnym uszom, choć podejrzewałam, że mama specjalnie utrudnia mi to i tak trudne zadanie. Wyjątkowo okropne zachowanie, z całą pewnością podnosiło poprzeczkę dla terminu „bierna agresja”.

Chirurg z natury był typem dość nieokrzesanym, a mama wytrąciła go z równowagi.

— Rozumie pani, tumor... Rak! Guz!

— Sarkoma...

Właśnie, sarkoma. Używaj słowa, którego znaczenia mama może nie znać.

— Została usunięta, ale rzecz w tym... Dłużej nie mogłam tego znieść.

— Masz przerzuty w wątrobie, mamó. Na tym polega ta dobra wiadomość. Nowotwór tak się rozprzestrzenił, że nie potrafią go usunąć i uważają, że zostały ci... — Nie byłam w stanie skończyć.

— Dwa, najwyżej trzy miesiące.

Dziękuję, panie Cartwright. Nie powiedziałabym, że szło mi świetnie, ale zdołał jakoś wypełnić swoje zadanie.

— Onkolog może od razu panią przyjąć. Już przygotował program chemoterapii, która poprawi jakość ostatnich miesięcy.

— No cóż — powiedziała mama. Przez chwilę wpatrywała się przed siebie, potem poklepała torebkę i dodała: — Dziękuję, że był pan taki szczerzy, doktorze Carmichael!

Nie poprawił jej. Chciała wstać, ale się zachwiała. Kiedy podeszłam, by ją podtrzymać, uświadomiłam sobie, że twarz mam mokrą od łez. Nie panowałam nad strumieniami ciekącymi mi z oczu.

Szłochałam tak cicho i ukradkowo, jak potrafiłam (czyli nie bardzo) przez całą wizytę u onkologa. Był bardzo miłym człowiekiem, spotkanie z nim trwało krótko. Zalecana przez niego chemoterapia nie przedłużył mamie życia ani nie uleczy nowotworu, ale złagodzi bardziej nieprzyjemne objawy, przez co jakość jej życia pozostanie na dobrym poziomie. Ten typ chemoterapii nie powoduje skutków ubocznych ani wypadania włosów i można ją przyjmować w domu w postaci tabletek. Niecałe pół godziny później wyszliśmy na wilgotny i anonimowy par-

king szpitalny, drobna kobieta w jaskrawym kombinezonie, zgarbiona i niepewnie stawiająca kroki, i jej ociężała, szlochająca, załamana dorosła córka. Tak kurczowo ścisnęłyśmy się pod ręce, że nie wiadomo było, kto kogo wspiera.

Po powrocie do domu mamy zaparzyłyśmy herbatę i usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole.

— Jak się czujesz, mamo?

Pytałam ją o to bez przerwy, a ona zawsze patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby nie rozumiała pytania.

Ledwo zamknęłam usta, uświadomiłam sobie, że ja także jestem nazbyt wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, żeby poradzić sobie z odpowiedzią, jakakolwiek by była. Naturalnie mama po raz pierwszy w życiu postanowiła odpowiedzieć. W zadumie patrzyła w okno, podczas gdy ja z zamkniętymi oczami myślałam, że pragnę tylko poczołgać się na piętro i przespać co najmniej dwa tygodnie.

— Wiesz co, Grace — powiedziała, jakby przez całe życie się nad tym zastanawiała — chyba zawsze trochę się bałam, zwykle z powodu głupstw w rodzaju, że nieodpowiednio ubiorę się na ślub albo zapomnę wystawić kubły ze śmieciami.

Jęknęłam w duchu. Zawsze marzyłam o rozmowie od serca z mamą, a kiedy do tego miało dojść, pragnęłam tylko zwinąć się w kłębek jak kot i spać.

— A teraz, kiedy naprawdę powinnam się bać... to dziwne... wcale się nie boję. Dziwne, prawda?

— Nie, mamo, wcale nie.

Wręcz przeciwnie, to było naprawdę dziwne, nienaturalne i przerażające, ale dotarłam na skraj wytrzymałości.

— Jesteś wyczerpana, kochanie, przeżyłaś dzisiaj straszny szok. Powinnaś się położyć.

Wziąwszy pod uwagę okoliczności, to nie mama powinna pocieszać mnie. Choć równocześnie wydawało się to słuszne.

— Dziękuję, mamo.

Kiedy ją całowałam, dostrzegłam w jej oczach spokojny smutek.

Powłokłam się na górę, odpięłam stanik i w ubraniu wczłogałam się do mojego dawnego łóżka. Spałam bite osiemnaście godzin.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W centrum handlowym Freshwater podobało mi się absolutnie wszystko: marmurowe podłogi, nowoczesna szklana winda, ruchome schody, wypielegnowane bogate kobiety z nieskazitelnymi fryzurami i modnymi strojami, nawet białe balkony przy wysokich na trzy piętra sufitach, z których zwisały ciężkie pędy bluszczów i mchów. Dopiero po roku dowiedziałam się, że rośliny są sztuczne, choć jakimś sposobem potęgowało to tylko magię tego miejsca pełnego rzeczy udających, że są prawdziwe, jak naturalne blond pasemka i stroje od „projektantów”. Zanurzyłam się w świecie wyrafinowanego handlu detalicznego i odkryłam, że to moje powołanie.

Od pierwszego dnia kierowania Cafe Third na trzecim piętrze domu towarowego Bailey Newton wypełniała mnie pewność siebie, która była prawdziwym cudem. Idąc tam, powiedziałam sobie: „To ja. Zamierzam zrobić coś z tego lokalu”. Nie byłam kobietą elegancką, nie miałam specjalnych doświadczeń związanych z jedzeniem na mieście, ale postanowiłam nie rezygnować. Zdawałam sobie sprawę, że to punkt zwrotny w moim życiu, i czułam, że jeśli uda mi się dodać szyku i ekscytacji tej dość

ponurej, zwyczajnej kawiarni, to może uda mi się tak samo przekształcić samą siebie.

W ciągu dwóch tygodni przekonałam mojego szefa, żeby pozwolił mi wprowadzić drobne zmiany: papierowe serwetki, nowe fartuchy dla kelnerów. Obejrzałam dokładnie marną kuchnię i odkryłam, że mój instynkt czystości jest silniejszy od pragnienia bycia lubianą. Nie było miejsca na kompromisy, jeśli chodziło o okruchy w kątach, i po krótkiej rewolucji wprowadziłam tyranie higieniczną, dzięki której inspektorów sanepidu miałam w kieszeni. Dostrzegałam potencjał tkwiący w Café Third: Freshwater odwiedzały bogate kobiety, wydające fortunę na zakupy, chętnie zapłacą dodatkowo za filiżankę cappuccino i obsługę kelnerki. Wprowadziłam zagraniczne dania o eleganckich, stylowych nazwach: „lasagne”, „coq au vin”. Zmieniłam frytki na „pommes frites”. Każda potrawa garniowana była surówką coleslaw, a niedługo potem pojawił się samoobsługowy bar sałatkowy.

„Nowa praca! Nowa ty!” głosił nagłówek w artykule w „Woman's Own”, który przeczytałam w przeddzień rozpoczęcia pracy — wydał mi się znakiem od Boga, takim jak te otrzymywane w dzieciństwie. Nie miałam nowej garderoby ani fryzury jak przedstawione w artykule kobiety, ale zostawiłam za sobą przeszłość, kiedy weszłam do Café Third i wkroczyłam w piąte dziesięciolecie mojego życia z czystą kartą.

Sprawiłam sobie nową garderobę i fryzurę (choć nigdy nie byłam z nich do końca zadowolona), najważniejsza zmiana jednak zaszła w moim życiu towarzyskim. Przez niemal całą dorosłość zachowywałam dystans wobec ludzi, chroniąc dumę w czasie małżeństwa z Johnem i sekrety związku z Frankiem. Mój krąg przyjaciół zawsze był mały i skupiony wokół kościoła. Bailey Newton

dal mi nowe życie. Odnalazłam pewność siebie i energię, o których zapomniałam. Na nowo odkryłam Eileen z czasów Aer Lingus, która rezerwowała biznesmenom loty do Ameryki, nosiła kostiumy i szpilki i miała niezwykle, rozjaśniający ją od środka uśmiech, jak mówili niektórzy. Taka byłam, zanim zostałam żoną i matką, zanim przyszło cierpienie i udręki. Miałam wrażenie, że dobre czasy znowu powróciły, a najlepszą rzeczą było to, że na nowo odkryłam w sobie talent do nawiązywania przyjaźni.

Geoff był mniej więcej w moim wieku, może kilka lat starszy, ale trudno to było stwierdzić, ponieważ farbował włosy. Był kierownikiem działu tkanin i pasmanterii: „Włóczka i guziki, kochanie, to ja” i niezwykle zabawnym człowiekiem. Powtarzał mi: „Jesteś odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu! Będę cię miał na oku!”. Docinaliśmy sobie, ciągle flirtował ze mną i potrafił mówić rzeczy bardzo niegrzeczne w taki sposób, że nigdy nie czułam się obrażona. Uwielbiałam przekomarzanki z Geoffem, budziły we mnie przekonanie, że jestem błyskotliwa i dowcipna, a tak nie czułam się w towarzystwie żadnego mężczyzny, nawet Franka. Geoff był gejem, choć powiedział mi o tym dopiero wtedy, gdy wielokrotnie próbowałam go zeswatać z Julianą z działu tkanin ozdobnych.

— Z zasady o tym nie mówię, skarbie, to nie w moim stylu. Ludzie z naszego pokolenia nie rozmawiają o takich sprawach, prawda?

Nie uważałam, że należę do pokolenia Geoffa, wydawał mi się dziwnie staroświecki, ale pochlebiło mi jego zwierzenie i na dnie serca czułam ekscytację, że znam homoseksualistę.

Sangeeta stała się najlepszą przyjaciółką, jaką w życiu miałam. Skromna, była prawdziwą damą. Zawsze

chodziła w sari i z bindi na czole. Niektórzy sądzili, że jej rezerwa i oficjalny język są odpychające (a także etniczny strój, ludzie potrafią być strasznymi ignorantami), ale Sangeeta była bardzo serdeczna, cecha dla otoczenia nader pokrzepiająca. Kiedy się dowiedziała, że nigdy nie jadłam indyjskich potraw, następnego dnia przyniosła mi aromatyczne i pieprzne przysmaki domowej roboty. Zdałam sobie sprawę, że przygotowanie tego prezentu musiało zająć jej wiele godzin, i odebrałam ten gest jako objaw kultury i wielkoduszności. Przypominał mi dorastanie w Irlandii, gdzie z najdrobniejszego powodu zapraszano nieznajomych do domu i częstowano rogalikami z herbatą. Sangeeta była zameżna, miała troje dzieci, którymi w czasie gdy pracowała, opiekowała się teściowa. Jej mąż był lekarzem.

— To człowiek wykształcony, wcale mu nie przeszkadza, że chcę pracować.

Jako jedna z kilku zaledwie osób spoza społeczności hinduskiej bywałam u nich w domu. Rzadko widywałyśmy się poza pracą, ale większość przerw spędzałyśmy razem: załatwiałyśmy drobne sprawunki, dyskutowałyśmy o pracy, próbowaliśmy potraw w konkurencyjnych kawiarniach i barach w centrum handlowym.

Nie rozmawiałyśmy o szczegółach naszego życia, obie byłyśmy zamknięte w sobie i to chyba nas do siebie przyciągnęło. Zresztą poza pracą niewiele miałam problemów. Grace była modelową młodą kobietą, pracowała ciężko i dostała się na uniwersytet, gdzie studiowała anglistykę. Wciąż mieszkała ze mną i nie sprawiała mi najmniejszych kłopotów. Sangeeta nigdy nie skarżyła się na męża i rodzinę w przeciwieństwie do innych kobiet, które nieustannie lamentowały, zwłaszcza na mężów. Odnosiłam wrażenie, że Sangeeta jest dostatecznie bystra, by

sobie uświadomić, że narzekania tylko nadają rozpędu nieszczęściu. Jeśli jesteś nieszczęśliwa w domu i w pracy na to narzekasz, to w pracy także będziesz nieszczęśliwa. W moich czasach mówiono: „Rób dobrą minę do złej gry i trzymaj język za zębami”, a im częściej słuchałam bezsensownych narzekań na leniwe nastolatki, hałaśliwych sąsiadów i teściowe, na życie, które z tego, co ja widziałam, niosło niewiele prawdziwych problemów, tym lepsza wydawała się ta zasada — chociaż po jakimś czasie przekonałam się, że jest inaczej.

Oprócz Geoffa i Sangeety było kilka osób, do których w każdej chwili mogłam wpaść i pogadać. Florrie z działu walizek była rozwódką z Limerick, która wszystkie pieniądze wydawała na ubrania i kosmetyki, a cały wolny czas spędzała na tańcach w irlandzkich klubach w północno-zachodnim Londynie. Uwielbiała się bawić i dzięki niej wiele sobotnich wieczorów spędziłam w National Ballroom, gdzie spotykałam się z paczką „dziewczyn” w moim wieku, rozwiedzionych i polujących na mężczyzn. To nie było w moim stylu, ale Florrie od czasu do czasu udało się mnie przekonać i ku swojemu zaskoczeniu jako czterdziestoparolatka znowu szalałam. Na tyle, by sobie przypomnieć, że wciąż jestem atrakcyjna, choć nie aż tak, by zaangażować się w związek. Paru mężczyzn zakochało się we mnie, ale nie interesowałam się nimi. Uwielbiałam poczucie, że mnie pragną, ale straciłam ochotę na wzajemność. Przestałam wierzyć, że warto.

Po sześciu latach zostawiłam kawiarnię, ponieważ dostałam awans na kierowniczkę działu obsługi klienta całego domu towarowego. Tak brzmiała oficjalna nazwa, personel nazywał to działem skarg. Funkcję uważano za jedną z najtrudniejszych, a pensja odzwierciedlała moją pozycję w firmie. Nosiłam granatowy kostium z podusz-

kami na ramionach i czółenka na wysokich obcasach, w których zdecydowanym krokiem przemierzałam działy. Bailey Newton stał się moim imperium, poznałam i pokochałam każdy jego cal. Piękne profile manekinów w sukniach wieczorowych z cekinami, walizki od projektantów, błyszczące damskie obuwie na półkach, gabloty z połyskującą biżuterią. Wiedziałam, gdzie znajduje się każda rzecz: od najdroższych strojów w witrynach, przez kremowe skórzane fotele w dziale mebli biurowych, na zwykłych termosach ukrytych w kącie działu sprzętów domowych skończywszy. Kochałam je wszystkie, choć miałam swoich ulubieńców. Co rano, idąc od schodów ruchomych do biura, nakładałam nieco drogi, żeby wejść do perfumerii. Intensywny zapach perfum Poison, Chloe, Jazz, Chanel 19 sprawiał, że każdy dzień zaczynałam na haju. Bywały dni, kiedy bardziej tego potrzebowałam.

Wspaniałym aspektem mojej pracy było to, że przez osiem godzin zachowywałam absolutną pewność siebie. Musiałam. Grace zawsze narzekała, że jestem niezrównoważona i niezdecydowana, i przez większość czasu taka byłam, ale w pracy musiałam być w najlepszej formie. Bailey Newton znajdował się w okolicy zamieszkaną przez zamożną klasę średnią. Odnosiłam wrażenie, że im więcej masz, tym częściej narzekasz. Moi bogaci klienci skarżyli się na wszystko, i na rysę w filizance kupionej przed tygodniem, i na zniszczone buty kupione rok temu. Do rzadkości należał dzień, kiedy nie musiałam osobiście radzić sobie z co najmniej jednym niezadowolonym klientem, a niektórzy byli naprawdę trudni. Kobieta, która usiadła w dziale niemowlęcym i zapowiedziała, że się nie ruszy, dopóki nie wymieni jej zepsutego trzyletniego wózka na nowy. Mężczyzna, który zwymiotował na Wilmę w punkcie informacyjnym, kiedy zbyłam jego historię

o zatrutej żywności. Jedni po prostu próbowali uzyskać rekompensatę, choć dobrze wiedziałam, że nie mają do niej prawa. Inni działali na zasadzie ciekącego kranu — myśleli, że jeśli będą często wracać, w końcu mnie zmęczą. Słuchałam i powtarzałam swoje oświadczenie, nie dając wyprowadzić się z równowagi. Agresywnym krzykaczom odpowiadałam cicho i spokojnie, aż w zakłopotanie wprawiał ich hałas, który robili. Byli też seryjni petenci, samotne osoby, które pytały, dlaczego przesunięto maty łazienkowe, dlaczego nie ma fioletowych parasolek, dlaczego wystawiamy obraz kobiety z obnażonymi pośladkami w takim miejscu, że wszyscy dokładnie mogą go sobie obejrzeć, dlaczego w koszu z owocami w Cafe Third nie ma mandarynek satsuma, choć były w zeszłym tygodniu. Ludzie skarżyli się na nieuprzejmy personel i kolor dywanów, chcieli zwrócić towary, choć nie mieli paragonu, prezenty ślubne w pięć lat po weselu, buty z podartymi sznurowadłami, bluzki tylko do prania chemicznego, po których na pierwszy rzut oka widać było, że skurczyły się w praniu, swetry tylko do prania ręcznego, które trafiły do pralki. Tylko od czasu do czasu wymieniałam rozprutą kołdrę wdzięcznemu klientowi albo zepsutą lalkę Barbie i widziałam, jak buzia dziecka rozjaśnia się radością. Przez większość czasu broniłam personelu i reputacji Bailey Newton przed chciwymi, rozgniewanymi oportunistami, którzy łgali w żywe oczy, pewnie nawet zabiliby własne matki, żeby tylko dostać kupon o wartości dwukrotnie wyższej od sumy wydanej na zakupy. Moją najsilniejszą bronią był elegancki kostium i łagodny, acz stanowczy uśmiech. Rozwinęłam w sobie zdolność słuchania i niemal niedostrzegalną wyższość, która przebijała się przez krzyki najbardziej agresywnych klientów i kazała im się dwa razy zastanowić, zanim mnie zwymyślali.

Szef powiedział mi kiedyś, że moim najlepszym orężem w pracy była zdolność do budzenia sympatii. Przez wszystkie te lata, które spędziłam w Bailey Newton, ani jedna skarga nie dotyczyła mnie personalnie. Myślałam sobie, że zdolność do budzenia sympatii i brak skarg to wspaniała rzecz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

W pierwszych dniach po powrocie mamy ze szpitala miałam zaskakująco mało do roboty. Mama nie mogła wytrzymać w łóżku, nie chciała, żebym ją obsługiwała (choć w szpitalu bez problemu pozwalała na to pielęgniarce). W drugim dniu Eileen była już na nogach, robiła sobie ohydne zupy w proszku, rozpylała w toalecie toksyczny odświeżacz i co chwila zwlekała się z kanapy, żeby zmienić kanał w telewizorze, bo wciąż nie umiała posługiwać się pilotem.

— Naprawdę, Grace, strasznie marnujesz czas, będąc tu ze mną. Dam sobie radę sama.

Był to słabo zawoalowany sposób na powiedzenie: „Proszę, idź sobie i daj mi się cieszyć ekscentrycznymi domowymi przyjemnościami bez tego twojego krytycznego spojrzenia, którym wszędzie za mną wodzisz”.

Przynajmniej w końcu mogłam się przekonać, do jakiego stopnia jestem krytyczna, choć trzeba było fatalnych rokowań mamy, żebym to pojęła. Tak czy owak nie powstrzymało mnie to od irytacji na domowe nawyki mamy, co do splątanych emocji dodawało jeszcze odrobinę poczucia winy.

I był element „tragiczny”, który o czym jestem przekonana, do niej też docierał. To nie może być bardzo mile, kiedy oglądasz zwykle krytyczną twarz dorosłej córki, na której nagle pojawia się wyraz żalobnego niepokoju, bo sobie przypomina, że nie powinna być dla ciebie nieprzyjemna, bo przecież niedługo umrzesz.

Wróciłam więc do siebie na kilka dni, ale nie czułam się z tym dobrze. Spotkałam się z przyjaciółmi, choć nie potrafiłam zmusić się, by im powiedzieć o mamie, a równocześnie ich sprawy prawie wcale mnie nie zainteresowały. Byłam rozbita, na granicy płaczu i pragnęłam być tylko z mamą, ciągle więc do niej wpadałam. W porze śniadania z torbą jej ulubionych bajgli, po czym szłam kupić coś na lunch i kolację. Po wieczornym posiłku zawsze w telewizji nadawano coś, co chciałam obejrzeć. Kiedy program się kończył, było zwykle tak późno, że nie opłacało mi się wracać do domu. Wyrzuty sumienia wywołane świadomością, że mama nie chce, żebym u niej była, skłoniły mnie do akceptowania jej najgorszych przyzwyczajęń. Bez słowa robiłam kolejne kubki śmierdzącej zupy w proszku, zatruwałam powietrze lawendowym odświeżaczem, przynosiłam jej nylonowy szlafrok i pozwalałam, żeby miała go na sobie, kiedy grzała stopy przy elektrycznym kominku, przez co mogła zaoszczędzić na centralnym ogrzewaniu. Teraz, kiedy moja matka umierała na raka, przeszłam cudowną metamorfozę i stałam się tolerancyjną świętą, która rozumie, że wszystkie te drażniące dziwactwa w gruncie rzeczy są bez znaczenia. Przez lata powtarzałam, że jedzenie przesolonych zup i siedzenie przed elektrycznym kominkiem to rzeczy niezwykle niebezpieczne, dlatego na widok tej nagłej zmiany nastawienia mama, rzecz zupełnie naturalna, pomyślała, że usiłuję przeprowadzić na

niej eutanazję. A może dla odmiany to ja działałam jej na nerwy.

— Grace, nie ma potrzeby, żebyś tu ciągle przychodziła.

— W porządku, mamó. Ja chcę tu być. Chcę ci pomóc.

— Wiem, skarbie, i naprawdę to doceniam, ale przecież masz swoje sprawy.

— Mamó, nie ma nic ważniejszego od bycia z tobą.

— A twoja praca?

— Wszystko załatwione, mamó, nie martw się.

— Nie masz przyjaciół, z którymi powinnaś się spotkać? A ten, jak mu na imię, bo zapomniałam?

— Nie, mamó. Ja chcę być tutaj.

I to w gruncie rzeczy była cała prawda o tej sytuacji. Zaspokajałam swoje potrzeby, a nie potrzeby mamy. Wzięłam ją za rękę i spojrzałam w oczy, wyczuwając przy tym, że na twarzy mam wypisany wyraz szalonej męczennicy. Mama też go dostrzegła i to dodało jej odwagi, żeby mnie powstrzymać.

— Rzecz w tym, Grace, że potrzebuję czasu dla siebie. Wiedziałam o tym. I miała rację. Ale mimo to poczułam się tak, jakby kopnięto mnie w żołądek.

— Dam sobie radę, Grace. Dzwonili ze szpitala, jutro kogoś przyślą.

— Położyła mi dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się czule, po matczynemu. — Wyjedź gdzieś na kilka dni. Tobie też potrzebny odpoczynek.

— Przepraszam, mamó, narzucam ci się, wiem. Ale chodzi o to, że...

Urwałam, pocałowałam ją, a zdanie skończyłam w myślach, wracając do siebie.

...Chodzi o to, że się boję, że za szybko umrzesz. Zanim będziemy miały okazję zrobić wszystko to, czego

dotąd nie robiłyśmy. Zanim urodzę ci wnuka, zanim odwiedzisz Sangeetę w Indiach czy przejedziesz przez Paryż w sportowym samochodzie jak w piosence Marianne Faithfull, którą tak lubisz; zanim uwierzę, że naprawdę dałam ci powody do dumy; zanim zmieścisz się w sukienkę rozmiar dwanaście, do której kupna zachęciła cię pięć lat temu twoja instruktorka z Weightwatchers; zanim zaufasz mi na tyle, żeby opowiedzieć mi o ojcu; zanim zabiorę cię do Florencji, tak jak ci obiecałam; zanim będę w stanie dostrzec zabawne aspekty zmieniania się w siebie; zanim zafarbujesz sobie włosy na blond, jak zawsze groziłaś; zanim zdążę nauczyć się od ciebie wszystkiego, co powinnam; zanim będę gotowa.

Wiedziałam z całą pewnością, że nigdy nie będę gotowa. Że zawsze pozostaną rzeczy do zrobienia, słowa do powiedzenia.

Rzecz dla mnie nietypowa, skorzystałam z rady mamy i wyjechałam na kilka dni. Do ośrodka spa w Bath, który poleciła mi jedna z przyjaciółek.

To było o wiele bardziej pouczające doświadczenie niż wszystkie „uzdrawiające weekendy” i „duchowe wytchnienia”, w których wcześniej brałam udział. Bez celu włóczyłam się po pięknym zabytkowym mieście. Gubiłam się na brukowanych uliczkach, wysyłałam pocztówki do przyjaciół, których od pewnego czasu nie widziałam, poddawałam się zabiegom kosmetycznym twarzy i stóp, chodziłam do sauny i na basen, miałam czas na to, żeby po prostu się odprężyć. Na nowo poznawałam Grace, która nie była córką, nauczycielką, przyjaciółką, była żoną, kochanką, ale po prostu mną. Znowu nawiązałam kontakt z jądrem swojej istoty, silną, troskliwą kobietą, która pomoże mnie i mamie znaleźć sposób na przejście kilku następnych tygodni lub miesięcy, zależy, ile czasu zajmie

jej opuszczenie tego świata i przeniesienie się na drugi. Przypomniałam sobie, że wierzę we własną wersję Boga, modliłam się więc do tej Siły Wyższej, żeby nie pozwoliła mi znowu się zagubić, i prosiłam o odpowiedzi. Jak zwykle uzyskałam je, gdy znalazłam czas na medytację i uspokojenie umysłu.

Sporządziłam listę rzeczy, które mogę zrobić dla mamy przed jej śmiercią. Lista była krótka i możliwa do wykonania. Wprowadzenie porządku w czas, który nam wspólnie pozostał, wydawało się bardzo słuszne. Było też coś uzdrawiającego w układaniu tej listy.

Po głębokim namyśle, wielu poprawkach i kilku dzbankach dostarczanej do pokoju ziołowej herbaty miałam ostateczną wersję:

1. Wyjazd do Paryża i wynajęcie sportowego samochodu

2. Długi weekend we Florencji

3. Wyjazd do Irlandii

4. Bath—pobytwspa

5. Wysłanie Sangeecie biletu na lot do Anglii

Już osiągnęłam jedną rzecz z wcześniejszej listy: zalało mnie ciepło, kiedy zdałam sobie sprawę, że wcale mi nie przeszkadza to sporządzanie list oznaczające, że zmieniam się w Eileen. Wręcz przeciwnie, to było przyjemne.

Po powrocie zadzwoniłam do mamy i przez telefon wydała mi się w świetnej formie. O nic jej nie wypytywałam, choć powiedziała, że „miała opiekę”, co mnie zastanowiło. Obiecałam, że przyjdę w sobotę na lunch, czyli miałyśmy się zobaczyć za całe pięć dni — mnóstwo czasu, kiedy jedno z was umiera.

Zanim skręciłam na ulicę mamy, poszłam do parku. Usiadłam na ławce na szczycie wysokiego wzgórza i spojrzałam na znajome zielone zbocze schodzące do kortu tenisowego i placu z huśtawkami. Choć podejrzewałam, że sporo się tutaj zmieniło: krzewy pewnie wykopano, nawierzchnię kortu wymieniono, przewrócone drzewa usunięto, nie zauważyłam tego. Kiedy tu przychodziłam, widziałam tylko porośniętą trawą zbocze. W dzieciństwie odnosiłam wrażenie, że ciągnie się przez wiele mil aż do rajy z huśtawkami na drugim jego końcu. Turlałam się w dół, a Eileen truchtała za mną i martwiła się plamami z trawy na ubraniu. W drodze powrotnej zbocze zawsze wydawało się bardziej strome i często jedyną motywacją, żeby je pokonać, był dla mnie widok samochodu z lodami w bramie parku. Znałam ten park równie dobrze jak nasz mały ogródek. Spędziłam w nim sporą część dzieciństwa. Odzierałam sobie kolana, zbyt szybko zeskakując z karuzeli, na huśtawce palcami u nóg próbowałam dotknąć nieba, wdałam się w bójkę na pięści i szarpanie za włosy z okropnym chłopcem — i wygrałam. Po raz pierwszy niezręcznie całowałam się za krzewami na końcu kortu, paliłam papierosy w wilgotnych, zakazanych wnętrzach damskiej toalety. Zawsze kiedy w dorosłym życiu szłam do mamy po pociechę: po wyjeździe Jacka do Australii, po decyzji o zmianie pracy, zachodziłam najpierw tutaj, dopiero potem przekazywałam nowinę Eileen. Zastanawiałam się, czy fakt, że przez całe moje życie mama mieszkała w jednym miejscu, był jej darem dla mnie? Nie przeprowadziła się z tej okolicy, z naszego domu, żeby zawsze miała dokąd wracać? A może to przypadek lub lenistwo zatrzymały ją na tym nijakim przedmieściu, gdzie spędziła większość życia?

„Większość życia" — o ten codzienny zwrot potykały się moje myśli, przypominał mi bowiem, że życie mojej mamy dobiega końca. Za nim nagromadził się stos pytań, które wcześniej nie przysły mi do głowy. Czy kiedykolwiek rozważała powrót do Irlandii? Jak długo pracowała w Aer Lingus? Jak poznała mojego ojca? Czułam, jak te pytania wysypują się ze mnie i toczą we wszystkich kierunkach. Tak wiele pytań, tak mało czasu. Tyle słów niewypowiedzianych, spraw nieprzeżytych, niezbadanych. Nagle odniosłam wrażenie, że niebezpiecznie jest tak siedzieć samotnie i rozmyślać. Musiałam być z Eileen. Musiałam spędzić z nią tyle czasu, ile to było możliwe.

Idąc pośpiesznie do jej domu, czułam dziwne uniesienie. W moich myślach panował porządek. Następnych kilka miesięcy należy do mamy. Będziemy razem robić różne rzeczy, tworzyć wspomnienia. Kiedy byłam młoda, mama mi powtarzała: „Podróżuj! Zwiedzaj świat! Jedź do tych wszystkich miejsc, do których ja nigdy nie mogłam pojechać". Gdy wracałam z wakacji, mama siadała, uważnie oglądała fotografie i spijała każde moje słowo. Była na kilku zorganizowanych wakacjach w Hiszpanii z koleżankami z pracy, ale zawsze się krzywiła, kiedy proponowałam, żeby wypuściła się dalej. Podejrzewałam, że chciała, ale czuła, że jest za późno, a może bała się nieznanego. Miałam szansę pomóc jej w przeżyciu przygody. Pragnęłam tego, chciałam dopilnować, żeby mama w czasie, który jej został, posmakowała tyle życia, ile się da.

Już w progu zorientowałam się, że nie jest sama. Zza zamkniętych drzwi kuchni dobiegały głosy. Kiedy je otworzyłam, moim oczom ukazała się scena szokująca i dziwaczna.

Mama pochylała się nad zlewem — wiedziałam, że to mama, bo miała na sobie szlafrok z zielonej frotty — podtrzymywana przez młodego kościstego mężczyznę, którego wcześniej nie widziałam. Przy kuchennym stole siedział drugi, uderzająco przystojny chłopak mniej więcej w tym samym wieku i kartkował czasopismo.

— Och! — krzyknęłam mimowolnie.

— Grace! — zawołał ktoś za moimi plecami. Podskoczyłam: to był Brian.

Mama zabelkotała coś niezrozumiale i chłopak, który trzymał jej głowę, powiedział:

— Jeszcze chwila, Eileen. Spłuczemy odżywkę i gotowe. Tato, podaj szybko ręcznik!

Brian uprzejmie wyminął mnie i podał ręcznik synowi, który delikatnie owinął nim głowę mamy, pomógł jej się wyprostować i podprowadził do stołu. Drugi młodzian natychmiast zrobił jej miejsce.

— Co u ciebie, Grace? — zapytał Brian.

Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Przyglądałam się uważnie jego twarzy, szukając śladu, sama nie wiem, zakłopotania? Chęci wyjaśnienia? Obdarzył mnie otwartym, niewinnym uśmiechem.

— Wszystko w porządku — odparłam, a potem nie mogłam się powstrzymać, żeby nie dodać znacząco:

— A tutaj co się wyprawia?

Mama, która promieniała otoczona męską uwagą, zaczęła trajkotać:

— Zgadnij, jakiego wolontariusza przysłali mi z hospicjum? Briana! Możesz w to uwierzyć? A to jego synowie. Daniel — tu głową wskazała kościstego chłopaka

— jest fryzjerem, a to David. — Nachyliła się i wzięła przystojnego za rękę. — Studiuje muzykę. I wiesz co, Grace? Organizujemy pokaz mody, żeby zebrać pienią-

dze na hospicjum, i będę modelką. Och, i ufarbowałam się na blond! Jak wyglądam? Jeszcze się nie widziałam i już nie mogę się doczekać!

— Wyglądasz wspaniale, Eileen — powiedział Brian i zanim zdążyłam skomentować wilgotne żółte pasemka w splątanych włosach mamy, które jako żywo przypominały robaki, zapytał: — Nastawię czajnik, dobrze? Czego się napijesz, Grace, herbaty czy kawy?

To mi się przydarzało po raz drugi, odkąd dowiedziałam się o chorobie mamy. Kiedy wyjechałam, żeby poukładać myśli, i wróciłam w przekonaniu, że wszystko mam uporządkowane, okazało się, że:

- a) moje wysiłki są ignorowane,
- b) mama paraduje w niekompletnym stroju,
- c) Brian zachowuje się jak u siebie.

Według mojej ulubionej definicji szaleństwo polega na tym, że człowiek raz po raz robi to samo, ale oczekuje innych rezultatów. Co oznaczało, że mama i jej przyjaciel Brian dosłownie doprowadzają mnie do szaleństwa.

Jedynym sposobem na odzyskanie przynajmniej częściowej kontroli było zakończenie tej sytuacji w inny sposób niż poprzednio. Choć szczerze pragnęłam z krzykiem wybiec z domu, nie zrobiłam tego.

— Proszę kawę, Brian — powiedziałam. Widząc, jak odkręca słoik nescafe, dodałam: — Świeżą kawę.

— Ale ja nie wiem, gdzie jest.

— Nie wiesz? — zapytałam.

Chłopak, którego mama nazywała Danielem, włączył suszarkę, więc musiałam poprosić Briana, żeby powtórzył to, co powiedział. Żałowałam, że to zrobiłam.

— Mówiłem, że jest mi przykro, jeśli przekroczyłem jakieś granice, Grace. — Gestem dał mi znać, żebym z kuchni wyszła do holu. — Kiedy Angela umarła, chłop-

cy byli mali i wszyscy trzej kompletnie się zagubiliśmy. Dużo czasu spędzaliśmy u przyjaciół, do nas też ciągle ktoś przychodził. W pewnym sensie nauczyliśmy się czuć wszędzie jak u siebie i... no cóż, czasami zapominamy o dobrych manierach. Przepraszam, jeśli teraz tak się stało.

Wiedziałam, że powinnam zachować się uprzejmie i w ten serdeczny, pokorny irlandzki sposób mamy zapewnić, że nie ma za co przepraszać, nie mogłam jednak odłożyć na bok własnych potrzeb, wydawały się zbyt wielkie, za bardzo ignorowane.

— Dziękuję za szczerość, Brian, ale na pewno rozumiesz, że to bardzo trudny okres dla mnie i mamy i prawdę mówiąc, potrzebujemy czasu tylko dla siebie.

— Oczywiście — odparł. Nie zdążyłam nic dodać, bo wrócił do kuchni, otworzył lodówkę i triumfalnie zawołał: — Świeża kawa!

Mama siedziała przy stole z chłopcami. Zapytała przystojnego Davida, czy ma dziewczynę, a on zalotnie się roześmiał. Poczułam ukłucie rozdrażnionej zazdrości i przez głowę przeszła mi okrutna myśl, czy ten chłopak sobie wyobraża, że znalazł nową matkę.

Mama wobec nieznajomych zachowywała się serdecznie, sprawiała, że ludzie czuli się w jej towarzystwie swobodnie. Widywałam taksówkarzy, którzy po długim kursie wysiadali, żeby ją uściskać. Była bardzo sympatyczna, emanowała mieszaniną niewinności i dojrzałości, dzięki której ludzie czuli się przy niej bezpiecznie, a równocześnie budziła w nich instynkty opiekuńcze. To była rewelacyjna cecha, przez lata działała na moją korzyść, bo intensywne życie towarzyskie i szeroki krąg przyjaciół mamy sprawiały, że nigdy nie odczuwałam rodzicielskiej zależności, którą widywałam u innych jedynaków, zwłaszcza-

cza wychowywanych przez samotnych rodziców. Teraz dostrzegałam, że obaj chłopcy są tak samo zauroczeni jak ich ojciec, i zdawałam sobie sprawę, że „czas dla siebie”, o którym mówiłam Brianowi, w sposób aż nazbyt oczywisty jest niepotrzebny. Mama zdobywała nowych przyjaciół akurat wtedy, kiedy powinnyśmy zacieśniać nasze relacje. Bez wątpienia próbowała oderwać w ten sposób myśli od choroby, aczkolwiek egoistycznie odbierałam to tak, jakby próbowała oderwać się ode mnie.

Pozwoliłam Brianowi zaparzyć kawę i poszłam z nim do ogrodu, podczas gdy Daniel kończył układać mamie włosy.

— Sypiasz z moją matką?

Sprawił wrażenie zszokowanego, potem szeroko się uśmiechnął i powiedział:

— Przecież to nie twoja sprawa.

Poczułam się tak, jakby ostatnia cząstka kontroli, którą w ciągu minionych kilku tygodni jeszcze nad swoim życiem zachowałam, teraz rozplynęła się w powietrzu. Twarz mi się ściągnęła i dołożyłam wszelkich starań, by nie stracić resztek godności.

Brian to dostrzegł i pośpiesznie dodał:

— Nie, nie sypiam z twoją matką.

— To dobrze. — Zebrałam amunicję i wystrzeliłam, nim zdążył zmienić zdanie. — Bo ona jest ciężko chora i myślę, że byłoby rzeczą... cóż, niestosowną, gdyby teraz zaangażowała się w jakiś związek.

— Rozumiem — odparł, zaraz jednak dodał: — Właściwie to nie bardzo.

Z uśmiechem napił się kawy, przyglądając mi się znad filiżanki. Z przestraczem dostrzegłam, że ma takie same głęboko osadzone i błyszczące oczy jak telewizyjny ogrodnik, w którym głupio się durzyłam. A potem z jesz-

cze większym przestachem uświadomiłam sobie, że ze mną flirtuje. Co za tupet! Rzecz zupełnie nie na miejscu, a jednak dziwnie ekscytująca.

Obrzuciłam go miazdzącym spojrzeniem, ale nie zrobiło na nim żadnego wrażenia, co było irytujące, choć także pochlebne.

— Hej!

Fryzjer ukłonił się i przedstawił nam „nową Eileen”. Musiałam przyznać, że nikt dotąd tak dobrze jej nie ostrzygł. Wyglądała świetnie w jasnych, ładnie wycie-niowanych włosach.

— Wyglądasz fantastycznie, mamó, powinnaś była zrobić to dawno temu.

Skrzywiłam się na to własne faux pas, choć mama nawet go nie zauważyła, taka była zajęta flirtowaniem z trzema mężczyznami. A potem zapytała, czy mają ochotę zostać na grilla.

— Grace wpadnie do Tesco po steki i sałatkę, dobrze, skarbie?
Zapowiadało się długie popołudnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Grace miała dwadzieścia trzy lata, kiedy opuściła dom. Obie wiedziałyśmy, że to najwyższa pora, ale ta świadomość wcale sprawy nie ułatwiła.

Większość jej przyjaciół wybrała uczelnie w innych miastach, Grace natomiast zdecydowała się studiować w Londynie, więc pozostanie w domu miało sens. Niewykluczone też, że zrobiła to dlatego, żeby nie wyjeżdżać. Nie byliśmy do końca pewne, który z tych powodów jest prawdziwy, ale obie tak się zachowywałyśmy, jakby chodziło o ten pierwszy.

Kiedy Grace zdała maturę, zlikwidowałam wszystkie ograniczenia czasowe, przez co moja osiemnastolatka mogła wychodzić i wracać, jak się jej podobało. Inna nastolatka może by i nadużyła wolności, ale Grace zawsze dokładnie mnie informowała, gdzie jest i z kim; tę cechę przypisywałam swojemu zwyczajowi zostawiania szczegółowych notatek. W kilka tygodni po rozpoczęciu studiów Grace wieczorami i w weekendy pracowała jako kelnerka w winiarni i właściwie sama się utrzymywała. Na nowo urządziła swój pokój, kupowała sobie jedzenie i zapraszała do domu przyjaciół uprzejmych i porządnym. Kiedy Grace dorastała, jej staranność i dojrzałość

często zbijały mnie z tropu. Koleżanki narzekały na rozbrykanych nastolatków, a ja zastanawiałam się, z jakich to nienaturalnych powodów moja córka jest taka rozsądna. Ciężko pracowałam, żeby zapewnić jej beztrioskie dzieciństwo, ale poczucie odpowiedzialności Grace wcale nie sprawiało mi ulgi, wręcz przeciwnie, odnosiłam wrażenie, że poniosłam klęskę.

Niedługo po rozpoczęciu przez nią studiów wróciłam któregoś dnia z pracy i zszokowana odkryłam, że Grace kupiła nowy telewizor do salonu. Miała dopiero dziewiętnaście lat i wydawało mi się rzeczą niewłaściwą, że robi takie zakupy. W salonie obcy młody mężczyzna instalował wielki telewizor i odtwarzacz wideo.

— To jest Dave, mamó. — Grace wyszła z kuchni z dwiema filiżankami herbaty. — Studiuje ze mną i na pół etatu pracuje w Vision TV, więc dostałam rewelacyjny rabat!

Widziałam wyraźnie, że córka jest podekscytowana nabytkiem, a może też Dave'em, ale byłam zła, nie z powodu chłopaka, tylko jej arogancji.

— My już mamy telewizor — powiedziałam.

— Ale pomyślałam, że przyda się nowy.

— Nasz jest w doskonałym stanie — odparłam, uśmiechając się do Dave'a, żeby nie pomyślał, że jestem skąpa. — I prawdę mówiąc, zamówiłam odtwarzacz w Bailey Newton.

Kłamałam, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli będę żyła według dyktatu córki, choćby i miała najlepsze intencje. Skonsternowana Grace poczuła się dotknięta moją reakcją, co z kolei mnie zabolowało, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Przeniosła telewizor i odtwarzacz do pokoju gościnnego, gdzie wstawiła także futon. Obie zapomnieliśmy o sprzeczce i kupno telewizora zapoczą-

kowało powstanie pokoju wypoczynkowego, w którym Grace przyjmowała chłopaków i cieszyła się niezależnym studenckim życiem.

Staralam się, by w domu było miło i przytulnie, bo pragnęłam, żeby Grace została ze mną trochę dłużej. To z mojej strony był egoizm, ale nie chciałam, żeby się wyprowadzała, bo wówczas zostałabym sama. Nie miałam męża, na którym mogłam się oprzeć, miałam tylko ją. Z tego powodu nie myślałam o tym, z czego sama rezygnuję, zatrzymując ją przy sobie. Dopiero kiedy rzeczywiście się wyprowadziła, obejrzałam się wstecz i ze smutkiem żałowałam, że po czterdziestce tak mało korzystałam z życia, że odrzuciłam wszystkie propozycje szalonych nocy wypełnionych pijaną namiętnością, że nie zostałam na kolejny miesiąc w Hiszpanii, żeby palić trawkę z tym przystojnym młodym kelnerem z hotelowego baru. Dopóki jednak Grace mieszkała ze mną, czułam, że muszę reprezentować konwencjonalne zalety matki. Szacunek otoczenia, odpowiedzialność, stabilizacja.

Kiedy Grace wreszcie dostała pierwszą pracę w szkole podstawowej w południowym Londynie, wynajęła mieszkanie w tej okolicy i ostatecznie się wyprowadziła. Byłam załamana.

— Jaki sens płacić czynsz, skoro możesz mieszkać tutaj?

Wiedziałam, że się martwi, zostawiając mnie samą, i ta świadomość dręczyła mnie bardziej niż samotność.

Dzień, w którym się wyprowadziła, był sam w sobie objawieniem. Grace i jej przyjaciel Dave władowali rzeczy do furgonetki i o czwartej odjechali. Pocałowała mnie na pożegnanie i z czułością zapytała:

— Dasz sobie radę, mamó? Zjeżyłam się.

— Jasne, że tak. Nie bądź niemądra, jedźcie już. Poszłam na piętro i położyłam się na pojedynczym

łożku, w którym moja córka spała przez całe swoje życie. Materac był goły, ale wciąż przesiąknięty jej zapachem. Rozpłakałam się.

O szóstej ktoś zadzwonił do drzwi. Nie miałam zamiaru otwierać, choć przestraszyłam się trochę, kiedy przez otwór na listy dobiegł głos Geoffa:

— Puk, puk, to tylko ja!

Geoff był jednym z moich najbliższych przyjaciół, ale do tej pory tylko raz odwiedził mnie w domu — wpadł na filiżankę kawy, kiedy wracaliśmy z centrum ogrodniczego. Zwykle to ja chodziłam do niego. Geoff i jego partner Barry byli fantastycznymi gospodarzami, przez lata korzystałam z ich gościnności, pijąc, jedząc i śmiejąc się z nimi do późna w noc.

— Nie ma jej? — zapytał dramatycznie, kiedy doprowadziłam się do porządku i otworzyłam drzwi.

— Kogo?

— Twojej córki Grace!

— No tak, wyprowadziła się dzisiaj po...

— Wspaniale — oznajmił. Spod płaszcza wyciągnął dwie butelki wina musującego i wszedł do holu. — W takim razie możemy zaczynać imprezę!

Za nim przyjechała Sangeeta, a jej mąż lekarz uprzejmie wyjmował półmiski z jedzeniem z bagażnika. Niedługo potem pojawili się Florrie, Sharon, partner Geoffa Barry i kilka innych osób z Bailey Newton, które lubiłam. Przyjaciele opanowali mój dom, włożyli butelki do prawie pustej lodówki, rzucili płaszcze na zbędne teraz łóżko Grace, ustawili kasety z muzyką koło sportowej koszulki, którą zapomniała spakować.

O dziesiątej mój dom huczał od muzyki i śmiechu.

— Teraz będziesz samotna — powiedziała Sangeeta, ściskając mnie.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiliście. Taka niespodzianka — odparłam.

— Skarbie, prawdziwą niespodzianką jest to, że pozwalałaś tej swojej nudnej córce rządzić w kurniku przez ostatnie dziesięć lat, zamiast się bawić! — oznajmił wstawiony Geoff.

— Geoffrey!

Ale upomniała go Sangeeta, nie ja.

Przy wsparciu przyjaciół w końcu pogodziłam się z odejściem Grace, bo byłam pewna, że mam własne życie. Przedemną rozpościerały się lata wolności. Uwolniona od obowiązków, zaczęłam koncentrować się na sobie. Dzięki przyjaciółkom zaczęłam ustalać, co mi się podoba (lipfinity lipstick od Maxa Factora, chardonnay, indyjskie jedzenie, paszmina, mężczyźni o staroświeckich manierach), a czego nie cierpię (wodoodporny tusz do rzęs, pizza, rasistowskie przekonania, buty na platformach, byli mężowie). Za pomocą tych mniej i bardziej ważnych szczegółów wykuwałam osobowość kobiety, która nie tylko jest lubiana przez otoczenie, ale lubi samą siebie. Kobietę w średnim wieku, sympatyczną, liberalną i miłą, wciąż całkiem dobrze zachowaną, może nie idealnie wypielegnowaną, ale przynajmniej wkładającą wysiłek w swój wygląd. Czasami było mi smutno, że upływające lata wyssały ze mnie pewność siebie, zamiast uczynić mnie silniejszą. Łapałam się na tym, że ciągle wymuszam komplementy od przyjaciółek: „Masz śliczne włosy, Eileen”, „Ta torebka świetnie pasuje do butów”, „Poduszek nie jest za dużo, twój salon urządzone jest doskonale, masz naprawdę dobry gust!”.

Zawsze domagałam się aprobaty od Grace, ale ona odpowiadała, żebym była „bardziej pewna siebie”, jakby pewność siebie można było kupić w sklepie. Generalnie jednak uważałam, że lepiej być taką jak ja, mieć w sobie odrobinę pokory. Nie potrafiłam znieść tych zadowolonych z siebie kobiet z pięknie ułożonymi włosami i przystrzyżonymi trawnikami, które przechwalały się dziećmi, cudownymi mężami i letnimi domami w Hiszpanii. Ludzie mnie lubili, bo nie byłam doskonała, a ja lubiłam być lubianą.

Przez kilka lat należałam do Klubu Pierwszych Żon z Bailey Newton. Byłyśmy paczką rozwiedzionych albo żyjących w separacji z mężami „dziewczyn”, które co tydzień składały się po pięć funtów, żeby raz na miesiąc spotkać się u jednej z członkiń przy winie i jedzeniu na wynos. Niekiedy bywało hałaśliwie, zwłaszcza jeśli przychodziła Sharon z działu wyrobów pończosznicznych (miała niewyparzoną buzię) albo Florrie, która ze zmiennym powodzeniem zawsze próbowała nas namawiać, żebyśmy poszły na tańce. Najczęściej jednak po prostu siedziałyśmy i dobrze się bawiłyśmy. Czasami pojawiały się świeże opowieści o nowych rodzinach naszych mężów albo wciąż trwających procesach rozwodowych. Często gadałyśmy o nowych chłopakach albo interesujących plotkach z pracy, ale w gruncie rzeczy to była okazja, żebyśmy mogły wyrzucić wszystko, co leżało nam na sercu, i wypić kilka drinków bez ryzyka, że w miejscu publicznym wystawimy się na pośmiewisko.

Po wyprowadzce Grace ja też zaczęłam urządzać te spotkania u siebie. Mając w perspektywie gości, na których chciałam zrobić wrażenie, odkryłam zupełnie nowe zainteresowanie domem. Udekorowałam go egzotycznymi poduchami, narzutami i zapachowymi świecami.

Przekonałam się, że jestem urodzoną gospodynią i bardzo lubię ozdabiać serem krakersy, które szybko stały się legendarne. Komentarze w rodzaju: „Eileen, nie wiem, co dodałaś do tych kanapek z szynką, ale są po prostu boskie!” i „Te papierowe serwetki są rewelacyjne, gdzie je dostałaś?” sprawiały mi nieuzasadnioną przyjemność. Może powodem było to, że na początku małżeństwa, kiedy powinnam była urządzać prozzone kolacje, zmagalam się z kłopotami i teraz drobiazgi w rodzaju dobierania serwetek do obrusów wydawały mi się luksusem. Wszystkie dziewczyny się zgadzały, że u mnie spotkania klubu są najlepsze. A ja, mając wokół siebie zaufane przyjaciółki, odkryłam, jak wiele warta jest otwartość. Kiedy po raz pierwszy opowiedziałam o tym, jak John mnie maltretował, pojęłam, że fakt bicia nie jest żadnym wielkim sekretem wartym ukrywania. Kobiety chórem wykrzykiwały: „A to drań!”, co dodało mi odwagi, żeby zwierzyć się z trwającego dziesięć lat romansu z księdzem Frankiem; siedziały wtedy i wręcz spijały moje słowa. Widząc, jakie zainteresowanie wywołują moje historie, zaczynałam rozumieć, że moje dotychczasowe życie wcale nie było takie nudne ani tak tragiczne, jak zawsze sądziłam. Dobrze było mówieniem rozładowywać napięcia z przeszłości, śmiechem łagodzić smutne wspomnienia.

Ale najważniejszy szczegół z mojego życia pozostał w ukryciu. Wciąż nie byłam w stanie opowiedzieć o Michaelu. A potem Melissa z punktu realizacji listy ślubnych prezentów rozwiodła się, wstąpiła do Klubu Pierwszych Zon i zmusiła mnie do stawienia czoła przeszłości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Nigdy nie czułam się bardziej samotna niż podczas tych kilku tygodni po zdiagnozowaniu u mamy śmiertelnej choroby. Eileen zaczęła się otaczać ciągle rosnącym kręgiem starych przyjaciół i nowych wielbicieli. Jakby obdzwoniła wszystkich znajomych i powiedziała: „Hej, wspaniała nowina: mam raka i urządzam imprezę! Och, i przyprowadź przyjaciela!”.

Prawie co wieczór wychodziła do irlandzkich klubów w Kilburn z koleżankami z pracy, Sharon i Florrie. Geoff i Barry przyjechali na tydzień z Bath, dokąd niedawno się przeprowadzili, i dosłownie zmienili cały wystrój domu mamy, wzruszająco (i okazując tym brak wrażliwości, tak wtedy myślałam) sadząc nowe rośliny w donicach na patio, choć mama raczej nie zobaczy, jak w przyszłym roku będą rozkwitać.

Kiedy Geoff wyjeżdżał, wzięłam go na bok, żeby podał mi adres Sangeety w Indiach. Chciałam do niej zadzwonić i powiedzieć jej o mamie.

— Tak się cieszę, że tu przyjechaliśmy — rzekł ze łzami w oczach. — Potrzebny nam był czas spędzony z Eileen, dawno jej nie widzieliśmy.

Miałam ochotę mu odpowiedzieć: „Masz szczęście, ty draniu. Ja przez ostatni miesiąc prawie jej nie widziałam”.

Mogłam zrozumieć, dlaczego mama spotyka się z dawnymi przyjaciółmi, a moją obecność mniej lub bardziej bierze za pewnik, ale mocno zabolął mnie czas, który spędziła z Brianem i jego synami, organizując pokaz mody. Byłam rozgoryczona, że tak wiele serca wkłada w tę nową przyjaźń i poświęca się ich projektowi kosztem relacji ze mną.

Wzięłam urlop od swojego życia i pracy, żeby być z nią, ale ona w swoim życiu nie zrobiła dla mnie miejsca. Mogłam tylko wlec się z tyłu jako pomocnik w jej gorączkowych działaniach. Stałam się taksówkarzem wożącym ją na spotkania towarzyskie, parzyłam herbatę i kupowałam ciastka dla niewyczerpanego strumienia gości, służyłam jako znawczyni mody, gdy zastanawiała się nad nowym wyglądem, który dał jej Daniel. Pilnowałam, żeby brała leki, zrządziłam na temat picia i palenia (dwa fatalne nałogi, w które z rozkoszą wpadła), gotowałam dla niej zdrowe posiłki, których nie chciała jeść, próbowałam ją przekonać, żeby brała witaminy i wcześniej kładła się spać. Stałam się matką krnąbrnej nastolatki, która myślała, że jest ode mnie mądrzejsza. Byłoby to klasyczne odwrócenie ról, gdybym w młodości nie była taką nudną, pozbawioną skazy nastolatką. Zawsze się bałam, że taka dynamika między nami istnieje, ale bliska śmierć dodała mamie odwagi, żeby wreszcie wprowadzić ją w czyn.

Nie raz musiałam wstawać z łóżka, schodzić na dół i prosić mamę i jej przyjaciół, żeby tak nie hałasowali. Cieszyłam się, że mama dobrze się bawi, a równocześnie fakt ten mnie przygnębiał. Moje poczucie humoru poszło na urlop i nie powiedziało, kiedy wróci. Co gorsza, na-

mówiło do wyjazdu także moją samoświadomość, więc kiedy próbowałam medytować, nie udawało mi się sięgać do samego jądra mojej istoty i odnajdywać tego, czego szukałam; zamiast tego trafiałam w próżnię, co nieodmiennie kończyło się wnioskiem, że najbardziej teraz potrzebuję filiżanki herbaty i połowy opakowania czekoladowych herbatników. To nie była prawda, w rzeczywistości czułam, że potrzebna mi butelka whisky i ostry seks z nieznanym. Gdyby mama postanowiła spędzić ostatnie miesiące na cichych rozmyślaniach, mogłabym się na to zdecydować, ale jedna z nas musiała zachować rozsądek. Tak czy owak, gdyby wybrała kontemplacyjną, godną drogę, ja bez wątpienia bardziej skupiłabym się na sobie i byłabym w stanie obu nam skuteczniej pomóc. Miałam wrażenie, że do istniejącej sytuacji jestem niedostatecznie przygotowana, i byłam sfrustrowana rolą statystki w jej towarzyskim chaosie, jak sekretarka wykorzystywana przez szefa z monstrualnymi wymaganiami. Generalnie rzecz biorąc, Eileen najwyraźniej przestała się przejmować, co inni o niej myślą. Po raz pierwszy w życiu czułam jej prawdziwą władzę nade mną i nie byłam w stanie bronić swojego zdania. Chociaż pewnie lepiej by mi to wychodziło, gdyby grunt pod moimi stopami nie był taki grząski. Mama zwariowała, przesadzała, a ja wyczuwałam strach w jej uporze, by się nie zatrzymywać. Z drugiej strony wydawała się pewna swoich działań — a ja nie. Nie wiedziałam, czy zostać na miejscu, czy biec za nią, by spędzić tyle czasu razem, ile się da, czy raczej wyjechać na weekendowe warsztaty radzenia sobie z żałobą. Ten brak zdecydowania bardzo mnie niepokoił, ponieważ naturalnie lubiłam zawsze mieć rację. Świadomość bliskiej śmierci mamie coś dawała, ze mnie natomiast wysysała siły.

Cztery dni przed pokazem mody mama postanowiła, że urządzi grilla dla komitetu organizacyjnego.

— Ile to będzie kiełbasek, mamó? — zapytałam, usiłując złagodzić sarkazm poczuciem humoru.

Zamknęła oczy i bezgłośnie wyszeptała kilka nazwisk. Zajęło jej to sporo czasu i w końcu straciłam cierpliwość.

— Mamó, mów...

— Zastanawiam się. Pięć kiełbasek na głowę, nie licząc wegetarian, czyli w sumie jakieś dwieście...

— Chryste, mamó...

Uniosła brwi buntowniczo i uśmiechnęła się. *Touché*. Jedna bierna agresywna kalkulacja przeciwko drugiej.

— Z ilu osób składa się ten cholerny komitet?

— Z nas czworo...

„My” to teraz był Brian, ona i chłopcy.

— ...ale chcemy... Och, znowu „my”.

— ...zaprosić niektóre modelki. Teraz ja uniosłam brwi.

— Z mężami. Wspomniałam o grillu dziewczętom... Chwyciłam się za głowę.

— Dajże spokój, Grace... będzie świetna zabawa! Eileen tego pragnęła, ale ja nie mogłam znieść myśli

o tym. Chciałam, żeby przez ostatnie miesiące życia robiła to, na czym jej zależy. W rzeczywistości jednak pragnęłam, by spędziła ten czas ze mną, wyczyniając szaleństwa w rodzaju przejażdżki po Paryżu w sportowym samochodzie, a nie kupując zamrożone kiełbaski i sałatkę ziemniaczaną oraz zastanawiając się nad papierowymi serwetkami. Gdybym nie miała wcześniejszych doświadczeń z domowymi przyjęciami mamy, pewnie uznałabym to za dobry pomysł, okazję do pożegnania się z przyjaciółmi,

coś w rodzaju pogrzebu za życia. Potencjalnie to mogło być urocze, wzruszające, dodające otuchy doświadczenie.

Ale ja znałam swoją matkę. Niemal co roku urządzała wielkie przyjęcie, zapraszała wszystkich znajomych i paru nieznajomych, a potem na kilka tygodni wcześniej o mało nie doprowadzała się do załamania nerwowego. Obsesyjnie przeglądała książki kucharskie, szukając nowych pomysłów, by w końcu zdecydować się na swoje ulubione dania: „twórcze krakersy z serem”, niezwykle kombinacje składników na koktajlowych pałeczkach oraz wiadra sałatek z ziemniaków i makaronu, aż kapiące od węglowodanów, które miesiącami po przyjęciu tkwiły w lodówce. Na sznurze wisały papierowe chorągiewki, nieodmiennie zajmujące się ogniem od jednej z tysięcy świec zapachowych, zapalonych przez mamę na wiele godzin przed przyjściem gości, w rezultacie czego w domu unosił się zapach burdelu, kiedy wreszcie się pojawiali.

O siódmej, na godzinę przed umówioną porą, mama zalewała się łzami i przepowiadała, że nikt nie przyjdzie

1 wieczór będzie zrujnowany. Kiedy ludzie zaczęli pukać do drzwi, gorączkowo zapędzała ich do kuchni, zmuszała do jedzenia i szukała na ich twarzach objawów aprobaty.

Przez tydzień leżała w łóżku, dochodząc do siebie po całym tym stresie, i przysięgała: „Nigdy więcej”. Do następnego roku.

Tym razem następnego roku miało nie być, więc powiedziałam:

— Mamo, może pozwolisz, żebym ja zorganizowała to przyjęcie?

Zamiast jak zwykle odpowiedzieć: „Nie, Grace, w żadnym razie nie mogę tego na ciebie zrzucić”, co

w rzeczywistości znaczyło: „Spadaj, niepotrzebne mi te twoje wymyślne małe bruschetty z suszonymi na słońcu pomidorami, wolę talerz serów”, mama wykrzyknęła:

— Byłoby cudownie, Grace! Bardzo ci dziękuję!

Jej słowa zrozumiałam tak: „Lista zaproszonych już wymknęła się spod kontroli, za wiele na siebie wzięłam i teraz to twoja sprawa”. Okrutna opinia, ale niestety potwierdziły ją przygotowania do przyjęcia, a potem samo przyjęcie.

Modelki, o których mówiła mama, były pacjentkami w trakcie terapii albo remisji. Kilka miało specjalne wymagania dotyczące diety i dzwoniły do mnie, żeby mi o tym powiedzieć. Przez parę dni mój telefon komórkowy właściwie nie milkł.

— Mówi Larry Fink. Dzwonię, żeby powiedzieć, że Marjorie nie może jeść czerwonego mięsa, drobiu ani ryb.

— Więc jest wegetarianką.

— Nie, bo może jeść tofu.

— Tofu nie jest mięsem, to roślina.

— Naprawdę?

Moja bransoletka z amuletami wpadła do sosu pesto, który mieszałam jedną ręką.

— Zapiszę to, Larry, teraz muszę kończyć.

Urabiałam sobie ręce po łokcie, organizując to przyjęcie na cześć życia mojej mamy; zamawiałam irlandzkie sery i prawdziwą (po sezonie) koniczynę na moje własne „twórcze serowe kanapki”, przyjmowałam dostawy rewelacyjnego francuskiego wina, kroiłam i nadziewałam na rożen papryki na wegetariański kebab, nieustannie wracałam do Tesco po dodatkowy serek mascarpone na deser, po burgery, filety z quorn, chlebki pitta bez pszenicy, a moja komórka dzwoniła — znowu — i odbierałam kolejną dziwną prośbę.

Gloria nie tolerowała laktozy, ale uwielbiała sernik. Zostało jej tylko kilka miesięcy, więc czy mogłabym zrobić specjalny deser z soją? Christine mogła jeść tylko surowe rzeczy, ale żadnych owoców! Czy mogłabym przyrządzić dla niej tacę warzyw i jej ulubione sushi, o ile to nie jest zbyt wielki kłopot.

Taka byłam zajęta gorączkowym przekształcaniem się w mamę, ozdabiając stół misą z unoszącymi się na wodzie liliami i dopasowanymi serwetkami, że właściwie nie docierało do mnie, że z tymi telefonami jest coś bardzo nie w porządku — aż do momentu, gdy mama weszła do kuchni, odłożyła słuchawkę i posłała mi przepaszający uśmiech z rodzaju „ovej”, który oznaczał, że zaraz powie mi coś nieprzyjemnego.

— Dzwonił Larry Fink. Mówił, że bardzo niegrzecznie go potraktowałam. Nie chciał do mnie dzwonić, ale uznał, że to jego obowiązek.

— Niegrzecznie? Co mówił? Co mu powiedziałam? — W końcu nie chciałam przecież denerwować człowieka, którego żona jest chora na raka.

— Przede wszystkim chodziło o twój ton.

— Mamo, mój Boże, tak mi przykro.

— Cóż, powiedział, że byłaś bardzo bezceremonialna.

Coś tu było nie w porządku.

— Bezceremonialna? W jaki sposób?

— Zachowałam się mało profesjonalnie.

— Mało profesjonalnie?

Wreszcie wszystko się wydało. Mama rozmawiała z żoną Larry'ego, Marjorie. Są bogaci, a Marjorie należy do typu przemądrzałych. Powiedziała mamie: „Dlaczego nie wynajmiesz firmy cateringowej, Eileen? Bo wiesz, nie zabierzesz pieniędzy ze sobą...”. Najwyraźniej

ton miała bardzo protekcyjny, więc mama odparła, że już zatrudniła cudowną kucharkę specjalizującą się w przyrządzaniu zdrowych organicznych potraw dla ciężko chorych.

— Co powiedziałaś?!

— A potem zadzwoniła i zapytała o numer tej kucharki. Musiałam go podać. Oczywiście wszystkim powiedziała, myślę, że chciała mnie przyłapać.

Prawie odjęło mi mowę.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Nie martwiłaś się, że coś chlapnę?

— Och, wcale nie, skarbie. Właściwie nie znam tych ludzi. Co mnie obchodzi ich opinia?

Grill nie różnił się od wcześniejszych przyjęć mamy. Były tańce, pijaństwo i zdziśiatkowany talerz z serami, goście świetnie się bawili, a gospodyni padła z wyczerpania, chowając głowę w dłoniach i powtarzając: „Nigdy więcej”. Tylko że tym razem gospodynią byłam ja, a nie Eileen, i nie trzeba było się martwić o żadne „więcej”. Wyglądało na to, że mama naprawdę dobrze się bawi, ale ja miałam wrażenie, że okazja została zmarnowana.

Wolałabym coś w rodzaju rytuału, uznania dla życia mamy. Sentymentalnej chwili, tak sądzę, w której jej dawni i nowi przyjaciele poczuliby więź ze sobą. Geoff miał powiedzieć kilka słów, ale wcześniej się upił, a ja zbyt byłam zajęta udawaniem snobistycznej organicznej kucharki, żeby mieć taką możliwość.

Pokaz mody odbył się w pozbawionym charakteru, nowoczesnym hotelu niedaleko szpitala. Pojechałam tam z Sangeetą, którą odebrałam z lotniska niecałą godzinę wcześniej, ponieważ jej lot był opóźniony. Spieszyłam się, żeby zdążyć na czas, i przez całą drogę prawie nie odzy-

walam się do biedaczki. Sangeeta była jedyną z przyjaciółek mamy, przy której nie czułam obowiązku wymieniania grzeczności. Odznaczała się wewnętrznym spokojem, który sprawiał, że czułam z nią bliskość, mimo że nie znałam jej zbyt dobrze.

Sala konferencyjna mieściła się w piwnicy bez okien; na podłodze leżały okropne dywany, a wokół prowizorycznego wybiegu stało w rzędach kilkaset niebieskich biurowych krzeseł. Na lewo od niego znajdowało się stanowisko didżeja, obsługiwane przez Davida i dwóch innych dwudziestoparolatków. David przyjacielsko do mnie pomachał, ale odpowiedziałam mało serdecznym uśmiechem. Nie chciałam wtajemniczać Sangeety w historię Briana i jego synów. Niepotrzebnie się przejmowałam, bo jak tylko usiadłyśmy, na wybiegu pojawił się Brian. Przeszedł po nim krokiem modelki, potem mnie uściskał, gest całkowicie niestosowny i przeznaczony wyłącznie dla Sangeety, z którą ciepło się przywitał zwyczajowym „wiele o tobie słyszałem”. Świr.

— Możemy pójść za kulisy do mamy? — powiedziałam tonem bardziej oznajmującym niż pytającym, wstając z krzesła.

— Lepiej nie — odparł. — Ona wolałaby, żebyście zobaczyły ją w kreacji na wybiegu, a tak niespodzianki nie będzie.

A cóż to za niespodzianka? Włosy ułożone suszarką, trochę szminki i suknia? Czy on naprawdę myśli, że nigdy wcześniej nie widziałam swojej matki wystrojonej? No nie, bezwzględnie muszę pogadać z tym facetem. Teraz miejsce i pora były nieodpowiednie, ale takie zawłaszczanie mojej mamy musi się skończyć, i to zaraz.

Sala szybko się zapępiała, rozdano programy, zwykle kartki zawierające opis strojów i sklepów, z których po-

chodziły, czyli wszystkich miejscowych butików i jednej większej sieci. Generalnie było to dość marne i ogarnęło mnie straszne przeczucie, że impreza okaże się wielką klapą. To może być najbardziej koszmarny, żenujący moment w życiu moim i mamy; jeśli tak się stanie, jeśli przez tego Briana i jego synów mama wyjdzie na idiotkę, będą musieli za to zapłacić.

Kiedy światła przygasły, zapłonęły reflektory i rozległa się muzyka, amatorszczyzna prowizorycznej sceny zniknęła i miejsce zmieniło się w prawdziwy teatr. Wyglądało na to, że David i jego kumple wiedzą, co robią. Na wybiegu stanął Brian we fraku, podziękował widzom za przyjście, po czym bez nadmiernego rozwodzenia się, ale wzruszająco mówił o hospicjum, wspominał też o żonie, choć nie zabrzmiało to łzawo. Wreszcie wygłosił krótką pochwałę „gwiazdy wieczoru, niezwyklej kobiety, bez której ten pokaz by się nie odbył, Eileen Blake”.

Byłam podekscytowana. Mama zasługiwała na takie wyróżnienie i oklaski.

Nagle światła zgasły, zagrzmiały bębny, od których zawibrowały nogi krzesła, potem Tina Turner pełnym głosem zaśpiewała „Simply the Best”. Reflektor oświetlił wybieg i zza zasłony wyszła kobieta w średnim wieku, ubrana w długą czerwoną suknię wieczorową i zakieciak. Żołądek mi się ścisnął, kiedy poznałam mamę. Dostrzegałam jej niepewność, strach, że się potknie w nowych szpilkach. Pomagała przy pokazach mody w Bailey Newton, ale zawsze od kulis. Była duszą towarzystwa, na publiczne występy brakowało jej jednak pewności siebie. Po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia przygotowań uświadomiłam sobie, że to wielki wieczór mamy. Pokaz był dla niej niezmiernie ważny i chciałam, żeby się udał. Sangeeta wzięła mnie za rękę i uścisnęła. Próbowałam się do niej

uśmiechnąć, ale byłam sparaliżowana treścią. Odetchnęłam głęboko i w myślach nakazałam mamie, żeby ruszyła z miejsca. Eileen z ręką na biodrze, kołysząc przesadnie pupą, przeszła przez wybieg. Zerwały się oklaski, kiedy na końcu w stylu Marilyn Monroe posłała widowni całusy obiema dłońmi. Stała długo, uśmiechnięta i jaśniejąca, rozkoszując się owacją, potem odwróciła się i tanecznym krokiem zniknęła za kulisami. Byłam zszokowana, choć nie jej pewnością siebie, liczną grupą ludzi, którzy przyszedli tu dla niej, ani tym, jak olśniewająco wyglądała w zrecznie ustawionych przez Davida reflektorach. Nie, wstrząsnęło mnie, jak zdrowo wyglądała, jak emanowała energią i życiem.

Po niej przez wybieg przeszło kilkanaście kobiet, w większości jej rówieśnic, choć było też parę młodszych, na których widok ścisnęło się serce. Utratę włosów po chemioterapii ukrywały pod ekscentrycznymi kapeluszami i szalami. Wszystkie łączyło jedno: buntownicza, pełna życia postawa. Na T-shircie młodej łysej dziewczyny (nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat) widniał napis „Jeszcze nie umarłam!"; wyciągnęła mamę na wybieg, żeby zatańczyć z nią do wtóru piosenki „Come On Eileen".

Rzecz nie w tym, że po raz pierwszy zobaczyłam, kim jest moja matka — ja po raz pierwszy przyjęłam to do wiadomości. Tożsamość mamy zawsze wiązała się z innymi ludźmi, z jej pozycją w społeczności i parafii, z pracą, nie decydował o niej status, ale to, ile była w stanie dać otoczeniu i jak wiele miłości i szacunku otrzymywała w zamian.

Uosobieniem tego był pokaz mody. Eileen marzyła o sportowych samochodach, pobytach w spa i zwiedzaniu świata, ale swoje najlepsze lata przeżyła jako członkini społeczności i tak też pragnęła odejść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tamtego wieczoru było nas niewiele, tylko ja, zbzikowana na punkcie imprez Florrie, Sharon i Melissa, śliczna dziewczyna mieszanej rasy z nowego punktu realizacji listy prezentów ślubnych. Melissa od niedawna była w separacji z mężem i wszystkie ją polubiłyśmy. Przyszła na kilka wcześniejszych spotkań Klubu Pierwszych Żon, zanim jeszcze jej małżeństwo definitywnie się rozpadło. Tematem przewodnim wieczoru było „Francuskie bistro”: czerwone świece w butelkach po winie, dwulitrowe butle wina, nowa taśma z piosenkami Edith Piaf i wielki talerz francuskich serów. Kazałam nawet Grace wygrzebać popielniczkę z wieżą Eiffla, którą przywiozła z wycieczki do Paryża. Nie przesadzałam, ale nakryłam stół obrusem w czerwonej kratę i jak niechętnie stwierdziła Grace, przynosząc popielniczkę, „choć raz wszystko wygląda jak trzeba”.

Kilka kobiet odwołało przyjście, ale nie wpadałam w panikę; tym ważniejsze stało się, żeby te trzy, które jednak przyjdą, dobrze się bawiły. Poza tym w małym gronie łatwiej było o intymność, której liczniejszym zgromadzeniom brakowało, bo zawsze trafiała się jakaś przyzwoitka kierująca rozmowę na bezpieczne tematy w rodzaju

drogich mebli ogrodowych i unikająca omawiania „brudnych”, jak nazywała je Florrie, pikantnych szczegółów z własnego życia. A przecież istotą Klubu Pierwszych Żon były właśnie sekrety. Miałam przeczucie, że spotkanie będzie należało do udanych, i przez trzy pierwsze godziny takie było, ale potem Melissa ni z tego, ni z owego oznajmiła:

— Jestem adoptowana.

Florrie i Sharon osuszyły już pierwszą butlę wina i nieźle się wstawily.

— Bernard z działu AGD jest adoptowany...

— Naprawdę? Zawsze myślałam, że pochodzi z East Grinstead.

— I znalazłam biologiczną matkę, ale nie wiem, czy chcę się z nią spotkać — ciągnęła Melissa.

Czułam, jak cała się spinam. Rzecz nie w tym, że nigdy wcześniej nie spotkałam osoby, która została adoptowana, znałam przecież Bernarda z działu AGD, ale Melissa należała do moich bliskich przyjaciółek, a rozmowa miała miejsce w moim domu.

Florrie i Sharon nie interesowały się sprawami odległymi od ich ulubionego tematu, czyli mężczyzn.

— On jest z East Grinstead, ale co to ma wspólnego z faktem, że jest adoptowany?

— Raz mi powiedział, że tam się urodził. Zwykle po adopcji ludzie zmieniają miejsce zamieszkania.

— Moim zdaniem czasami Bernard dość kreatywnie podchodzi do prawdy...

— Jest kreatywny także w innych dziedzinach...

— Skąd wiesz? — Głośne westchnienie. — Nie zrobiłaś tego!

Melissa sprawiała wrażenie bardziej rozdrażnionej niż zasmuconej tym, że ją ignorują. Miałam nadzieję, że

na tym sprawa się skończy, ale ona odwróciła się do mnie i zapytała:
— Eileen, jak myślisz, co powinnam zrobić? Zareagowałam tak, jak
zawsze reagowałam, kiedy

ktoś zdenerwował mnie albo obraził: uśmiechnęłam się i zmieniłam
temat.

— Masz ochotę na grzanekę z brie? — Zerwałam się od stołu i
zaczęłam grzebać w pojemniku z chlebem.

Melissa była zbyt pijana, żeby dostrzec subtelny towarzyski szczegół
jak zdenerwowanie gospodyni, i ciągnęła:

— Problem z byciem adoptowanym dzieckiem polega na tym, że nikt
tak naprawdę nie rozumie, jak to jest, oczywiście poza innymi
adoptowanymi. Wiesz, chodzi o tożsamość.

Pokiwałam głową, starając się nie słuchać. Było mi niedobrze. Jakby
ktoś walnął mnie w żołądek.

— Bo to jest tak, moi adopcyjni rodzice są czarni, więc mnie też
wychowano na czarną. To coś znaczy, no nie? Czarna kobieta
wychowana w południowym Londynie to moja tożsamość, rozumiesz?
Dobra, jestem mieszanej rasy, ale dorastałam w Brixton, nosiłam
warkoczyki i moi rodzice, którzy pochodzą z Karaibów, wymagali,
żebym się dobrze uczyła w szkole, była dla nich powodem do dumy i
dawała właściwe świadectwo swojej kulturze, swojej rasie. A potem
dowiaduję się, że moja biologiczna matka jest biała. To biała Irlandka
tak jak ty, Eileen! Pokręcona sprawa, nie?

Teraz zrobiło mi się słabo. W głowie mi wirowało, w myślach
zapanował zamęt. Czy ta dziewczyna oskarża mnie, że jestem jej
matką? Nie, to niemożliwe. Ja miałam syna, a Melissa jest Mulatką. To
nie moje dziecko, nie o tym mówi.

— Masz ochotę na kromkę...

— Więc mój ojciec był czarny, ale to nie to samo, prawda? Wiesz, nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale odkąd skończyłam trzydzieści lat, nie mogę przestać o tym myśleć. Do tego stopnia działa na ciebie wiedza, że cię adoptowano.

— Wiesz co? Ja chętnie zjem. Florrie? Sharon? Co powiecie na grzankę z brie?

Melissa potarła swoją śliczną kawową twarz w geście rozpacz.

— Wprawiam cię w zakłopotanie, Eileen. Przepraszam...

— Nie, nie, Melisso, ja naprawdę...

— Przykro mi, Eileen. Trochę się wstawiłam i zepsułam atmosferę. Przestanę o tym mówić, a ciebie proszę, żebyś zamówiła mi taksówkę, dobrze?

Kiedy dwadzieścia minut później taksówka przyjechała, dwie rozchichotane starsze kobiety wsiadły pierwsze. Melissa powiedziała do mnie:

— Wcale mi się nie chce iść na tańce z tymi wariatkami, ale chyba nie mam innego wyjścia...

Poczułam się źle. Wiedziałam, że najchętniej by została, żeby mi się zwierzyć. Instynktownie raczej niż świadomie odparłam:

— Zostań na kawie, one nawet się nie zorientują, że cię nie ma.

Przez kilka minut plotkowałyśmy o tamtych dwóch, potem Melissa powiedziała:

— Przykro mi, że przedtem wspomniałam o adopcji. Tylko że...

— Kiedy miałam dziewiętnaście lat, oddałam dziecko do adopcji.

Słowa po prostu wyszły z moich ust. Melissa wyglądała na zaskoczoną, ale nic mnie to nie obchodziło. Po tym

pierwszym zdaniu, najtrudniejszej i najwyższej przeszkodzie do przeskoczenia, następne posypały się jak grad. Słowa, o których nie ośmielałam się myśleć, bo były zbyt twarde, zbyt ostre, w mówieniu łagodniały. Ulga towarzysząca zwierzeniu skłoniła mnie do wyrzucenia z siebie wszystkiego: opisywałam zapomniane szczegóły z jego narodzin, jego cudowny zapach, niewinne łyzy towarzyszące rozstaniu, niesprawiedliwość zmieniających się czasów, przez co zanim mój syn skończył dziesięć lat, wiedziałam, że mogłam go była zatrzymać. Zaczęłam płakać, gdy w swej opowieści dotarłam do najbliższej przeszłości, do lat, kiedy wreszcie powinnam była o nim zapomnieć, a nagle zobaczyłam, kim mógł się dla mnie stać. Przypominał mi o tym syn przyjaciółki kończący studia, młody sąsiad pomagający matce wsiąść do samochodu.

— Chcę ci coś pokazać.

Poszłam na piętro po małe pudełko na biżuterię, które zawierało jego szpitalną bransoletkę identyfikacyjną i metrykę urodzenia. Ukryłam je za szufladą w mojej toalecie. Od lat do niego nie zaglądałam, od czasu narodzin Grace, ale wiedziałam, że tam jest. Wróciłam na dół i podałam je Melissie.

— To jest rzecz, której najbardziej żałuję, choć nauczyłam się z tym żyć. — Mówiąc to, uświadomiłam sobie, że wcale nie nauczyłam się żyć z myślą o adopcji Michaela. Nauczyłam się zapominać, a teraz rozumiałam, że to nie to samo. — Mówię ci o tym, bo chcę, żebyś wiedziała, co mogła przeżywać twoja mama. Wtedy były zupełnie inne czasy.

Melissa uśmiechała się przez łyzy. Wstała i serdecznie mnie uścisnęła. Myślę, że obie doskonale zdawałyśmy sobie sprawę, że opowiedziałam o Michaelu nie po to, żeby pomóc Melissie, ale zrzucić ciężar z serca.

Tamtej nocy nie spałam.

Nawiedzały mnie duchy; przez lata chowałam na dnie serca miłość do Michaela w zamkniętej przegródce, a wyznanie prawdy otworzyło ją, uwalniając niewysłowny żal i wstyd. Obsesja skrywana przez całe dorosłe życie wciąż istniała.

Gdzie jest teraz? Jak wygląda? Kim są jego rodzice? Jak go nazywają? Zgasiłam światło i położyłam się, ale w mojej głowie krążyły pytania, obrazy pozbawionego twarzy niemowlęcia, chłopca, mężczyzny. Moja miłość do Michaela rosła razem z nim, tylko że nie wiedziałam, gdzie jest, jak wygląda, żyje czy umarł.

Rano nie byłam w stanie pójść do pracy, więc zadzwoniłam i powiedziałam, że jestem chora. Oglądałam telewizję, przeskakując z kanału na kanał, jeśli prezenterzy wiadomości, eksperci od ogrodnictwa i aktorzy z mydlanych oper stawali się moim synem. Na koniec dnia wiedziałam, że będę musiała znaleźć sposób na stłumienie tych uczuć, w przeciwnym razie oszaleję. Sangeeta wpadła w drodze z pracy do domu, żeby sprawdzić, jak się czuję, i podzielić się ze mną najświeższymi plotkami.

— Mój Boże, Eileen, wyglądasz okropnie. Straciłam całą dotychczasową zdolność do ukrywania uczuć. Czuję się bezbronna i krucha, na widok mojej dobrej przyjaciółki zaniósłam się szlochem.

Opowiedziałam Sangeecie wszystko, nie mogłam się powstrzymać. Ścisnęła moją dłoń na znak, że mnie nie osądza. Świetnie rozumiała, jak to jest, kiedy człowiek coś poświęca.

— Co powinnam zrobić, Sangeeto? Tracę rozum.

— Może powinnaś spróbować go odszukać?

— Nie.

Powiedziałam to tak gwałtownie i tak zdecydowanie, że samą siebie wstrząsnęłam. Mówiąc to jedno słowo w czasie krótszym od sekundy, czułam całkowitą pewność. Nie chodziło o to, że postąpiłam słusznie, oddając syna, że mogłabym znowu ukryć miłość do niego w pustej jaskini w moim sercu, ale po prostu o to, że w żaden sposób nie mogę zmienić przeszłości. Przeżył swoje życie z inną rodziną, złą albo dobrą. To, że nie stanowiłam części jego życia, było krzyżem, który ja musiałam nieść, nie on.

W następnych tygodniach dowiedziałam się od Melissy, że odnalazła matkę poprzez Catholic Society, organizację, która załatwiała także adopcję Michaela. Zwróciłam się do biura, wpisałam nazwisko do rejestru i powiedziałam, że będę chętnie współpracować, jeśli Michael kiedykolwiek zechce się ze mną skontaktować.

Melissa opowiedziała mi o spotkaniu ze swoją biologiczną matką.

— Była inna, niż się spodziewałam, Eileen. Zimna, zupełnie pozbawiona cech matczynych. W niczym nie przypominała mojej mamy czy ciebie. Nie sądzę, żebym chciała znowu się z nią spotkać.

— Tak mi przykro.

— Niepotrzebnie. — Głos Melissy brzmiał szczerze i praktycznie. — Szczerze mówiąc, myślę, że najlepszą rzeczą, jaka z tej sprawy wyniknęła, jest nasza przyjaźń.

Zgodziłam się z nią. Dzięki Melissie, choć sytuacja była bolesna, w końcu przestałam ukrywać swój sekret. Nie musiałam już niczego się wstydzić, nie było żadnych tabu, wreszcie zyskałam wolność, żeby być prawdziwą sobą w relacjach z przyjaciółmi i kolegami z pracy. Nie musiałam dłużej chronić siebie przed prawdą o swo-

jej przeszłości, chociaż wciąż czułam, że muszę chronić przed nią najbliższą mi osobę, Grace.

A sama rana, strata, żal po oddaniu syna — cóż, musiałam nauczyć się z tym żyć, ale we właściwy sposób. Bo teraz wiedziałam, że nigdy więcej nie będę próbowała zapomnieć o Michaelu. Był czymś więcej niż tylko bransoletką identyfikacyjną i metryką w ukrytym pudełku. Był moim synem, nie przy moim boku, ale i tak moim synem. Znałam go i kochałam, przez kilka krótkich tygodni on także znał mnie i kochał. To nie było dużo, pragnęłabym o wiele więcej, ale przynajmniej coś. Czasami musimy przyjąć to, co Bóg nam daje, i być za to wdzięcznym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W tygodniach po pokazie mody zaczęłam dostrzegać stopniowe pogarszanie się stanu mamy. Myślę, że wcześniej ukrywała to przede mną. Straciła apetyt i miała mniej energii — na początku do tego się to sprowadzało. Bywały dni, kiedy Eileen wstawała z łóżka, brała prysznic, ubierała się i spływała po schodach niczym cud.

— Dzisiaj czuję się świetnie! — oznajmiała i wychodziłyśmy do ogrodu na kawę i spacer. Nieoczekiwanie nagłym tonem mówiła: — Jestem zmęczona, Grace, wracajmy do domu.

I natychmiast szła do swojego pokoju. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak przystaje w połowie schodów, żeby odpocząć, wstrzymałam oddech z przerażenia, potem ujęłam ją pod rękę i zaprowadziłam do łóżka.

Przez trzy dni powtarzała, że ma ochotę odpocząć w łóżku, więc przynosiłam jej jedzenie. Zachowywała się jak w czasie pobytu w szpitalu, mówiła o „prawdziwym luksusie”, klaskała w dłonie z zachwytu i chwaliła:

— To wygląda smakowicie, jesteś prawdziwym aniołem!

Kiedy wracałam po naczynia, jedzenie było rozgrzebane, ale prawie nietknięte. Na moje uwagi uśmie-

chała się tylko, wpatrzona przed siebie, nie mając ochoty, a może nie będąc w stanie wyjaśnić braku apetytu.

— Przestałam lubić łososia — mówiła. — Może spróbowałabym kurczaka?

Przez jakiś czas grałyśmy w tę grę polegającą na tym, że kurczak jest za ostry, za mało słony, ziemniaki przegotowane, warzywa niedogotowane. Biegałam po schodach, dogadzając kobiecie, o której wiedziałam, że w normalnej sytuacji zjadłaby własne ramię, gdyby była głodna. Obie udawałyśmy, że problemem jest moje gotowanie, a nie nowotwór. Pewnego dnia, kiedy wchodziłam po schodach z jajkiem ugotowanym na średnio miękko na lekko przypieczonej pełnoziarnistej grzance bez masła, dotarło to do mnie. Świadomość była jak mocny cios prosto w piersi. Odetchnęłam, weszłam do jej pokoju, tacę z jajkiem, którego nie chciała, postawiłam na toalecie i usiadłam na łóżku.

— Mamo, boli cię?

— Och, Grace, nie znoszę, kiedy zachowujesz się w stylu „usiądźmy i pogadajmy”. Nie, nie boli mnie, gdyby tak było, powiedziałabym ci. A teraz czy mogę dostać coś przyzwoitego do jedzenia, na litość boską...

Bolało ją. Widziałam to w jej twarzy tak wyraźnie, jakby krzykiem domagała się morfiny.

— Dzwonię do lekarza.

— Po co?

— Boli cię, mamo, widzę to.

— Mówiłam ci, że nic mnie nie boli, Grace...

— Kłamiesz.

— Nie bądź głupia, dlaczego miałabym kłamać?

— Nie wiem, ale z tego samego powodu, dla którego każesz mi robić jajko na miękko, choć dobrze wiem, że

nie znosisz jajek. Żeby mnie zdenerwować? Żeby mnie chronić? Do diabła, skąd mam wiedzieć...

Skrzywiła się. Zmarszczyła nos, zamknęła oczy i otworzyła usta w bezgłośnym krzyku. Nigdy dotąd nie widziałam na twarzy mamy takiego wyrazu — byłam świadkiem jej smutku, strachu, gniewu, ale nigdy fizycznego bólu. Przeżyłam taki szok, jakby ból był moim udziałem. Poczułam się bardzo młoda, bardzo mała i bardzo świadoma, że dawno przestałam być młoda i mała, więc muszę wyglądać na silniejszą, niż jestem.

Przygryzłam wargę i spokojnie zapytałam:

— Od jak dawna to trwa?

Spojrzała na mnie i uświadomiłam sobie, że szuka na mojej twarzy śladów załamania. Wreszcie zdecydowała, że powie mi prawdę.

— Od kilku dni.

— Gdzie cię boli?

Dlaczego o to zapytałam? Co za różnica? Uważałam się za lekarza? Staralam się brzmieć tak, jakbym panowała nad sytuacją. Jakbym wiedziała, co robić.

— Mamo, pozwolisz, żebym zadzwoniła do lekarza? Coś ci da...

— Chcę zostać w domu.

Równie dobrze ja mogłam to mówić, kiedy nie chciałam pojechać na szkolną wycieczkę do Francji, nie chciałam w czasie studiów wyprowadzić się z domu. Dorosłam, wyszłam za męża, rozstałam się z mężem, spłaciłam hipotekę i myślałam, że się rozwijam. Teraz znowu byłam w domu z mamą i czułam, że także chcę zostać w domu. Nie w tym, w którym biegałam tam i z powrotem po schodach, próbując skłonić moją umierającą mamę, żeby coś zjadła, ale w domu mojego dzieciństwa, pełnym znajomych kolorów i zapachów, gdzie czułam się bez-

piecznie i wygodnie, jakby nic nigdy nie miało się zmienić.

Lekarz był miły. Żartował z mamą i przepisał jej fentanyl, plastry z morfiną, które wyglądały jak plastry nikotynowe i wolno uwalniały środek przeciwbólowy do organizmu.

— Żadnego palenia, Eileen! — powiedział, ale mama nie zareagowała.

W filmach umierający są dzielni, żartują z lekarzami i pocieszają pogrążonych w żalu najbliższych. Mama uśmiechnęła się słabo do lekarza, a kiedy wychodził, odwróciła się do ściany. Żołądek mi się ścisnął. Nie chciała, żebym widziała przerażenie i rozpacz na jej twarzy, a ja też nie chciałam tego oglądać.

— Przyjdę za dwa dni, żeby sprawdzić, jak sobie radzi — powiedział mi lekarz. — Proszę dać mi znać, gdyby wcześniej coś się zmieniło.

Nie musiał mówić tego głośno: „Zaczyna się, proszę się przygotować”.

Nie mam do powiedzenia nic pokrzepiającego ani interesującego o fizycznych objawach śmierci mojej matki. Rzeczy niewyobrażalne zdarzały się codziennie; dowiedziałam się, że jestem lepszą, silniejszą osobą, niż sądziłam, ale ta świadomość także nie dawała mi pociechy. Poznałam fałdy ciała Eileen, nową kruchość kości, delikatne palce, gdy wcierałam oliwkę w jej dłoń i paznokcie, zmuszając do pracy fioletowe żyły pod przezroczystą skórą. Kąpałam ją i byłam wstrząśnięta, nie jej nagością, ale faktem, że przez całe życie ukrywała przede mną swoje ciało. Nie musiałam jej do niczego namawiać, sama też nie odczuwałam skrepowania; pielęgnowanie jej było cichym, łagodnym aktem miłości. Odprężała się pod moim dotykiem, a to sprawiało mi ulgę, a równocześnie uświa-

damiało obowiązek. Najbardziej przykrą rzeczą było patrzeć, jak pogrąża się w depresji. Nie chciała przyjmować gości; pozostawałam w kontakcie z jej przyjaciółmi, ale nie zachęcałam do składania wizyt. Zdawałam sobie sprawę, że mama nie chciałaby, żeby oglądali ją w takim stanie, a oni respektowali moje życzenia i trzymali się na dystans. Brian jako jedyny przychodził codziennie i nie dawał się zniechęcać. Zaskakująco dla mnie samej, byłam mu wdzięczna za jego upór. Zawsze przynosił zakupy, rzeczy, których potrzebowałyśmy, a czasami coś pożytecznego, jak lasagne domowej roboty czy świece zapachowe.

Czasami siedział w domu, żebym mogła pobiegać po sklepach, wyjść na godzinę lub dwie. Brian w każdej sytuacji wiedział, co robić i co mówić. Ludzie z niezwykłą uprzejmością reagowali na umieranie mamy; on natomiast, może dlatego, że sam przez to przeszedł, rozumiał, że o nic go nie poproszę, i dlatego nie bał się pomagać. Mimo to nigdy nie przekroczył granicy prywatności i stosowności, czasami nawet nie wchodził do mamy na górę, tylko siedział ze mną. Zaprzyjaźniliśmy się. Potrzebowałam nowego rozmówcy; oddaliłam się od dawnych przyjaciół, ponieważ zbyt dobrze ich znałam i miałam wobec nich oczekiwania. Kiedy nie udawało im się złagodzić mojego cierpienia albo mnie rozerwać, traktowałam ich okropnie. Wobec Briana nie miałam żadnych oczekiwań, nie zdążyłam emocjonalnie w niego zainwestować i przy nim mogłam sobie pozwolić na rozdrażnienie, gniew, smutek. I właśnie dlatego, że mogłam, rzadko to robiłam. Początkowa wrogość do niego poszła w niepamięć.

Dni mijały w mgłę pogarszającego się zdrowia mamy i jej rosnących potrzeb. Prawdziwym cudem było to, że

odkryłam w sobie pielęgniarские umiejętności, ale w końcu musiałam przyznać, że mam ograniczenia. Po niemal sześciu tygodniach poczułam, że nadszedł czas. Znałam nazwy i skutki zbyt wielu leków: fentanyl, codalax, oxy-contin, temazepam. Poza codzienną dawką chemoterapii podawałam jej środki przeciwbólowe, przeczyszczające i nasenne. Ciągłe dzwoniłam do lekarza z prośbą o zwiększenie dawki morfiny. Przez ostatnie dni wiedziałam, że mama czuje ból, że jej stan szybko się pogarsza i nie jestem w stanie sobie z tym poradzić.

Mama pragnęła umrzeć w domu, nie w hospicjum, ale zrobiła to dla mnie. Protestowałam, obie jednak zdawałyśmy sobie sprawę, że dłużej nie dam rady.

— Żałuję, że nie masz rodzeństwa, z którym mogłabyś to przeżywać — powiedziała, kiedy na wózku przewoziliśmy ją do karetki. Tuż przed wyjazdem lekarz podał jej wielką dawkę morfiny, więc nie wiedziała, co mówi.

Czułam się dziwnie w drodze do hospicjum, jadąc bez mamy swoim samochodem. Przez ostatnie dwa miesiące byliśmy razem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

W hospicjum mamę zabrano do pokoju, a mnie ładna pulchna recepcjonistka poradziła, żebym się rozejrzała po budynku.

— Na piętrze jest pokój rodzinny, Grace. Poczęstuj się kawą albo herbatą.

Hospicjum mieściło się w niewielkim nowoczesnym budynku z jasnymi, przestronnymi pokojami. Wszędzie były kwiaty, z każdego parapetu unosił się oszałamiający aromat lilii i róż. Pokój rodzinny wyposażony był w granatowy komplet wypoczynkowy, szafę z kasetami wideo i DVD, wielki telewizor i aneks kuchenny z mnóstwem herbatników i ciasteczek kupionych przez szczodrych go-

ści. Większość wysypywała się z koszyka z kartką „Poczęstuj się” wypisaną pewnym, okrągłym charakterem pisma nauczyciela. Był tam kącik z zabawkami i książkami dla dzieci; na jego widok ogarnął mnie smutek, że jakiś biedny maluch niedługo straci rodzica, dziadka albo Boże broń rodzeństwo, a równocześnie z poczuciem winy zaniepokoiłam się, że ostatnie dni życia mojej mamy mogą zakłócić dziecięce krzyki. Pod wielkim oknem wykuszowym stały donice z bujnymi roślinami, rozkwitającymi w tym ciepłym i słonecznym otoczeniu. To było uosobienie życia po śmierci.

Powinłam być szczęśliwa i z ulgą myśleć, że mama przebywa w takim miłym miejscu, ale nie byłam. Poszłam do barku, gdzie zjadłam kielbasę w cieście i popiłam herbatą. Zaskoczyło mnie, że jestem głodna. Wróciłam do pokoju rodzinnego, gdzie rzuciłam się na koszyk z ciastkami, nakazując sobie w duchu cierpliwość. Nie chciałam biegać po hospicjum i szukać mamy, postanowiłam, że poczekam, aż ktoś po mnie przyjdzie. Zdażyłam przejrzeć kilka numerów „Hello”, kiedy trzydziestoparoletnia pielęgniarka stanęła w progu i zapytała:

— Grace?

Gniew pojawił się znikąd. Co to niby jest? Przetransportowano mnie na planetę dobroci i życzliwości, gdzie wszyscy znają moje imię?

— Tak — odparłam i wstałam. Ale powiedziałam to tonem, który skłonił ją do wskazania mi, żebym z powrotem usiadła.

— Twoja mama jest bardzo przygnębiona.

No nie, sensacyjna wiadomość! Umiera na raka, a to dość przygnębiające, zgodzicie się chyba?

— Naprawdę? — Tylko na tyle się zdobyłam. Ale to było dobre „naprawdę”, sarkastyczne.

— Teraz śpi, Grace.

Nie ma potrzeby ciągle mówić mi po imieniu — to mnie drażni.

— Chciałabym porozmawiać z tobą o terapii dla was obu. Dla nas to bardzo ważne, żeby pacjenci odchodzili w spokoju.

Jej małe oczy niknęły za rzęsami sztywnymi od grubej warstwy tuszu.

— Dla mnie to także bardzo ważna sprawa... Tamaro — demonstracyjnie odczytałam imię na jej identyfikatorze — ale jestem pewna, że po kilku godzinach odpoczynku mama dobrze się poczuje. Jest bardzo wytrzymała i pogodna.

Wytrzymała i pogodna — jakby była kuchennym sprzętem. Nie miałam jednak zamiaru pozwolić, żeby o mojej mamie mówiła mi jakaś pielęgniarka. Wstałam i zarzuciłam torebkę na ramię.

— Chcesz przed wyjściem ją zobaczyć? Oczywiście, że chcę ją zobaczyć! Jest moją matką,
cholera!

— Prowadź, Tamaro.

Mama leżała na plecach, usta miała otwarte, oczy zamknięte, kroplówkę podłączoną do ręki. W tym otoczeniu nagle zaczęła wyglądać na chorą i bardzo słabą. Pobyt w szpitalu musiał tak na nią wpłynąć, zmusił do poddania się, bo przecież widziałam ją kilka godzin wcześniej. Nie powinnam była się zgodzić na przeniesienie jej do hospicjum. Choć jest tu miło i w ogóle, powinnam była zatrzymać ją w domu. Musiałam się rozpłakać, bo Tamara położyła mi dłoń na ramieniu i zapytała:

— Wszystko w porządku, Grace? Momentalnie wyleczyła mnie z cierpienia, jego miejsce zastąpiło wyparcie, pogrzebanie emocji.

— Wrócę za kilka godzin — powiedziałam ostro i wyszłam.

W drodze do domu mamy wpadłam do centrum handlowego, żeby kupić jej nowe koszule nocne. Czułam się dziwnie, wracając do prawdziwego świata, gdzie toczyło się życie i wszystko było normalne. Miałam wrażenie, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny prawie nie oddychałam, jakbym wstrząśnięta stanem mamy, po części przestała funkcjonować. Do hospicjum idą chorzy, żeby tam umrzeć, a najbliżsi — żeby patrzeć na ich agonię. Pobyt poza murami hospicjum sam w sobie był odmianą.

Kiedy dojechałam do domu, weszłam do kuchni i otworzyłam lodówkę, mój umysł przestroił się na drobiazgowy, neurotyczny, niezdecydowany, lekko spanikowany tryb, który dobrze znałam z zachowania mamy. Powinnam tutaj zjeść lunch czy wrócić do siebie? Nie byłam tam od kilku dni i musiałam zabrać parę rzeczy. W lodówce pewnie mam zepsute jedzenie, które należałoby wyrzucić. W końcu to był mój prawdziwy dom, więc może powinnam do niego wrócić. Z drugiej strony zgromadziłam u mamy za dużo rzeczy, miałam mały dwuosobowy samochód i musiałabym zrobić dwa kursy, żeby przewieźć wszystkie książki i buty. Dlaczego zniosłam tu tyle gratów? A jeśli pozwolą jej wrócić do domu? Pielęgniarki powiedziały, że to niewykluczone, zobaczą, jak mama sobie radzi, i gdyby się okazało, że nastąpiła drobna poprawa, może wracać. A gdyby wróciła po mojej wyprowadzce, znowu musiałabym wszystko przywozić, prawdziwy koszmar. Potem przypomniałam sobie, że prawdziwym koszmarem nie są moje rzeczy, ale fakt, że mama umiera, a ja zamiast być przy niej w hospicjum, stoję przed lodówką, sprawdzam na opakowaniach jogurtów terminy przydatności do spożycia i martwię się, jak pomieszczę swoje buty w ba-

gaźniku MG. Nie potrafiłam wyrzucić słów pielęgniarki o przygnębieniu mamy, dryfowały na powierzchni mojej świadomości niczym topielec. Zrobiło mi się niedobrze, pobiegłam więc do łazienki i zwymiotowałam, ale wcale nie poczułam się lepiej. Przeważenie narastało, wyczerpywało mnie. Krążyłam po domu, rozpaczliwie próbując znaleźć coś, co pozwoliłoby mi oderwać myśli od samej siebie.

W jadalni stanęłam przed sekretarzykiem, bębniąc palcami po krawędzi. To była kopia zabytkowego mebla, przedmiot dumy i radości mamy, najdroższa rzecz, jaką w życiu kupiła. Mówiła, że kiedy patrzy na sekretarzyk, czuje się „elegancka i ważna”. Urządziła małe przyjęcie w dniu, gdy mebel przywieziono; Geoff dokonał „oficjalnego otwarcia”, przecinając wstęgę i jednym haustem wypijając połowę butelki szampana. Myślałam wtedy, że wszystko to jest niewiarygodnie kiczowate, ale teraz dziwnie poruszająca wydała mi się myśl, że szczęście mamy w tak wielkim stopniu zależało od nieożywionego przedmiotu, który ją przeżyje i kiedyś stanie się prawdziwym zabytkiem. Stukając paznokciami po wypolerowanym mahoniu, pomyślałam nagle, że mama pewnie ma w sekretarzyku ukryte papierosy. Papieros — tego właśnie w tej chwili potrzebowałam. Znowu zacznę palić. To było idealne antidotum na nowotwór mamy: rozkosznie niestosowny akt samozniszczenia, będący wołaniem o pomoc. Ogarnęło mnie mgliste uczucie *déjà vu*, ale w głowie mi nie pozostało, jak to może się skończyć.

Po kilku zaledwie tygodniach sekretarzyk stał się pojemnikiem na różne drobiazgi, które nie mieściły się w już pękających szufladach w kuchni. Pokrywa była stale spuszczone, mama wrzucała do środka rzeczy, które nie były jej potrzebne, ale chciała je mieć: hotelowe kom-

pleciki z przyborami do szycia, zapłacone rachunki, broszury reklamowe, niewysłane kartki pocztowe. Z wierzchu sekretarzyk był wypolerowany i doskonały, w środku natomiast panował chaos. Co kilka lat mamę ogarniały wyrzuty sumienia i przez parę tygodni zwlekała, potem zabierała się do generalnych porządków, ale wystarczył tydzień, by w sekretarzyku znowu pełno było śmieci, więc znowu spuszczała klapę. Otworzyłam ją teraz wolno, żeby papiery nie wypadły na podłogę. Niepotrzebnie się starałam, sekretarzyk lśnił od środka jak w dniu, kiedy pojawił się w naszym domu. Na środku blatu stało rzeźbione drewniane pudełko, którego nigdy wcześniej nie widziałam, z zaadresowanym do mnie listem leżącym na wierzchu. Otworzyłam go, choć na sam widok zrobiło mi się niedobrze.

Kocham Grace,

w załączeniu podaje; namiary na mojego prawnika. Wszystkie sprawy uporządkowałam. W pudełku, jest kilka pamiątek, które przez lata dla Ciebie zbierałam. Z wyrazami miłości Mama

To był najkrótszy list, jaki kiedykolwiek mi zostawiła. Zwięzły, rzeczowy, bez ozdobników, bez spisów. Podejrzewam, że nie wiedziała, co mi powiedzieć.

Pudełko było dość spore. Z jednej strony nie chciałam zaglądać do środka, z drugiej czułam, że powinnam. Pośpiesznie przerzuciłam zawartość, bo to nie była pora na wspomnienia, jeszcze było na to za wcześnie. Znalazłam stary zeszyt szkolny z wypracowaniem z angielskiego, pamiętnik z mojej wycieczki do Francji, bransoletkę z drewnianych paciorków, którą zrobiłam dla mamy. Po-

tem zauważyłam małe czarne pudełeczko zawierające moją niemowlęcą opaskę identyfikacyjną. Mama musiała zabrać je z kuchni. Tylko że kiedy wzięłam je do ręki, zauważyłam, że nie jest czarne, tylko granatowe i mniejsze. To było zupełnie inne pudełeczko. Musiało minąć kilka sekund, zanim sobie uświadomiłam, że to nie jest ta sama niemowlęca opaska, którą znalazłam w kuchni. Przyjrzałam się jej bliżej: widniało na niej nazwisko „Blake” i data moich urodzin. Pobiegłam do kuchni i gwałtownie wysunęłam szufladę. Serce mi podskoczyło, kiedy zobaczyłam, że pudełeczko jest na miejscu. Bez zastanowienia otworzyłam je i spojrzałam na napis na opasce. „Gardner, 2.7.1961”. Nazwisko panięskie mojej mamy i data o sześć lat poprzedzająca moje urodziny.

Na początku kompletnie nic nie rozumiałam. Blake, Gardner. Nazwisko po mężu, nazwisko panięskie. Dwoje niemowląt z różnymi datami. Czy to oznacza, że mam brata albo siostrę? Czy właśnie to oznacza? Twarz mi płonęła, krew uderzała do głowy. Byłam wstrząśnięta i rozdygotana. Nasuwała się oczywista odpowiedź twierdząca, ale nie potrafiłam w to uwierzyć. Podeszłam do laptopa, który stał na kuchennym stole, odetchnęłam głęboko i w wyszukiwarce wpisałam „adoptowane rodzeństwo”. Bez namysłu zarejestrowałam się na pierwszej stronie, która się pojawiła. Podałam swoje dane, dane mamy i datę z opaski z nazwiskiem „Gardner”. Wysłałam formularz i siedziałam, wpatrując się w ekran, jakbym czekała na odpowiedź. Kiedy zaczęłam chłostać się w myślach za to, że byłam taka głupia i zdesperowana, odpowiedź istotnie nadeszła.

Kilka minut po otwarciu pudełka dowiedziałam się, że mam brata. Nazywał się Michael Phillips, miał czterdzieści sześć lat, żonę i dwoje małych dzieci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Zostałabym w pracy przez następne co najmniej pięć lat, ale gdy skończyłam sześćdziesiątkę, wysłali mnie na emeryturę. Geoff mówił, że to niezgodne z prawem, choć wiedziałam, że nie ma racji. Wielkie firmy jak nasza dobrze wiedzą, co robią. A wszystko przez Sandrę Jones. Zaczęła pracować w dziale obsługi klienta trzy lata wcześniej i zmieniła moje życie w prawdziwe piekło. Była młoda i ładna, miała dwadzieścia kilka lat i początkowo wydawała się bardzo miła.

— Doskonała prezentacja, o tak, dział piaru stanął na wysokości zadania — skomentował Geoff. Nie lubił jej od pierwszego spojrzenia.

Nasz dział liczył sześć osób, cztery na pół etatu i dwie na cały, w tym ja. Na każdej zmianie pracowaliśmy w trójkę. Mimo że zajmowaliśmy mniej lub bardziej równorzędne stanowiska, rozumiało się samo przez się, że jako członek zespołu najstarszy wiekiem i stażem byłam „szefową”. Przed tytułem miałam przymiotnik „starszy”, płacono mi więcej niż pozostałym i reprezentowałam dział na cotygodniowych spotkaniach kierownictwa. Moi bezpośredni przełożeni często mi mówili, że awansowaliby mnie wiele

lat temu, gdybym tak świetnie nie radziła sobie z klientami: „Potrzebujemy twojego doświadczenia, Eileen, jesteś po prostu niezastąpiona”. Byłam dobrą szefową, nigdy nie traktowałam podwładnych nieprzyjemnie czy z góry, ale zdecydowanie, bo wiedziałam, co robię. Mój wiek i doświadczenie składały się na naturalny autorytet, który (muszę to przyznać) sprawiał mi przyjemność. Lubiłam wprowadzać młodszych w tajniki pracy, lubiłam, kiedy do mnie zwracali się ze swoimi problemami. Większość nie potrafiła znieść napięcia i po roku, dwóch rezygnowali, ale cieszyło mnie, że ciągle przychodzą nowi, których trzeba było uczyć. Dzięki temu sama czułam się młoda, pełna życia, energiczna. Kres temu położyła Sandra Jones. Tak jak ja pracowała na pełny etat i na początku sprawiała wrażenie podekscytowanej pracą w ulubionym sklepie, w otoczeniu modnych ubrań i perfum.

— Jak sobie radzisz z pokusami, Eileen?

— Przywykniesz — odparłam. — To dość szybko przestanie być atrakcją.

— Mam nadzieję, w przeciwnym razie groziłoby mi bankructwo.

Wiedziałam, że to próba nawiązania rozmowy o pieniądzach, pensjach i tak dalej, ale nauczyłam się od razu je ucinać. Były nieestosowne i niepotrzebne. Młodych obsesyjnie wręcz interesowały zarobki, rzadko natomiast koncentrowali się na samej pracy. Wszyscy sprawiali wrażenie, że woleliby robić coś innego, oddawać się niemądrym zajęciom modelki, aktorki czy piosenkarza pop. Dla większości „obsługa klienta” nie brzmiała dość dobrze, co mnie bolało i zdumiewało. Sandra była inna. Zachowywała się tak, jakby lubiła tę pracę, i tym zdobyła moją sympatię. W college’u studiowała zarządzanie w handlu detalicznym, ale dowiedziałam się o tym dopie-

ro po kilku miesiącach jej pracy u nas. Wspomniała mi o tym jedna z koleżanek, a ja pomyślałam, że to miło ze strony Sandry, że się nie przechwala. Okazało się jednak, że Sandra nie wspomina o swoich kwalifikacjach, ponieważ ma inne plany.

Pewnego dnia spędzałyśmy przerwę na kawę we trzy: ja, Sandra i Alison.

— Eileen, niedługo przechodzisz na emeryturę, prawda? — zapytała Alison.

— W przyszłym tygodniu kończę sześćdziesiąt lat. Już się nie mogę doczekać.

Nie mówiłam poważnie, ale tamtego dnia panował upał i byłam rozdrażniona. W rzeczywistości prawie wcale nie myślałam o emeryturze. Wiedziałam, że mogę pracować do sześćdziesiątego piątego roku życia, niewykluczone, że później też pozwolą mi wykonywać jakieś zajęcie. Czułam się młoda. Nie widziałam siebie w roli „emerytki”.

Nie myślałam więcej o tej rozmowie aż do zebrania kierownictwa w następnym tygodniu, kiedy weszłam do sali i zobaczyłam Sandrę siedzącą przy okrągłym stole koło Bertrama, dyrektora naczelnego; najwyraźniej opowiadali sobie coś śmiesznego. Zanim zdążyłam usiąść, Bertram powiedział:

— Eileen, mam rewelacyjną wiadomość. Sandra jest nową szefową działu obsługi klienta.

Potem powtórzył brednie o restrukturyzacji, zmieniających się czasach, komputerach, które opowiadał mi od miesiący. Wszystko to sprowadzało się do jednego: nie byłam dłużej potrzebna.

— Wciąż jesteś nam potrzebna, Eileen.

— O tak, Eileen, twoje doświadczenie jest wprost nieocenione — dodała ta dwulicowa krowa.

Wytrzymałam trzy miesiące. Sandra zmusiła mnie do przejścia na wcześniejszą emeryturę, żeby na moje miejsce przyjąć koleżankę z college'u. Nie potrafiłam połączyć się w nowych systemach komputerowych i nawet nie próbowałam. To były najgorsze trzy miesiące w moim życiu, po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat bałam się chodzić do pracy. Zorganizowali centrum telefoniczne, każdą skargę należało przepuścić przez nowe szare maszyny, które budziły we mnie paniczny strach. Zawsze uwielbiałam swoją pracę, ponieważ się na niej znałam i ludzie mnie szanowali. Teraz nagle wszystko się zmieniało, a ja wcale nie chciałam uczyć się tych nowych rzeczy. Pragnęłam, żeby wszystko było jak dawniej, żebym robiła rzeczy, w których byłam dobra. Tak bardzo się stresowałam, że kilku klientów potraktowałam ostro i jeden poskarżył się na mnie w e-mailu. Sandra momentalnie przeniosła mnie do centrum komputerowego, gdzie przez cały dzień byłam z nią. Po tygodniu zrezygnowałam. Bertram był bardzo rozczarowany, powiedział, że na znak szacunku dla pracy, którą przez wszystkie te lata wykonałam dla Bailey Newton, wypłaci mi odprawę w wysokości dziesięciu tysięcy funtów i będę dostawała pełną emeryturę.

— Powinnaś podać ich do sądu, skarbie. To niezgodne z prawem — mówił Geoff. Wciąż pracował w dziale pasmanterii, choć dawno skończył siedemdziesiąt lat. Ale jak sam stwierdził: — Ludzie nie pozywają do sądu działu guzików, kochana, ale dział skarg. — Więc nawet on się zgadzał, że czasy się zmieniły. — Jesteśmy dinozaurami, Eileen, pochodzimy z epoki, kiedy liczyły się dobre maniery. Teraz wszędzie widzisz brudne dresy i ludzi, którzy marzą, żeby wystąpić w telewizji.

Geoff zawsze o wszystko obwiniał młodych, ale ja się z nim nie zgadzałam. Kochałam młodych, uważa-

lam, że wszystkie te „Spice Girls” są cudowne, paradują w skąpych strojach, nie dają sobie w kaszę dmuchać i nie przebierają w słowach; wydawały się niezwykle pewne siebie, a ja żałowałam, że w młodości nie byłam bardziej do nich podobna. Uwielbiałam nową muzykę pop, czytałam o najnowszych trendach w modzie. Uważałam siebie za osobę o nowoczesnych poglądach i wyglądzie. Ludzie często mówili, że bardziej przypominam siostrę Grace niż matkę. Byłam młoda nie tylko sercem, ale także ciałem i umysłem.

Ja tylko nie znosiłam komputerów i niesprawiedliwe było to, że z ich powodu wszystko w moim życiu miało się zmienić.

Pogodzenie się z przejściem na emeryturę zajęło mi bardzo dużo czasu. W Bailey Newton chciano urządzić wielką imprezę na moją cześć, ale się nie zgodziłam. Odnosiłam wrażenie, że w ten sposób próbują zamaskować straszną rzecz, którą mi zrobili. Bertram usiłował mnie przekonać, ale ja przez całe spotkanie z nim odpowiadałam półsłówkami. Nie powiedziałam mu, co o nim myślę, milczałam i widziałam, że to go uraziło. Nie obchodziło mnie to, ponieważ ja też czułam się urażona. Rok wcześniej Sangeeta wróciła do Indii i jedynym człowiekiem z dawnych czasów w firmie był Geoff. Później żałowałam, że nie zgodziłam się na tę imprezę, ponieważ minęły wieki, zanim zaczęłam czuć, że naprawdę odeszłam z pracy. To przypominało sytuację, kiedy po śmierci bliskiej osoby nie idziesz na pogrzeb, bo po części wierzysz, że ten człowiek żyje. Przez pierwsze tygodnie czułam się jak na wakacjach.

— Świetnie się bawię — powiedziałam do Sangeety, która zadzwoniła do mnie z Indii, dowiedziawszy się o mojej emeryturze. — Chodzę na zakupy, robię porządki; taki urlop strasznie mi się podoba.

Ale po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że nie jestem na urlopie. To było moje nowe życie: drobne porządki i włóczenie się po sklepach. Przestałam być Eileen Blake, starszym menedżerem działu obsługi klienta w domu towarowym Bailey Newton, znowu byłam Eileen Blake, zwyczajną i starą. Nie miałam planów, hobby, ambicji poza pracą, którą uwielbiałam. Co więcej, nigdy w życiu nie leniuchowałam i teraz nie potrafiłam usiedzieć na miejscu. Na początku próbowałam zająć myśli układaniem fotografii i sprzątanym szafek kuchennych, co przypominało mi czas po odejściu Franka. Różnica polegała na tym, że tym razem sił nie dodawał mi strach, że moje życie rozpadnie się na kawałki, ale determinacja, by dowieść, że życie wcale się nie kończy wraz z przejściem na emeryturę. Tylko że kiedy powkładałam fotografie do albumu i wysprzątałam szafki w kuchni, pojęłam, że poza tym nic innego nie mam do roboty. Moje życie wypełniała najpierw Grace, potem praca. Przyjaciele byli ważni, ale mieli swoje życie. Emerytura zaczynała przypominać czyściec: pustą otchłań nudy i samotności, która się przede mną rozciągała. Kompletnie nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić.

Próby wypełnienia czymś dni koncentrowały się wokół programu telewizyjnego. Miałam w domu dwa telewizory i nigdy wcześniej tak często ich nie włączałam. W pierwszych miesiącach stało się to rodzajem uzależnienia. Rano robiłam sobie herbatę, wracałam do łóżka i oglądałam telewizję śniadaniową. Około dziesiątej brałam prysznic i ubierałam się, potem zjadałam płatki przy programie ogrodniczym. Czasami siedziałam tak aż do lunchu, a na zakupy szłam dopiero po południu. Kiedy indziej zaczynałam dzień od zakupów, a potem przez całe popołudnie oglądałam programy o sklepach,

urządzaniu wewnątrz, gotowaniu, romansach, wychowywaniu trudnych dzieci — jednym słowem o ludziach, którzy coś robią. Mnie zupełnie przestało interesować robienie czegokolwiek, to po prostu nie miało sensu.

Bywały dni, że wcale nie wychodziłam z domu. Grace jak zwykle dzwoniła codziennie, ale nie obciążałam jej swoją samotnością. Wywieranie nacisku na nią nie byłoby w porządku, miała swoich przyjaciół, pracę, życie towarzyskie. Zawsze bardzo pilnowałam, żeby Grace jako jedynaczka nie martwiła się mną. Była rozdrażniona? Tak. Zirytowana? Niemal bez przerwy. Ale nigdy nie mówiłam jej o sprawach, z powodu których musiałaby się o mnie martwić. Byłam z tego dumna.

Wydawało się, że moje życie nagle uległo kompletnej zmianie — z kobiety odnoszącej sukcesy i cieszącej się popularnością w ciągu nocy zmieniałam się w kobietę, która nie ma nic do roboty i nikogo przy sobie. Kilka tygodni po moim przejściu na emeryturę partner Geoffa, Barry, dostał pracę w Bath, więc wynajęli londyńskie mieszkanie i przeprowadzili się. Sangeeta mieszkała w Indiach i chociaż regularnie do siebie pisywałyśmy i dzwoniłyśmy, to nie było to samo, co widywanie się codziennie. Z pozostałymi — Florrie, Sharon, Melissą — straciłam kontakt w ten beztroski sposób charakterystyczny dla mieszkańców wielkich miast. Łatwo w nich nawiązać przyjaźnie, ale nie tak łatwo je utrzymać przez długi czas. Odwołujesz kilka spotkań, bo jesteś zmęczona albo nie masz ochoty przebijać się przez korki, i zanim się spostrzeżesz, nikt nie uważa cię za bliską przyjaciółkę. W małym mieście, takim jak to, w którym dorastałam, przez lata widzisz tych samych ludzi. Moja mama do końca życia przyjaźniła się z dziewczynami, z którymi chodziła do szkoły. Lubiłam anonimową swobodę wielkiego miasta, choć za-

czynalam się zastanawiać, czy wykorzystałam ją w takim stopniu, żeby uzasadniało to moją samotność na starość. Brakowało mi codziennego widywania się z ludźmi, spotkania starych przyjaciół, poznawania nowych. W ciągu dnia nie miałam prawie nic do roboty, przez co źle sypiałam, aż wreszcie odkryłam nieoczekiwaną pociechę w butelce martini. Nie wiem, co mnie skłoniło do zrobienia sobie całego dzbanka, ale znalazłam pełną butelkę, pozostałość po spotkaniach Klubu Pierwszych Zon. Alkohol sprawił, że niepokój, pustka i smutek wyparowały, i pomógł mi spokojnie zasnąć. Wieczorne popijanie weszło mi w nawyk, robiłam to w tajemnicy aż do czasu, gdy zaczęła opiekować się mną Grace. Nie mogłam się doczekać tego kieliszka albo dwóch przed snem i uważałam to za korzyść wynikającą z mieszkania w pojedynkę. Mogłam robić, co mi się podoba, nikt mnie nie osądzał ani nie krytykował. Często już o ósmej zanosila kolację do sypialni, wypijałam kilka kolejek i zanim się zorientowałam, zapadałam w sen. Czasami budziłam się w tej samej pozycji, z kolacją rozrzuconą na kołdrze. Później wstawałam, żeby wyłączyć telewizor i zanieść brudne naczynia na dół, choć zwykle następnego dnia już tego nie pamiętałam.

Moje popijanie nikomu nie robiło krzywdy, a mnie naprawdę pomagało zasnąć. Nie widziałam w nim nic złego, dopóki nie zaczęły się wzdęcia. Myślałam, że to pewnie przez picie i jedzenie późno w noc. Kiedy zaczęłam przybierać na wadze, co także uznałam za rezultat swoich brzydkich nowych nawyków, zdecydowałam się pójść do ośrodka Curves i tam poznałam Shirley.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Fotografia na ekranie monitora przedstawiała męską wersję mnie. Zawsze myślałam, że jestem podobna do mamy, teraz natomiast pojęłam, że wcale nie wyglądam jak ona. Szerokie czoło, zarys brody, gęste ciemne włosy — wszystkie te cechy miał także ten nieznajomy. Siedziałam i wpatrywałam się w zdjęcie w stanie tłumionego szoku. Po pięciu sekundach lub po godzinie, sama nie wiem, ile to trwało, zsunęłam wzrok na opis. Dwa krótkie, swobodne w stylu akapity. Żadnych udreńczonych błagań porzuconego dziecka, tylko informacja, że matka adopcyjna zmarła w zeszłym roku i po raz pierwszy poczuł na tyle silną ciekawość, kim byli rodzice biologiczni, że zapragnął nawiązać z nimi kontakt.

Nie zamierzam burzyć nikomu życia, chcę się tylko dowiedzieć więcej o okolicznościach, w których przyszedłem na świat.

Nikt nie zamierzał niczego burzyć. W opisie podał adres e-mailowy. Ogarnięta mieszaniną strachu i ciekawości, wystukałam:

Myślę, że jestem Twoją siostrą.

I wysłałam to, nie dając sobie czasu do namysłu. Wiedziałam, że jak zacznę się zastanawiać nad tym, co robię, sprawa wyda się zbyt przytłaczająca, a przecież już przygniatała mnie choroba Eileen. Co będzie dalej?

O mało nie połknęłam języka, kiedy niecałe pięć sekund później nadeszła odpowiedź:

Niech mnie! Podaj nazwisko matki i inne szczegóły. Odpisałam:

Sprawdziłam na Twojej stronie, są takie same. Możesz podać mi imię? Numer telefonu? Najpierw Ty. Jest na stronie.

Po twarzy płynęły mi łzy. Prowadziłam dziwnie intymną korespondencję z człowiekiem, którego bezpośredni, rzeczowy język już wywoływał we mnie lekką irytację, jaką widywałam u osób mających rodzeństwo. Czułam, że to mój brat, choć nigdy go nie spotkałam, choć on nawet nie znał mojego imienia.

Nie byłam w stanie zmusić się, żeby do niego zadzwonić. Bałam się brzmienia jego głosu.

Napisałam:

Gdzie jesteś? W pracy.

Pytam o miejscowość. Londyn? Dzielnica NW6.

O mój Boże, niecałe pół godziny stąd. To wydawało się nieprawdopodobne. ***Chcesz się spotkać?***

Wystukałam litery wolno, wciąż niepewna, czy to mi odpowiada, aczkolwiek ogarnięta wrażeniem, że sprawa jest pilna. Chodziło o brak czasu, o bliską śmierć mamy?

Stacja Hendon o wpół do szóstej? Świetnie.

Za dwie godziny. Strasznie się bałam tego spotkania, a równocześnie pragnęłam wsiąść w samochód i pojechać prosto do jego pracy.

Jak wyglądasz?

Uśmiechnęłam się do siebie, zadowolona z tej przewagi. Odpisałam:

Jak Ty.

Spotkanie z bratem było najbardziej niewiarygodnym i cudownym wydarzeniem w moim dotychczasowym życiu. Taka byłam roztrzęsiona, że nie mogłam prowadzić, z podjazdu musiałam wrócić do domu i zatelefonować po taksówkę.

— Jadę na spotkanie z bratem — powiedziałam taksówkarzowi po to tylko, żeby się przekonać, jak to brzmi, po raz pierwszy na głos wypowiedzieć to słowo. Taksówkarz zareagował obojętnie, a mnie ogarnęła ekscytacja na myśl, że moje niezwykle przeżycie obcemu wydaje się takie zwyczajne.

Michael był potężniejszy ode mnie i wyższy, misiowaty, serdeczny. Wyglądaliśmy niemal identycznie, zachwyty i zaskoczenie odbijające się na naszych twarzach sprawiło, że rzuciliśmy się sobie w objęcia. Wszystko, co nastąpiło

potem, było jak premia. Czułam, że znamy się nawzajem w sposób, który opierał się opisowi. Oboje wychowywaliśmy się jako jedynacy, więc więź łącząca rodzeństwo była dla nas czymś zupełnie nowym.

— To niesamowite — powiedział. — Nic o tobie nie wiem, a przecież z całą pewnością jesteś moją siostrą.

Słowa „z całą pewnością” wymówił z pompatyczną intonacją chłopaka ze szkoły prywatnej, co zirytowało mnie w cudowny siostrzany sposób.

— O tak, z całą pewnością — odparłam. Roześmiał się, a ja z góry wiedziałam, że to zrobi. To

było cudowne i nie z tego świata, że intuicyjnie odgadywałam jego reakcje.

Rozmawialiśmy przez trzy godziny. Miał wspaniałe dzieciństwo w północno-zachodnim Londynie, ojciec zmarł, kiedy Michael dobiegał dwudziestki, ale był blisko związany z matką. Do swojej śmierci w ubiegłym roku mieszkała z nim, jego żoną Katy i dwójką dzieci, sześciolletnią Molly i czteroletnim Paddym.

— Katy ma tylko jednego brata, który mieszka w Australii, więc nasze oddziały dość się przerzedziły. — Ożenił się późno. — Szczerze mówiąc, byłem maminsynkiem.

To jednak nie przerażyło Katy. Była pielęgniarką, po rozwodzie („straszny drań, ale to zupełnie inna historia”), o kilka lat od niego młodsza. Poznał ją przez koleżankę z pracy, która usiłowała go wyswatać. Pracował w ubezpieczeniach. Zawsze wiedział, że jest adoptowany i że imię nadała mu matka biologiczna. Rodzicom adopcyjnym imię się spodobało, więc został Michael. Tuż przed śmiercią mama podała mu dokładne miejsce urodzenia, nazwisko Eileen oraz informacje dotyczące Catholic Society, dokąd może się zwrócić o dokumenty

adopcyjne. Sprzeciwiał się, powtarzał, że ona jest jego prawdziwą matką, ale odparła, że chce, by o tym wszystkim wiedział. Nie próbował uzyskać dokumentów adopcyjnych, więc nie miał pojęcia, kim był ojciec.

— Któregoś dnia w pracy spontanicznie zarejestrowałem się na tej stronie i nie przypuszczałem, że coś z tego będzie. — Odpowiedź bardzo go zaskoczyła, a teraz, kiedy się ze mną spotkał, był zachwycony. Dopiero na sam koniec wspomniał o mamie. — Jestem do niej podobny?

Nie był, wyglądał jak męska, nieco starsza kopia mnie. Przez głowę przemknęła mi myśl, że musimy też mieć tego samego ojca, ale nie miałam czasu głębiej się nad tym zastanawiać.

Powiedziałam, że mama jest ciężko chora i przebywa w hospicjum. Twarz mu spoważniała, a ja chciałam, żeby znowu się uśmiechał. Był pierwszym człowiekiem, który od początku choroby mamy potrafił mnie rozweselić, poprawić mi nastrój.

— Mówiła ci o mnie? — zapytał.

— Nie.

Nie wyglądał na urażonego czy zdenerwowanego, choć ja w jego imieniu byłam rozczarowana. Opowiedziałam mu o niemowlęcej opasce identyfikacyjnej, ale zanim skończyłam, ze strachem uświadomiłam sobie, co mnie czeka. Mama mi nie powiedziała, więc czy ja powinnam mówić, że wiem, czy ma to jakikolwiek sens teraz...

— Jak myślisz, czy chciałaby się ze mną spotkać? Ojej! Mogłabym prawdę osłodzić, ale powiedziałam mu wprost:

— Nie mam pojęcia, Michael. Dowiadując się o tobie, pojęłam, że nie znam mamy tak dobrze, jak mi się zdawało.

Nie chciałam wracać do domu, a chociaż nie wspomniałam o tym, Michael zaprosił mnie do siebie na kolację.

— A czy twoja żona się nie przerazi, kiedy bez uprzedzenia przyrowadzisz siostrę do domu?

— Żartujesz chyba, będzie zachwycona! Dzieci też się ucieszą: ciocia, od której można wyłudzać słodycze!

Zabrzmiało to idyllicznie. Wynikało z tego, że Katy jest tak samo cudownie emocjonalnie otwarta i serdeczna jak mój brat. Mój brat: niesamowite, chciałam pójść z nim do jego domu, posłać po swoje rzeczy i wkroczyć w nowe życie, jakby wszystko było świeże i radosne, jakby okoliczności, w których się spotkaliśmy, można było do czysta wymazać. Nie znałam tego człowieka, nigdy nie widziałam na oczy jego żony i dzieci, ale poczucie stosowności, przezorność, wahanie nakazane przez zdrowy rozsądek, wszystko to zniknęło. Być może następnym krokiem po głębokich wzruszeniach jest pragnienie, by skoczyć. Stanąć na skraju przepaści i rzucić się w otchłań, nie wiedząc ani nie dbając o to, czy ktoś nas złapie.

— Dziękuję, ale dzisiaj nie, Michaelu. Muszę wracać do mamy. Zadzwonię jutro, jeśli ci to odpowiada, dobrze? Zastanowimy się, co zrobić w sprawie mamy.

Ogarnęła mnie ulga, że przemawiam tak rozsądnie, choć wcale tak się nie czułam.

Kiedy jednak wróciłam do domu mamy, moja pewność siebie zaczęła się rozpadać. Tego było za wiele. W jaki sposób utrzymała to w sekrecie przez całe moje życie? Dlaczego oddała Michaela? Jeśli mamy tego samego ojca, to za mojego wyszła, a przecież Michael urodził się sześć lat wcześniej. Rzecz straszna i egoistyczna, ale nie potrafiłam przestać myśleć o tych długich latach poddawania się terapii, o pieniądzach, które na to wy-

dałam, choć znałam tylko połowę historii swojego życia. A równocześnie wiedziałam, że teraz nie mam na to czasu, powinnam być przy mamie w hospicjum.

Byłam zdezorientowana i zrozpaczona, nie wiedziałam, jakie wyjście będzie najlepsze. Powinnam przyprowadzić Michaela do mamy czy też wzięwszy pod uwagę jej stan, wyrządziłabym jej krzywdę? Miała swoje powody, postępując tak, a nie inaczej. Czy naprawdę chcę wyciągać to wszystko na światło dzienne, przysparzając jej cierpień? A może tak należy postąpić, bo dzięki temu będzie mogła odejść w spokoju? Nie byłam w stanie odpowiedzieć sobie na te pytania, więc zadzwoniłam do Briana. Nie uważałam go za wyrocznię, nie liczyłam się przesadnie z jego zdaniem, ale wiedziałam, że od razu zrozumie mój dylemat, a co więcej, nie był związany z moją rodziną na tyle, by zmienić to w dramat. Na to nie było czasu i chociaż uwielbiałam analizować, ta sytuacja była za bardzo skomplikowana. Potrzebowałam kogoś, kto udzieli mi odpowiedzi na jedno pytanie: powinnam zaprowadzić Michaela do mamy? Tak czy nie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Gdybym nie zaczęła popijać wieczorami, nigdy nie zapisałabym się na gimnastykę i nie poznałabym Shirley. A gdybym nie poznała Shirley, tamtego dnia nie poszłabym do szpitala. A gdybym tamtego dnia nie poszła do szpitala, o raku dowiedziałabym się o wiele później — a wtedy przed śmiercią nie zdążyłabym zrobić tych wszystkich rzeczy, na których mi zależało.

Tak czasami się składa, że rzeczy, które są dla nas złe, takie jak wypijanie przed snem pół butelki martini, mogą w rezultacie okazać się dobre. Wszystko zależy od tego, jak patrzymy na swoje życie — taki wniosek wyciągnęłam na krótko przed zdiagnozowaniem u mnie raka.

Zaprosiłam Shirley na kolację, a ponieważ po raz pierwszy przyjmowałam ją „oficjalnie”, chciałam, żeby wszystko było jak trzeba. Postanowiłam, że zrobię stek i sałatkę — Shirley nie wyglądała na osobę, która dużo je — ale poszłam dalej, dokładnie sprzątając i przystrajając dom. Miło było znowu czerpać z tego dumę, jakby zapisanie się na gimnastykę i nawiązanie nowej przyjaźni pomogło mi w odzyskaniu dawnego życia.

Wypogodziło się i pomyślałam, że najpierw wypijemy drinka w ogrodzie, więc wyszłam na taras, żeby przetrzeć

krzesła wilgotną ścierką. Mój ogródek był mały i niezbyt atrakcyjny, ot, niewielki trawnik otoczony krzewami i grządki z kwiatami, które przez lata wyrosły. Latem, kiedy zakwitały, było tu ładnie, ale raczej przez przypadek, a nie rozmyślnie. Niedaleko od nas było centrum ogrodnicze z uroczą kawiarnią, dokąd czasami Grace mnie zabierała. Wybierałam jakiś kwiat, sadziłam w wolnym miejscu, zwykle w chwili gdy już zaczynał schnąć. W ogródku stały niebieskie i zielone donice, w większości puste, niektóre z na pół martwymi zielskami. Pielęgnowanie ogródka zawsze wydawało mi się nadmiernie ciężką pracą, czasami tak długo zwlekałam z pieleniem, aż chwasty sięgały mi do pasa, wtedy zatrudniałam kogoś, żeby je ściał.

Kiedy wycierałam krzesła, barwna plama przykuła moją uwagę. To była ogromna róża o aksamitnych, różowych jak landrynki płatkach z fioletowym środkiem. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby równie piękny kwiat rósł w moim ogrodzie, i od razu przyszło mi do głowy, że wspaniale ozdobi stół przy kolacji. Błyskawicznie ściałam ją ostrymi nożycami, włożyłam do wąskiego wazonu i postawiłam na stole.

Obie z Shirley porządnie się wstawiłyśmy. Nie komentowała jedzenia, mruknęła coś z aprobatą, kiedy jej pokazałam różę, którą znalazłam w ogrodzie. Około pierwszej w nocy wsadziłam ją do taksówki, ale sama nie mogłam zasnąć. Wiedziałam, że za dużo wypiałam, położyłam się więc i drzemałam do czwartej. Potem wstałam i zeszłam do kuchni zrobić sobie coś do picia. Mrok w kuchni rozpraszały pierwsze promienie wstającego dnia i w tym szarym świetle róża zdawała się jarzyć niczym zjawą. Prawie wszystkie płatki opadły na stół; dopiero teraz zauważyłam, że nie nalałam wody do wazonu,

co sprawiło, że zrobiło mi się niewyobrażalnie smutno i rozplakałam się. To było strasznie niemądre, tak płakać nad zwiędłą różą, choć wiedziałam, że musi chodzić o coś więcej. Zaparzyłam herbatę i kiedy dolewałam do niej mleka, coś kazało mi wyjść do ogrodu, może to, że nigdy tak wcześnie nie byłam na nogach i nie słuchałam niezmaconego niczym śpiewu ptaków w mieście. Wzięłam ze sobą poduszkę i zrobiłam coś, co przez sześćdziesiąt lat życia robiłam niezwykle rzadko: usiadłam i patrzyłam na ogród. Odkąd zamieszkałam w tym domu, nigdy się nie starałam o niego, nie myślałam o nim i dlatego jego znaczenie i uroda nic dla mnie nie były warte. A jednak teraz w świetle wstającego dnia wydał mi się niezwykle piękny. W jednym rogu na żywopłocie kwitły ciemnoczerwone kwiaty, w naprzeciwnym — mały bez. Z niskiego murku niebieskie pnącze rozgałęziało się na trawnik, a za nim kwitnący na różowo bluszcz wspinał się po ścianie. Zdumiało mnie, jak bujny i pełen życia jest mój ogród. Wyrósł z kupowanych na chybcika roślin, które sadziłam jakby po namyśle, z wyrzutami sumienia. Nigdy nie poświęciłam mu większej uwagi niż moim twórczym daniom z resztek. A mimo to tamtego poranka wyglądał cudownie i uświadomiłam sobie, że to nie moje dzieło, tylko Boga. Ten jeden raz nie czułam winy, ale wdzięczność. Powróciłam do wiary, o której nie wiedziałam, że ją utraciłam, choć teraz była silniejsza, bo jakimś sposobem tak jak mój ogród rosła, zmieniała się, rozkwitała, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy, nie czułam jej.

Pomyślałam także, że skoro Bóg potrafi sprawić, że z czegoś tak małego wyrasta równie wielka, piękna rzecz, to czego moglibyśmy dokonać, gdybyśmy trochę się postarali.

Pobiegłam do domu i zaczęłam grzebać na półkach w poszukiwaniu „Encyklopedii popularnych roślin ogrodowych”, którą wiele lat temu dał mi na urodziny Geoff i do której nigdy nie zagłębiałam. Wolno spacerowałam po ogrodzie, mówiąc na głos mgliście znajome nazwy roślin: budleja, powojnik, dzwonek, ślazówka, eskalonia.

Podczas tego spaceru zaczął kropić deszcz, „mżyć”, jak mówiliśmy w Irlandii. Wróciłam do domu, ale kiedy wyszłam na patio po poduszkę, zobaczyłam różowe pączki na tej samej roślinie, którą poprzedniego dnia ścięłam. Mogłabym przysiąc, że się poruszają, dążą do światła, i to przypominało mi o cudzie, który kiedyś widziałam.

Tamtego pierwszego dnia w szpitalu z Shirley, kiedy lekarz podszedł do mnie i powiedział: „Znaleźliśmy guza, pani Blake, chcielibyśmy, żeby pani przyszła na dodatkowe badania”, miałam wrażenie, że żyję w dwóch światach, z których jeden stanął na głowie. Zmieniłam się w nim z idealnie zdrowej kobiety po sześćdziesiątce w pacjentkę nieuleczalnie chorą na raka. To był straszny wstrząs, ogarnęły mnie rozpacz, przygnębienie, przerażenie. Próbowałam zdobyć się na odwagę, bo w tym świecie żyłam z Grace i przyjaciółmi. Ale istniał drugi, sekretny świat mojego serca, tak długo pozostający w ukryciu przed otoczeniem, a często i przede mną. W tym drugim świecie od lat w moim ciele rósł nowotwór i przez to przypominało ono ogród — nie wiedziałam, że tam jest, dopóki lekarze mi go nie pokazali, a potem miałam wrażenie, że wiedziałam od samego początku. Nie byłam specjalnie zadowolona czy pogodzona z losem, ale w diagnozie pobrzmiwało coś nieuchronnego. Jakby ktoś, kogo bardzo lubiłam, umierał, a ja wiedziałam, że taka jest wola Boża. Tak to odebrałam.

Największym zaskoczeniem nie był nowotwór, ale to, że na wiadomość zareagowałam sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony byłam kompletnie zszokowana i przerażona, z drugiej całkowicie spokojna, bardziej przejęta tym, jak poradzą sobie przyjaciele i córka. Potem jednak z pierwszej ręki dowiedziałam się, że nic tak nie wyostreza zmysłów i emocji jak śmierć. W ciągu ostatnich kilku miesięcy dowiedziałam się, jaką niezwykłą, pełną kontrastów, silną, interesującą kobietą jestem. Po części zobaczyłam siebie oczyma innych, po części dlatego, że wcześniej brakowało mi woli lub odwagi, by przyjąć do świadomości pewne życiowe fakty. Może proces umierania odebrał mi wstyd, dał za to pewność i wiarę w siebie, które zawsze mnie zawodziły, a może mogłabym umrzeć dwadzieścia lat później, żyjąc w przekonaniu, że jestem zwyczajna, choć nie jestem pewna, czy dokonałabym takiego targu z Bogiem. Moi przyjaciele i rodzina tak, ale ja?

Mimo to musiało minąć kilka tygodni, zanim wiadomość w pełni do mnie dotarła. Najtrudniejsze było powiedzenie Grace; jeśli mam być szczerą, wcale nie chciałam jej mówić. Pewnie miał na to wpływ mój egoizm, jakbym mogła powstrzymać chorobę, nie wypowiadając na głos przy najbliższej osobie słów „mam raka”. Shirley wiedziała, ale to była inna sprawa. Jej przesadnie teatralne reakcje byłyby obraźliwe, gdybym nie odbierała ich jako czegoś w rodzaju teatru. (Shirley przypominała mi dzieciństwo w Irlandii, kiedy z podziwem patrzyłam na stare kobiety lamentujące podczas czuwania przy zwłokach i na pogrzebach; załamywały ręce i szlochały, a kiedy podawano przekąski, jak gdyby nigdy nic rzucały się na jedzenie. One były zawodowymi płaczkami, Shirley dla odmiany była zawodową histeryczką.) Jakoś panowałam

nad emocjami, oswajałam się z rakiem, ale wiedziałam, że jak powiem Grace, to wszystko się zmieni. Całkowicie stracę kontrolę nad sytuacją „To”, czyli nowotwór, moja bliska śmierć, zmieni się w pojazd na holu albo co gorsza, w jeden z „projektów” mojej córki. Grace miała silny charakter i bałam się, że zareaguje, biorąc sytuację w swoje ręce.

Zwlekałam więc tak długo, jak się dało, ale ona i tak się dowiedziała, co mnie zdenerwowało, zwłaszcza że sama sobie byłam winna. Swoim zwyczajem weszła w moją kuchnię i znalazła listę. Wtedy także nie chciałam jej powiedzieć, bałam się, że ją zranię. Przejmowałam się raczej tym, jak moja śmierć wpłynie na nią, niż faktem, że niedługo umrę. Zawsze wierzyłam, że kochając Grace bardziej niż siebie, byłam dobrą matką, ale teraz zaczęłam się zastanawiać, czy miałam rację. Może stanowiłabym dla niej lepszy przykład, gdybym była bardziej stanowcza i pewna siebie, i chyba lepiej by było, gdybym mniej się martwiła o zburzenie jej spokoju i jednak powiedziała prawdę o jej ojcu i Michaelu. Ale my, matki, zawsze się mylimy.

Choć z uporem odmawiałam rozmowy o chorobie, Grace naciskała. Nie poddawała się, zawzięcie dążąc do zmuszenia mnie, bym postąpiła słusznie. Tak jak wiele razy w przeszłości, kiedy omal nie zobaczyła, jak jej ojciec mnie bije, kiedy namówiła mnie do starania się o pracę w Bailey Newton, moja despotyczna, uparta, cudowna, emocjonalnie rozchwiana córka kazała mi zająć się swoim życiem, choć z całych sił się opierałam. Bo zmuszając mnie do stawienia czoła sytuacji, skłoniła do podjęcia decyzji, jak powinnam spędzić te ostatnie miesiące.

Chciałam nadać swojej śmierci znaczenie, zostawić coś po sobie. Chciałam uporządkować sprawy. Swoim

uporem uzmysłowiła mi również, że w mojej bliskiej śmierci najbardziej niepokoi mnie przyszłość córki. Co się z nią stanie, jeśli mnie zabraknie? Nie była taka twarda, jak pozornie mogła się wydawać, polegała na mnie w znacznie większym stopniu, niż obie byłyśmy gotowe przyznać. Nie tyle w sensie praktycznym, ile emocjonalnym. Rozmawiałyśmy prawie codziennie, a chociaż zawsze zachowywała się władczo i kompetentnie, właśnie te jej cechy stanowiły dla mnie dowód jej bezbronności. Nikt inny tego nie dostrzegał. Gdyby się buntowała lub wracała do domu po pieniądze czy pociechę, mniej bym się o nią martwiła. Przerażała mnie jej niezawodność, jej pozorna samodzielność. Gdyby wpadła w kłopoty, nie zwierzyłaby się nikomu i nikomu też nie przyszłoby do głowy o to pytać. Nie było w jej otoczeniu osoby, która pomogłaby się jej pozbierać i zaopiekowała się nią. Nie znaczy to, że kiedykolwiek o to prosiła, ale też zawsze wiedziała, że może na mnie liczyć, że ma do kogo się zwrócić, że jest ktoś, kto kocha ją dostatecznie mocno, by przetrwać z nią wszelkie trudy i burze. Kiedy mnie zabraknie, nikt nie będzie w taki sposób kochał mojej Grace, dlatego zdecydowałam, że muszę zrobić absolutnie wszystko co w mojej mocy, żeby jej życie po moim odejściu było tak proste, jak to możliwe.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

— Nie mogę ci radzić, co powinnaś zrobić w sprawie Michaela. To zależy wyłącznie od ciebie.

Brian stracił swoją zwykłą zadziorność. Ten jeden raz, kiedy chciałam oprzeć się na zdaniu najbardziej zadufanego w sobie człowieka, jakiego znałam, on zmienił się w kapryśną galarete.

— Mam przyjechać?

— Nie, nie ma...

...czasu. Nie było go nawet na skończenie tego zdania.

Po spotkaniu z Michaelem wróciłam do domu, wsiadłam w samochód i pojechałam prosto do hospicjum. Stan mamy wyraźnie się pogorszył w niecałą dobę, kiedy przestałam się nią opiekować. Albo hospicjum było okropne (a przecież nie było), albo przez te ostatnie dni trzymała się przy życiu wyłącznie ze względu na mnie. Dyżurująca pielęgniarka powiedziała mi, że zostało jej niewiele życia. Eileen cały czas spała; chwilę przy niej posiedziałam, potem wędrowałam po tym miniaturowym, intymnym szpitalu, unikając innych pogrążonych w żałobie ludzi, zostawiając za sobą nietknięte filiżanki herbaty, nadgryzione herbatniki i zadając sobie pytanie, czy powinnam zadzwonić do Michaela.

Kiedy w końcu zatelefonowałam do Briana, wyrzuciłam z siebie całą historię z taką gwałtownością, że byłam zła na siebie, że zmarnowałam tyle czasu na zachowanie jej dla siebie. Dlatego jego wymijająca odpowiedź gorzko mnie rozczarowała. I było coś jeszcze...

— Skąd znasz jego imię? — zapytałam.

— Czyje imię?

— Michaela. Powiedziałeś „Michael”. Imię mojego brata.

— Tak? Nie wydaje mi się.

Wymieniłam imię, opowiadając mu historię? Nie, byłam o tym przekonana. Czy działa jakaś pokrecona telepatia i teraz, kiedy moja matka umiera, imię brata przekracza granice znanego nam wszechświata, przenikając do świadomości ludzi? Jakby ciągle z nami był?

Nie. Więc o co chodzi? W sprawach dotyczących mamy mój umysł stawał się pusty, niezdolny do działania.

— Powiedziałem „Michael”? Naprawdę? Tak ma na imię? — Brian mówił szybko, ale bez przekonania. Był marnym kłamcą, żalonym. Słyszałam, że za bardzo się stara, co oznaczało, że przypuszczalnie intuicja mnie nie myli.

— Brian, wiedziałeś o nim? Mama powiedziała ci o Michaelu?

Zapadło milczenie, które odczytałam jako potwierdzenie, mimo to przeżyłam szok, gdy nieśmiało przyznał:

— Tak, Eileen powiedziała mi o twoim bracie. Bolało, jakbym odkryła zdradę.

A potem nagle w czasie krótszym, niż mogłabym oczekiwać, pojawiła się odpowiedź prosta, jednoznaczna, słodka i pewna. Była to poruszająca świadomość, że w gruncie rzeczy to wszystko już nie ma znaczenia. To, że mama nie powiedziała mi o Michaelu, może mnie ra

nić albo nie. Mogę być zła na Briana, z powodu Briana, ale to nic nie zmienia. Nie ma najmniejszego sensu. Jakie znaczenie miało to, że mama przez całe moje życie ukrywała przede mną istnienie brata? Że była w stanie zwierzyć się Brianowi i kto wie, komu jeszcze, ale nie mnie? Że bała się własnej albo mojej reakcji, bała się, że będę próbowała go odnaleźć? Rzecz w tym, że cokolwiek to znaczyło, nie było ważne. Stałam na skraju przepaści i miałam dwa wyjścia: skoczyć lub się cofnąć, zaryzykować lub stchórzyć, tak lub nie. Skok, podjęcie ryzyka zawsze oznaczało „tak”. Mówienie „nie” nie leżało w mojej naturze. Zadzwoiłam więc na komórkę Michaela i ustaliłam, że za godzinę spotykamy się przed hospicjum, potem wróciłam do mamy, żeby powiedzieć jej, co zrobiłam.

Powiedziałam jej o wszystkim innym, o rzeczach, które należało powiedzieć, i wszystkie były prawdziwe. Że ją kocham, że jest cudowną matką, że jestem jej wdzięczna za wszystkie te chwile, gdy mnie nie zawiodła, że jestem dumna, mogąc nazywać silną, niezależną, piękną kobietę moją matką. Wspominałam, jak razem się śmiałyśmy, zapewniłam, że wcale nie mam żalu, że wychowywałam się bez ojca, bo ona była dla mnie matką i ojcem — i zaskoczyło mnie, że naprawdę tak myślę.

Ale choć wszystko to się ze mnie wylewało, nie potrafiłam wspomnieć o Michaelu, mimo że brakowało czasu, mimo że najważniejsza była prawda — nie potrafiłam. Poczułam, czym to musiało dla niej być. Niektóre sprawy są za wielkie, żeby ująć je w słowa; czy obu nam brakowało odwagi? Przecież lepiej ujawniać wszystkie tajemnice. A może zdradzać sekrety mogą wyłącznie ci, do których one należą. W tamtej chwili zależało mi tylko na tym, żeby mama umarła w spokoju. Nie musiała wiedzieć, że znalazłam Michaela, nie mogłam też udawać, że wiem,

co jest jej potrzebne, czy przyprowadzenie go do niej jest słuszne czy nie. Istniała tylko jedna prawda: że być może mama żałowała oddania syna, tęskniła za nim — cierpienie związane z urodzeniem dziecka przez samotną, przerażoną, młodą katoliczkę było dla mnie rzeczą zbyt straszną, żeby o niej myśleć — więc się na niej skupiłam. Zrozumiałam wtedy, dlaczego przez wszystkie te lata nic mi nie powiedziała: pragnęła mnie chronić, uważała, że wiedza o bracie nie jest mi potrzebna. Jeśli jednak zachowywanie sekretów jest słabością, myślałam, to jest to słabość ludzka. Jak wtedy, gdy kogoś zbyt mocno kochamy, by pozwolić mu odejść, jak barbarzyństwo choroby i nikczemność fizycznego bólu. Moja matka miała odwagę wejść na wybieg, choć umiera na raka, ledwo skończywszy sześćdziesiąt lat. Zabrakło jej odwagi, żeby powiedzieć mi o bracie. A czy ja mam dość odwagi, czy też wszystko co robiłam, było wynikiem bezmyślnego pośpiechu? Może gdybym choć raz zastanowiła się głęboko, nie „skakałabym” tak często?

O mój Boże! Nie mogę tego zrobić. Nie mogę teraz zwalić tego na mamę. Jezu! Co ja sobie myślałam? Muszę zejść na dół i od razu zadzwonić do Michaela. Niech nie przychodzi.

Delikatnie położyłam dłoń mamy na kołdrze i cicho zbiegłam na dół. W holu zobaczyłam Briana siedzącego w fotelu i pogrążonego w lekturze kobiecego czasopisma. Podeszłam do niego.

— Cześć — powiedział. — Mimo wszystko przyjechałem.

Wybuchnęłam płaczem, niemądrym i dziewczęcym. Jakby ktoś zwykłej dziewczynie po raz pierwszy powiedział, że jest ładna. Już miałam rzucić mu się w objęcia, kiedy usłyszałam, że Michael pyta o mnie recepcjonistkę.

Spojrzałam na Briana i w jego oczach ujrzałam odbicie swojej przerażonej twarzy.

— Nie wiem, co robić — powiedziałam.

— Ciii... — Gładził mnie po ramionach ojcowskim gestem. Wytarł mi łzy wierzchem dłoni i zapytał: — Chcesz, żebym zaprowadził go do Eileen?

Widząc poważną i zatroskaną twarz Michaela, intuicyjnie pojęłam, że tak należy zrobić.

— Tak — szepnęłam ledwo dosłyszalnie.

Poszli za mną na górę i Brian zaprowadził Michaela do mamy.

Mówili coś, słyszałam niewyraźne słowa i wysoki jęk, który mógł być ostatnim wydanym przez mamę. Nie wiem, co zaszło między nimi, ale cudowna rzecz — nie zależało mi na tej wiedzy. Nie wydawała mi się ważna ani wtedy, ani teraz. To był czas dla nich, a ja im go zapewniałam.

Po kilku minutach Brian wystawił głowę zza parawanu i gestem mnie wezwał. Mama leżała z zamkniętymi oczyma i dłonią bezwładnie zwiniętą na dłoni Michaela. Usiadłam z drugiej strony i w obie ręce wzięłam jej drugą dłoń. Nie potrafiłam tak jak mężczyźni siedzieć w bezruchu, splatałam jej palce z moimi, ścisnęłam, gładziłam, przyciskałam do ust, siłą woli nakazując im się poruszać, próbując przywrócić je do życia. Brian trzymał straż w nogach łóżka. Mama cicho od nas odeszła, w jednej chwili była, w następnej już nie. Siedzieliśmy, dziwna trójca czuwająca przy jej ciele. Brian był poważny i surowy, Michael ogarnięty niezręcznym niedowierzaniem, ja zalana łzami.

Dusza wyrwała mi się z ciała na poszukiwanie mamy, a to, co ze mnie zostało, pograżyło się w mrocznym tunelu straty.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Moja ostatnia lista:

1. *Ufarbować się na blond*
2. *Skończyć ogród*
3. *Sangeeta — wystać jej bilet do Londynu?*
4. *Zrobić zapas eleganckich świec zapachowych*
5. *Adwokat! Adwokat!*
6. *Markowa kosmetyczka i dezodoranty do szpitala*
7. *Szuflady w kuchni — uporządkować!*
8. *Znaleźć męża dla G.*
9. *Przyjęcie — Klub Pierwszych Żon!*
10. *Geoff — remont salonu*

To prawda, że dostajemy w życiu tylko tyle, ile jesteśmy w stanie znieść. Ja zawsze miałam dość: dość siły, kiedy była mi potrzebna, dość miłości, kiedy nauczyłam się, gdzie jej szukać, dość wiary, by wierzyć, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Przekonałam się o tym dopiero na końcu, spoglądając wstecz. Przez większość życia jednak patrzyłam przed siebie i zawsze chciałam więcej: więcej wolności, więcej satysfakcji, prowadzenia wspanialszego, lepszego, piękniejszego życia, ale nigdy nie miałam

dość pewności siebie, dość brawury, by osiągnąć coś ponad przeciętność. Dlatego swoje marzenia przelałam na córkę. Pragnęłam, by ona miała więcej. W ostatnich miesiącach życia uświadomiłam sobie, że odniosłam sukces na obu frontach, warto było czekać, by w pełni zobaczyć to, co osiągnęłam we własnym życiu i co otrzymałam od Grace.

Nic nie dzieje się bez przyczyny, wierzyłam w to dawniej i wierzę teraz. Pod pewnymi względami umieranie jest najlepszą rzeczą, jaką zrobiłam. Na pokazie mody wyglądałam lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, świadomość, że został mi określony przedział czasu, dała mi pewność siebie do zrobienia rzeczy, których nigdy nie robiłam. Odnowiłam dom, zmieniłam ogród, czułam się bardziej kochana i bardziej pełna życia niż wcześniej. Najważniejsze jednak jest to, że umieranie pozwoliło mi w końcu zrozumieć, co zrobiłam z własnym życiem. Jeśli mam być szczerą, nigdy nie uważałam, że moje życie jest wiele warte. W każdym razie w porównaniu z tym, jakie mogłoby być, gdybym... no cóż, gdybym kiedykolwiek zrealizowała wielkie zamierzenia z listy, której nigdy nie napisałam, bo za bardzo się bałam: pójście na uniwersytet, skłonienie Franka do małżeństwa, napisanie książki, jazda po Paryżu w sportowym samochodzie, odnalezienie syna. Moje listy zawsze były realistyczne, możliwe do wykonania. Nigdy nie zapuszczałam się za daleko w obawie, że mi się nie uda.

Dopiero wtedy, kiedy się dowiedziałam, że umieram, podjęłam świadomą decyzję, by naprawdę żyć. Pojęłam, że jak większość ludzi żyję z dnia na dzień, i nagle wypełniła mnie energia z rodzaju „zabieraj się do tego!”. Miałam trochę zaoszczędzonych pieniędzy i zamierzałam wydać je do ostatniego pensa na rzeczy, których nigdy

nie robiłam. Sprawić sobie markowe ubrania? Pojechać na zakupy do Nowego Jorku? Usiadłam, żeby spisać ambitną listę, wszystkie szaleństwa, na które w życiu miałam ochotę, i przekonać się, na ile mogę sobie pozwolić. Ale kiedy zaczęłam, zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Pojęłam, że tak naprawdę zależy mi na tym, co do tej pory robiłam. Pójść na przyjęcie, kupić kosmetyki i świece, odwiedzić przyjaciół albo zaprosić ich do siebie. Uświadomiłam sobie także, że od życia pragnęłam więcej tego samego. Pozostało mi więc w pełni wykorzystać to, co miałam. Przez pryzmat bliskiej śmierci odkryłam rzecz piękną i zdumiewającą: kolory w moim ogrodzie były intensywniejsze, ludzie zebrani w mojej kuchni serdeczniejsi — a ja miałam trochę czasu, by w pełni to docenić. Codziennie myślałam, jakie to szczęście, że Bóg nie wybrał dla mnie śmierci pod kołami autobusu, ale na wszelki wypadek z większą uwagą przechodziłam przez ulicę.

Przez te ostatnie miesiące w taki czy inny sposób zrealizowałam wszystko, co było na mojej liście. Brian — cóż, po prostu usiadł mi na kolanach. Dosłownie. Poszłyśmy z Shirley na tańce do Klubu Irlandzkiego i Brian tam był ze swoim przyjacielem Irlandczykiem. Ma dwie lewe nogi, więc potknął się o dywan i wylał na mnie piwo. Shirley była wstawiona i przyczepiła się do niego, co było niesmaczne i zniechęciło mnie do niej. Od razu widziałam, jakim sympatycznym facetem jest Brian, i pomyślałam: „Grace!”. Shirley zaprosiła obu mężczyzn do mnie, a potem poszła sobie z jego przyjacielem. My zostaliśmy, rozmawialiśmy o moim raku, jego żonie i pracy wolontariusza w szpitalu. Skończyło się na tym, że spędził noc na kanapie w salonie. Nie jestem pewna, dlaczego został,

choć teraz myślę, że uzna! mnie za miłą i chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Może przypomiinałam mu starszą wersję jego żony. Kiedy rano poznał się z Grace, nie zdawałam się na przypadek. Zadzwoiłam do szpitala na oddział pacjentów zewnętrznych i zarejestrowałam się na liście wizyt domowych. Podałam nazwisko Briana i modliłam się. Później nie można było się go pozbyć. Znałam Grace i wiedziałam, że choć czasami potrafi być strasznie krytyczna, nie jest głupia i w końcu go pokocha.

Brian był darem z niebios, wsparcie starych przyjaciół darem jeszcze cenniejszym. Kiedy zadzwoniłam do Geoffa z wiadomościami, nie robił niepotrzebnego zamętu, powiedział tylko:

— Daj mi znać, jeśli jakoś będę mógł ci pomóc. Miesiąc później zadzwoniłam znowu i powiedziałam, że potrzebna mi jego pomoc.

— Chcę, żeby Grace mogła wprowadzić się do domu po mojej śmierci, ale parę rzeczy trzeba zrobić.

— Nie zasługuje na to, poza tym zawsze myślałem, że zostawisz dom mnie i Barry'emu.

— Przyjedziesz?

— Jasne.

Przyjechał i został dwa tygodnie. Przez ten czas odnowił salon, nadając mu wygląd, który wykraczał poza moje najdziksze marzenia. Wszelkie odcienie beżu i brązu, naprawdę w dobrym stylu, jak w eleganckim hotelu. Sama nigdy bym tego nie dokonała. Później zabrał się za ogród. Wydeptaliśmy ścieżkę do centrum ogrodniczego, wydając fortunę na donice i rośliny. Oboje cudownie się bawiliśmy.

— W gruncie rzeczy bardzo kreatywna z ciebie kobietka — powiedział Geoff i odebrałam to jako prawdziwy komplement.

Grace przez cały ten czas odnosiła się do nas z takim rozdrażnieniem, że miałam ochotę dać jej klapsa i powiedzieć: „To wszystko dla ciebie, samolubna krowo!”, ale tego nie zrobiłam. Dowie się niedługo, kiedy adwokat przekaze jej moje życzenie, żeby po mojej śmierci zamieszkała w tym domu.

W każdym razie wynagrodziła mi swoje zachowanie w dwójnasób, organizując najbardziej fantastyczne przyjęcie w moim życiu. Wszystko było idealne: jedzenie, światła, muzyka, nic, po prostu nic nie mogłoby być bardziej wyjątkowe.

Miałam wrażenie, że to nie jest moje ostatnie przyjęcie, ale pierwsze. Było jedynym w całym życiu, na którym czułam się całkowicie odprężona, i pierwszym, którym w pełni się cieszyłam. Nie było pożegnań, wydawało się raczej, że to dla mnie okazja, żeby po raz pierwszy przywitać się jak trzeba z wieloma starymi i nowymi przyjaciółmi.

Brakowało tylko Sangeety. Często z nią rozmawiałam, ale nie miałam odwagi poprosić, żeby do mnie przyjechała. Wiedziałam, że jest bardzo zajęta, jej matka nie czuła się dobrze, więc nie byłoby w porządku prosić ją, żeby przejechała pół świata specjalnie dla mnie. To, że Grace przywiozła ją na pokaz mody, było najbardziej niezwykłą rzeczą, jaka mi się w życiu zdarzyła, było marzeniem, które się urzeczywistniło. Żadna z nich nie wiedziała, ile to dla mnie znaczy. I właśnie dzięki tym wszystkim rzeczom rozumiałam, ile osiągnęłam przez te sześćdziesiąt parę lat. Powołałam do życia, znalazłam i zatrzymałam przy sobie wszystkich tych cudownych ludzi. Ich miłość. Do tego sprowadzało się moje życie — a to było bardzo wiele. Zbyt wiele, by zmieścić się w kilku krótkich miesiącach.

Potem mój stan bardzo się pogorszył! i wszystko znowu się zmieniło. Świadomość, że umrzesz, to jedno, ale sam proces umierania jest przerażający.

Wpadłam w depresję. Ogarnął mnie lęk. Moja wiara zachwiała się i zaczęłam nienawidzić Boga, zastanawiałam się, czy On istnieje, czy może po śmierci wessie mnie lodowata czarna dziura. Śmierć przeniosła się z mojej głowy do serca. Wiedza, że umieram, zmieniła się w oglądanie i odczuwanie umierania. To, co początkowo postrzegałam jako rodzaj strasznej przygody, teraz okazało się czymś zupełnie innym. „Titanic” mojej choroby wypłynął dzięki ekscytującemu nastawieniu „ciesz się chwilą”, ale teraz rozbił się o górę lodową, a ja trzęsłam się z zimna na tratwie, świadoma swego losu. Nie mogłam przestać myśleć o Michaelu, nawiedzał moje wywołane lekami sny. W świadomych momentach rozdzierały mnie sprzeczne myśli, z jednej strony zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć o tym Grace, z drugiej obawiałam się, czy nie zwierzyłam się jej w morfinowym odurzeniu. Moje ciało zaczęło się kurczyć, ból i zależność od leków odbierały mi godność i upokarzały; wszystko to mogłoby mnie zwyciężyć, złamać kompletnie mojego ducha, gdyby nie Grace. Bo pomiędzy strachem, gniewem i przygnębieniem były chwile ciepła i bliskości. Chwile, gdy delikatnie mnie podnosiła, żeby zmienić pościel, gdy karmiła mnie z czułą pewnością, a ja wiedziałam, że koło się zamknęło. Urodziłam i wychowałam tę cudowną kobietę, która od dzieciństwa odznaczała się pięknem, odwagą i poczuciem humoru, a teraz odkrywała w sobie coś o wiele więcej. Przestała być tylko moim dzieckiem i chyba po raz pierwszy zobaczyłam w niej kobietę. Miałam wrażenie, że Bóg poprzez tę czułą opiekę pozwala mi zrozumieć, jak wiele Grace potrafi, jaką silną i wyjątkową jest oso-

bą. Czasami to była tortura, bo miałam ją opuścić, kiedy indziej pewność, że po moim odejściu będzie umiała o sobie zadbać.

Kilka dni po pokazie mody postanowiłam doprowadzić swoje sprawy do ładu i zabrałam się do porządkowania sekretarzyka. Chciałam zostawić parę drobiazgów, pamiątek dla Grace. Pomysł był niemądry i sentymentalny, jako że w domu i tak pełno było jej rzeczy, ale znalazłam ozdobne pudełko, które Sangeeta przywiozła mi z podróży do Indii, i uznałam, że doskonale się nada do tego celu. Podczas sprzątania trafiłam na słownik i bez szczególnego powodu sprawdziłam znaczenie słowa „grace”. Przepisałam definicję, bo pomyślałam, że ładnie będzie włożyć taką kartkę do pudełka. Oprócz imienia wyraz ten znaczył: 1. elegancja ruchów, 2. przychyłność

i życzliwość dla innych, 3. dar Boga, 4. udzielony przez Boga talent lub błogosławieństwo. Grace stała się dla mnie tym wszystkim, a pod koniec mojego życia zaczęło mi się wydawać, że cud Grace rozciągnął się wstecz do chwili, kiedy po raz pierwszy jako dziecko zobaczyłam gwiazdę filmową o tym imieniu.

Tak oto córka stała się moją Zadziwiającą Łaską, daną przez Boga, a równocześnie będącą człowiekiem. Grace umożliwiła mi trwanie przy życiu i Grace umożliwiła mi odejście.

Brian przyprowadził do mnie Michaela na chwilę przed moją śmiercią, ale wiedziałam, że to Grace odnalazła go dla mnie. Jego uśmiech, ciepło jego dłoni były moim ostatnim cudem. Wiedziałam, kim jest, i wypowiedziałam jego imię. Michael. Nic więcej.

Kiedyś na pogrzebie ksiądz powiedział, że kiedy umieramy, jesteśmy jak drzewo zimą. Liście opadły, majątek, zagraniczne wakacje, namiętne romanse, utracona

praca, kłótnie o nic i zazdrość, wszystko to odchodzi. Zostają tylko gołe konary, zakorzeniona esencja życia, która przetrwa każdą zimę, trzymając straż nad tym, co zostawiłaś za sobą.

Odeszłam z tego świata z rozpostartymi ramionami, z martwymi gałązkami palców zamkniętymi w dłoniach dwojga moich dzieci. Nieważne, jak do tego doszło, wiedziałam bowiem, że skoro w takiej chwili są ze sobą, nigdy więcej nie będę musiała z któregoś z nich rezygnować.

EPILOG

Rano w dzień pogrzebu mamy znalazłam flakonik Chanel No. 5 w starej czarnej torebce, którą kiedyś ode mnie pożyczyła. Perfumy wyciekły, wsiąkając w tanią satynową podszewkę. Aromat był tak znajomy, tak zwodniczo realny, że na moment się zapomniałam. To był zapach mamy przygotowującej się na specjalną okazję. Przez moment wierzyłam, że jest przy mnie, ale jej nie było. To najgorszy rodzaj bólu, kiedy czujesz coś, ale wiesz, że to nie istnieje.

Może dlatego po jej śmierci zaczęłam znowu chodzić do kościoła: musiałam w coś wierzyć, ponieważ serce miałam wypełnione nią i mój umysł musiał sobie z tym poradzić, przekształcić bezmiar uczuć w coś dotykającego. Zwróciłam się więc do katolickiego Boga Eileen. Starzec z siwą brodą posłał ją do Raju, gdzie są anioły, Matka Boska i cała ta baśniowa rzeczywistość, która na pewno jej się spodoba. Chodzenie do kościoła dawało mi pociechę i wiedziałam, że ją by ucieszyło — zresztą dlatego właśnie za jej życia nigdy tego nie robiłam. Kolejnym małym cudem było odkrycie, że nasz związek ciągle trwa, choć mama fizycznie przestała istnieć. Znajduję rzeczy, które mi ją przypominają, mówię do niej i słyszę, jak ona

mówi do mnie. Otaczają mnie jej przedmioty; Eileen tak samo jak ja stanowi część mojej nowej rodziny. Zwłaszcza jeśli chodzi o mojego brata.

Wiem, że więzy krwi nie gwarantują automatycznie podobieństwa, ale tak jest w przypadku Michaela i mnie. Może dlatego od razu poczuliśmy wzajemną bliskość, ponieważ oboje straciliśmy rodziców i odczuwaliśmy potrzebę powiększenia naszych rodzin. A może sprawiła to krążąca w naszych żyłach irlandzka krew Eileen, po której odziedziczyliśmy potrzebę bycia z ludźmi. Widujemy się raz lub dwa razy w tygodniu i razem jemy niedzielny obiad. Jego żona Katy jest dla mnie jak siostra, jego dzieci mówią do mnie „ciociu”. Jego córka wygląda jak ja.

Jest także Brian. Nasza miłość rosła wolno, a swoje korzenie ma w przyjaźni. Nie zgadzamy się we wszystkich nieważnych sprawach, takich jak religia czy polityka, za to mamy to samo zdanie w kwestiach istotnych, jak dziewczyny jego synów oraz odpowiednie miejsce dla zmiotki i szufelki. On mnie wspiera, zgodził się zamieszkać w domu mamy, podtrzymywał mnie, gdy po jej śmierci się załamalam. Tyle razy próbowałam go odepchnąć, ale nie chciał odejść. Wiedział, że dzięki jego miłości będzie mi lepiej, i tak się stało. Przekonałam się, że dobroć u kochanka to cecha bardzo niedoceniana; zamierzam z nim być tak długo, by móc odwdzińczyć się za pozbawioną egoizmu dobroć, którą mi okazał.

Zanim mama umarła, myślałam, że wiem, kim jestem. Myliłam się. Terapia nie uczy nas tego, kim jesteśmy, robi to życie. Lekcje, które naprawdę sobie przyswoiłam, wynikały z trudnych doświadczeń. Podejrzewamy, że znamy siebie, ale dopiero wtedy gdy stoimy przy ścianie, jesteśmy w stanie przekonać się o swojej prawdziwej wartości. Śmierć mamy była najtrudniejszą rzeczą, jaka kiedykol-

wiek mi się zdarzyła, ale dzięki temu dowiedziałam się, że mam w sobie siłę i zdolność współczucia. Byłam tą samą osobą co zawsze, ale poprzez jej śmierć po raz pierwszy doświadczyłam głębi własnego człowieczeństwa. Bez tej lekcji żyłabym sobie szczęśliwie, gdyby oznaczało to, że mama przy mnie zostanie. Ale ona umarła, ja dostałam lekcję od życia i za to jestem wdzięczna. Dowiedziałam się też paru innych rzeczy.

7. Można kogoś kochać i równocześnie irytować się; jego zachowaniem.

2. Nic nigdy nie jest absolutne, nawet matczyzna miłość, ale jej wady nie są istotne. Wciąż znaczy bardzo wiele.

3. Życia nigdy nie można odebrać całkowicie. Jego sens pozostaje w sercach i życiu tych, z którymi się stykamy.

4. Odkrycie prawdy nie jest ważne — ważne jest tylko to, co w każdej chwili mamy przed sobą. Cieszymy się tym, bo wkrótce przeminie.

5. Nie istnieje „sens” życia — nic oznacza wszystko.

To nic nie znaczy, że mama oddała Michaela. To nic nie znaczy, że ja go odnalazłam. Ważna jest tylko moja przyjaźń z nim.

Zmieniłam się. Jestem mniej samolubna teraz, gdy wokół są ludzie, za których jestem odpowiedzialna. Zatracam się w ich życiu, zapominam, kim jestem, czego pragnę i potrzebuję. Skupiam się na nich i jestem z tym szczęśliwa. Żyję mniej myślami, bardziej czynami. Przez lata byliśmy tylko we dwie, Eileen i ja, a teraz mam dość liczną rodzinę. To wydaje się niesamowite, a przecież to mama jakimś sposobem stworzyła takie życie dla mnie.

Dzisiaj rano po raz pierwszy zajmowałam się ogrodem. Mama była martwa, ale jej ogród rósł, dziczał jak dziecko pozbawione opieki. Na wybujałym kwadratowym trawniku rosły niezapominajki. Znalazłam szpadel, wykopałam je i posadziłam w doniczce, którą postawiłam na kuchennym parapecie. Moje życie i sposób, w jaki je przeżywam, to jej spadek dla mnie.